

Raymond
Chandler



siostrzyczka

Tytuł oryginału
THE LITTLE SISTER

Projekt okładki
Jerzy Wojciech Wołodźko

Na matowym szkle w drzwiach czarną, łuszczącą się farbą namalowano napis: „Philip Marlowe... detektyw”. Są to umiarkowanie obskurne drzwi na końcu obskurnego korytarza w budynku, który był zapewne nowy, ale w czasach, gdy łazienka z kafelkami stanowiła ostatnie słowo cywilizacji. Drzwi są zamknięte, ale obok, na drugich, widnieje ten sam napis, i te już są oiwarte. W środku nie ma nikogo, tylko ja i wielka końska mucha. Możesz wejść — chyba że jesteś z Manhattan w stanie Kansas.

Był to jeden z tych jasnych, promiennych, letnich poranków, jakie zdarzają się nam w Kalifornii wczesną wiosną, zanim nastaną mgły. Deszcze się skończyły. Wzgórza wciąż jeszcze się zielenią, a z doliny po drugiej stronie wzniesień Hollywood widać śnieg na górskich szczytach. Sklepy futrzarskie ogłaszają doroczną wyprzedaż. Przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w szesnastoletnich dziewczicach robią kokosy. A w Beverly Hills drzewa jacarandy zaczynają kwitnąć.

Od pięciu minut polowałem na wielką muchę, czekając, aż wreszcie siądzie. Nie chciała się. Wołała kręcić korkociągi i śpiewać prolog do „Pajaców”. Trzymałem packę nieruchomości w powietrzu, gotów do ciosu. Na rogu biurka leżało jasne, słoneczne pasmo i wiedziałem, że właśnie tam prędzej czy później wyląduje. Kiedy to już zrobiła — w pierwszej chwili nawet jej nie zauważyłem. Po prostu przestała bzykać. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

Powoli, cierpliwie, cal po calu wyciągnąłem lewą rękę po słuchawkę. Podniosłem ją wolno i powiedziałem cicho

– Proszę chwileczkę poczekać.

Łagodnie położyłem słuchawkę na brązowym bibularzu. Siedziała tam jeszcze, lśniąca, błękitnozielona, naczynie grzechu pełne. Wziąłem głęboki oddech i walnąłem. To, co z niej zostało, przeleciało przez pół pokoju i wylądowało na dywanie. Wstałem, podniosłem muchę za nie uszkodzone skrzydło i wrzuciłem do kosza na śmieci.

– Dziękuję za cierpliwość - powiedziałem do telefonu.

– Czy to pan Marlowe, detektyw? — głos był raczej słaby, dziecinny, niecierpliwy.

Powiedziałem, że owszem, pan Marlowe, detektyw. — Ile pan sobie liczy za usługi, panie Marlowe?

– A o co pani chodzi?

Głos zabrzmiał nieco ostrzej:

– Nie mogę przecież mówić tego przez telefon. To... to bardzo poufne. Nie chcę tracić czasu i przychodzić do pana, zanim nie zorientuję się mniej więcej...

– Czterdzieści dolarów dziennie, plus wydatki. Chyba że to coś, co można załatwić od ręki, za małe honorarium.

– Stanowczo za dużo — powiedział głosik. — A nuż w sumie będzie kilkaset dolarów, a ja zarabiam niewiele, więc...

– Gdzie pani jest teraz?

– W drugstorze, w sąsiednim domu...

- Mogła pani zaoszczędzić na telefonie, winda jest za darmo.
 - ...Przepraszam, nie zrozumiałam.
- Powtórzyłem wszystko jeszcze raz.
- Proszę wejść na górę, niech sobie panią obejrzę — dodałem. — Jeżeli pani problem mnie zainteresuje, będę w stanie dość dokładnie wyliczyć...
 - Muszę coś o panu wiedzieć — powiedział głosik stanowczo. — To bardzo delikatna sprawa, bardzo osobista. Nie mogę powierzyć jej byle komu.
 - Jeżeli to aż tak delikatne — odpaliłem — może lepiej zwrócić się do kobiety.
 - Boże, nie wiedziałam, że w tym zawodzie są kobiety! — Cisza. — Ale wątpię, czy kobieta by się tu nadała. Trzeba panu wiedzieć, panie Marlowe, że Orrin mieszkał w bardzo ponurej dzielnicy. To znaczy, moim zdaniem ona jest ponura. Kierownik hotelu jest w najwyższym stopniu odpychający. Czuć od niego wódką. Czy pan pije, panie Marlowe?
 - No, skoro już pani o tym wspomniała...
 - Nie sądzę, żebym mogła zatrudnić detektywa używającego alkoholu pod jakąkolwiek postacią. Nie pochwalam nawet palenia papierosów.
 - A mogę sobie obrać pomarańczkę?
- Usłyszałem gwałtowny świst oddechu.
- Mógłby pan przynajmniej rozmawiać jak dżentelmen! - powiedziała.
 - Niech pani lepiej zadzwoni do University Club — odrzekłem. — Słyszałem, że tam jeszcze paru takich zostało, ale nic jestem pewien, czy pani pozwoli wziąć ich do ręki. — Odłożyłem słuchawkę.
- To był krok we właściwym kierunku, szkoda tylko, że na tym poprzestałem. Trzeba było zaryglować drzwi i schować się pod biurko.

2

Pięć minut później, u zewnętrznych drzwi przedpokoju, który służy mi za poczekalnię, zadzwonił brzęczyk. Usłyszałem, jak i drzwi się zamykają. Potem przez chwilę nie słyszałem nic. Drzwi między biurem a poczekalnią były uchylone. Nasłuchiwałem jakiś czas, aż wreszcie doszedłem do wniosku, że ktoś po prostu pomylił drzwi i poszedł sobie. Ale po chwili rozległo się ciche pukanie. Później słaby kaszel, którego używa się w tym samym celu. Zdjąłem nogi z biurka, wstałem i wyjrzałem. Przyszła. Nie musiała nawet otworzyć ust, od razu wiedziałem, że to ona. Nikt nigdy nie wyglądał mniej na Lady Macbeth. Drobna, schludna, raczej skromna, gładko przylizane ciemne włosy i okulary bez oprawek. Miała na sobie brązowy kostiumik, a z paska na ramieniu zwisała jedna z tych niezgrabnych toreb, które zaraz przywodzą na myśl siostrę miłosierdzia, co spieszy rannemu z pierwszą pomocą. Na jej gładkich, ciemnych włosach tkwił niedorozwinięty kapelusik. Nie miała makijażu, ani śladu szminki, żadnych ozdób. Przez swoje okulary bez oprawek wyglądała trochę jak bibliotekarka.

- Tak się nie rozmawia z ludźmi przez telefon! — powiedziała ostro. — Powinien się pan wstydzić!
 - Pewnie, tylko duma nie pozwala mi tego okazać — odpowiedziałem. — Niech pani wejdzie. — Przytrzymałem drzwi.
- Potem jeszcze podsunąłem jej krzesło. Siadła na samym brzeżku.
- Gdybym odezwała się w ten sposób do któregoś z pacjentów doktora Zugsmitha — powiedziała — straciłabym posadę. Doktor przywiązuje wielką wagę do tego, jak się odnoszę do pacjentów, nawet do tych trudnych.
 - Jak tam leci staruszkowi? Nie widziałem go od czasu, kiedy spadłem z dachu garażu.
- Wydała się zaskoczona i powiedziała poważnie:
- Jestem pewna, że nie zna pan doktora Zugsmitha. — Między jej wargami pojawił się teraz koniuszek cieniutkiego języka i jakby ukradkiem czegoś szukał.
 - Znam doktora Zugsmitha, George'a Zugsmitha — odrzekłem — z Santa Rosa.
 - Ach, nie. To doktor Alfred Zugsmith, z Manhattan, to znaczy Manhattan w stanie Kansas, nie

Manhattan w Nowym Jorku.

– To pewnie jakiś inny doktor Zugsmith — stwierdziłem. — A pani jak się nazywa?

– Nie jestem pewna, czy powinnam to panu powiedzieć.

– Aha, po prostu przyszła pani sobie mnie obejrzyć?

– W pewnym sensie. Jeśli mam powierzyć swoje sprawy rodzinne obcemu człowiekowi, wolno mi chyba sprawdzić, czy to ktoś godzien zaufania.

– Czy ktoś już kiedyś pani powiedział, że rozkoszny z pani numerek?

Za okularami bez oprawek błysnęły oczy.

– Na szczęście nie.

Sięgnąłem po fajkę i zacząłem nabijać ją tytoniem.

– Szczęście to niewłaściwe słowo — powiedziałem. — Niech pani wyrzuci ten kapelusz i kupi sobie parę takich szalowych okularów w kolorowych oprawkach. No, wie pani, takich ekscentrycznych w orientalnym stylu.

– Doktor Zugsmith nigdy by mi na to nie pozwolił — rzuciła szybko. A potem dodała, czerwieniąc się lekko: — Naprawdę pan tak myśli?

Przyłożyłem zapałkę do fajki i dmuchnąłem dymem przez biurko. Odchyliła się gwałtownie.

– Jeżeli mnie pani zaangażuje — powiedziałem — to zaangażuje pani tylko mnie. Nikogo innego, po prostu mnie. I jeżeli się pani wydaje, że znajdzie pani w tym fachu braci biczowników, to ma pani źle w głowie. Rzuciłem słuchawkę, a jednak pani przyszła. To znaczy, że potrzebuje pani pomocy. Jak się pani nazywa i o co chodzi?

Po prostu gapiała się na mnie.

– Niech no pani posłucha — ciągnąłem. — Jest pani z Manhattan, Kansas. Kiedy ostatni raz przerabiałem Atlas Świata, była to maleńka miejscina niedaleko Topeki. Ludność — około dwunastu tysięcy. Pracuje pani u doktora Alfreda Zugsmitha i szuka pani kogoś imieniem Orrin. Manhattan to małe miasto, musi być małe, w Kansas jest tylko pół tuzina większych miast. Mam już dość informacji, żeby odtworzyć całą pani historię rodzinną.

– Co by panu z tego przyszło? — spytała zmieszana.

– Mnie? — odpowiedziałem. — Absolutnie nic. Mam po uszy ludzi opowiadających o sobie.

Siedzę tu po prostu dlatego, że nie mam gdzie pójść. Nie chce mi się pracować. Nic mi się nie chce.

– Pan za dużo mówi.

– Tak, za dużo — przyznałem. — Samotni mężczyźni zawsze za dużo mówią. Chyba że w ogóle milczą. Może wrócimy do tematu? Nie wygląda pani na kogoś, kto często odwiedza prywatnych detektywów, szczególnie nieznanym.

– Wiem — rzekła spokojnie. — I Orrin na pewno by się wściekł. A mama jaka byłaby zła! Po prostu znalazłam pana nazwisko w książce telefonicznej i ...

– Według jakiego klucza? — spytałem. — Z zamkniętymi oczami czy z otwartymi?

Gapiała się we mnie przez chwilę, jakbym miał dwie głowy czy coś w tym rodzaju.

– Siedem i trzynaście — powiedziała spokojnie.

– Jak proszę?

– Marlowe ma siedem liter — odpowiedziała — a Philip Marlowe ma trzynaście. Siedem i trzynaście...

– Jak się pani nazywa? — warknąłem.

– Orfamay Quest — zatrzepotała powiekami, jakby się miała rozpłakać. Jednym tchem przeliterowała imię. — Mieszkam z mamą — ciągnęła, mówiąc coraz szybciej, jakby mój czas już ją kosztował. — Ojciec zmarł cztery lata temu. Był lekarzem. Mój brat Orrin też miał być chirurgiem, ale po dwóch latach medycyny przeniósł się na inżynierię. Potem, rok temu, wyjechał, bo dostał pracę w Cal-Western Aircraft Company w Bay City. Wcale nie musiał tam pracować. Miał dobrą posadę w Wichita. Myślę, że po prostu chciał wyjechać do Kalifornii. Prawie wszyscy się na to napalają.

– Pragnę tego — powiedziałem. — Jeżeli już pani nosi te szkła bez oprawek, to niech się pani przynajmniej stara wyrażać, jak ktoś na poziomie.

Zachichotała i spuściwszy oczy narysowała palcem linię na moim biurku.

- Myśli pan o takich skośnych szklach, co się w nich wygląda tak... jak z Dalekiego Wschodu?
- Mhm. Wróćmy do Orrina. Na razie dowieźliśmy go do Kalifornii do Bay City. Co pocniemy z nim teraz?

Myślała chwilę marszcząc brwi. Potem jakby studiowała moją twarz. Wreszcie wyrzuciła z siebie gwałtowny potok słów:

- Orrin pisywał zawsze bardzo regularnie. Tymczasem przez ostatnie pół roku napisał tylko dwa razy do mamy i trzy razy do mnie. A ostatni list przyszedł kilka miesięcy temu. Bardzo się martwiłyśmy z mamą. Więc kiedy dostałam urlop, przyjechałam tutaj, żeby się z nim zobaczyć. Nigdy przedtem nie wyjeżdżał z Kansas. — Przerwała. — Czy nie będzie pan notował? — spytała. Mruknąłem, że nie.

- Myślałam, że detektywi zawsze zapisują wszystko w małych notesikach.

- Ja tu jestem od wygłupów — powiedziałem — a pani opowiada. Przyjechała tu pani w czasie wakacji. Co dalej?

- Napisałam do Orrina, że przyjeżdżam, ale nie dostałam odpowiedzi. Potem wysłałam do niego telegram z Salt Lake City, ale na to też nie odpowiedział. No, więc mogłam już tylko przyjechać. Strasznie tu daleko. Jechałam autobusem. To jest w Bay City. Idaho Street numer 449.

Znów przerwała, powtórzyła adres, a ja mimo to znów go nie zapisałem. Po prostu siedziałem, patrzyłem na jej okulary, nł;idki6 włosy, idiotyczny mały kapelusik, bezbarwne paznokcie, usta bez szminki i koniuszek języka, który poruszał się tam i z powrotem między bladymi wargami.

- Może pan nie zna Bay City, panie Marlowe.

- Ha, ha — powiedziałem. — Ja nie znam Bay City! Po każdej wizycie w tamtych stronach muszę sobie kupować nową głowę. Mam skończyć tę historię za panią?

- Coooo? — otworzyła oczy tak szeroko, że przez szkła okularów wyglądały jak oceaniczne ryby w akwarium.

- Wyprowadził się — powiedziałem. — A pani nie wie dokąd. I martwi się pani, że mieszka teraz w mansardzie na samym szczycie Regency Towers, wiodąc występny żywot z czymś, co bardzo interesująco pachnie i nosi futro z nurków.

- Na miłość boską!

- Czy może wyraziłem się zbyt mocno? — spytałem.

- Ależ proszę pana — powiedziała wreszcie — nawet na myśl mi to nie przyszło! I gdyby Orrin to usłyszał, miałabym się z pyszna! On potrafi być okropny. Coś się jednak musiało stać. To jest zwykły, tani hotel, a kierownik bardzo mi się nie podobał. Wstrętny człowiek. Powiedział, że Orrin wyprowadził się kilka tygodni temu, że on nie wie gdzie, że nic go to nie obchodzi, bo i tak ma ochotę tylko gołnąć se dzinu. Nie rozumiem, jak Orrin mógł tam mieszkać.

- Powiedziała pani: gołnąć se dzinu? — spytałem - Zarumieniła się.

- To ten człowiek tak powiedział. Ja tylko powtarzam.

- W porządku — odrzekłem. — Dalej.

- No więc zadzwoniłam tam, gdzie pracował. Wie pan, Cal-Western Company. A oni powiedzieli, że go zwolnili, jak wielu innych, i że nic więcej nie wiedzą. No więc poszłam na pocztę i spytałam, czy Orrin nie zgłosił im zmiany adresu. A oni odpowiedzieli, że nie wolno im udzielać takich informacji. To jest wbrew przepisom. Więc powiedziałam, o co chodzi, a ten pan odpowiedział, że skoro jestem jego siostrą, to on pójdzie sprawdzić. Więc poszedł, sprawdził, wrócił i powiedział, że nie, Orrin nie podał nowego adresu. Wtedy zaczęłam się jednak trochę denerwować. Mógł mieć wypadek albo coś w tym rodzaju.

- Czy nie przyszło pani do głowy iść na policję?

- Nie odważyłabym się pytać policji. Orrin nigdy by mi nie wybaczył. I tak czasami okropnie trudno z nim wytrzymać. Nasza rodzina... — zawahała się i w jej oczach błysnęło coś, co bardzo starała się ukryć. Ciągnęła więc prawie bez tchu: — Nasza rodzina nie jest taka, żeby...

- Chwileczkę — powiedziałem ze znużeniem. — Nie mówię przecież, że chłopak dmuchnął komuś portfel. Ale samochód mógł go potraścić, mógł stracić pamięć albo zostać ranny, tak że nie może mówić.

Rzuciła mi spojrzenie, w którym nie było zbyt wiele zachwyty.

– Gdyby stało się coś takiego, wiedzielibyśmy o tym — powiedziała. — Każdy ma przecież w kieszeni coś, po czym można go poznać.

– Czasami zostają już tylko kieszenie.

– Czy próbuje mnie pan nastraszyć, panie Marlowe?

– Nawet jeśli próbuję, to coś słabo mi to idzie. Jak pani myśli w takim razie, co się stało?

Przyłożyła cienki palec do wargi i dotknęła go bardzo ostrożnie koniuszkiem języka.

– Myślę, że gdybym coś podejrzewała, nie przychodziłabym do pana. Ile by kosztowało znalezienie go?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałem. Wreszcie spytałem;

– To znaczy, gdybym robił to sam, nie mówiąc nic nikomu?

– Tak, sam, nic nikomu nie mówiąc.

– Mhm. No to zależy. Powiedziałem pani, ile zwykle biorę.

Chwyciła rękami brzeg biurka i zacisnęła mocno. Nigdy w życiu nie widziałem u nikogo równie bezsensownych gestów.

– Myślałam, że skoro jest pan detektywem i w ogóle, będzie go pan mógł znaleźć od razu — powiedziała. — Nie stać mnie na więcej niż dwadzieścia dolarów. Muszę tu płacić za jedzenie, za hotel, za pociąg z powrotem, a sam pan wie, że hotel jest okropnie drogi, a jedzenie w pociągu...

– W którym hotelu pani mieszka?

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu... to wołałabym nic mówić.

– Dlaczego?

– No, wołałabym nie. Bardzo się boję Orrina i jego humorów. Zresztą przecież zawsze mogę do pana zadzwonić, prawda?

– Mhm. Niech mi pani lepiej powie, czego się pani boi bardziej niż humorów Orrina? — zgasła mi fajka. Zapaliłem zapalkę i przyłożyłem do tytoniu, obserwując ją znad płomienia.

– Palenie fajki to bardzo brzydki zwyczaj — powiedziała.

– Prawdopodobnie — odrzekłem — ale dwadzieścia dolarów to za mało, żeby go porzucił. I niech pani nie próbuje wykręcać się od odpowiedzi.

– Nie wolno panu tak do mnie mówić! — wybuchnęła. Palenie fajki to wstrętny zwyczaj! Mama nigdy nie pozwalała ojcu palić w domu, nawet przez ostatnie dwa lata, już po ataku. Czasem siedział po prostu z pustą fajką w zębach. A tego mania też raczej nie lubiła. Byliśmy winni dużo pieniędzy i powiedziała, że nie stać jej na to, żeby on wydawał je na takie nikomu niepotrzebne rzeczy, jak tytoń. Że kościołowi są dużo bardziej potrzebne niż jemu.

– Zaczynam powoli rozumieć — powiedziałem wolno. — W takiej rodzinie jak wasza ktoś musi być czarną owcą.

Wstała gwałtownie i przytuliła do piersi swoją torbę pierwszej pomocy.

– Nie lubię pana — powiedziała. — Myślę, że jednak pana nie zaangażuję. Jeżeli chce pan insynuować, że Orrin zrobił coś złego, to mogę pana zapewnić, że to nie on jest czarną owcą w naszej rodzinie.

Nie mrugnąłem powieką. Odwróciła się szybko i ruszyła w stronę drzwi. Położyła rękę na klamce, potem znowu się odwróciła, zrobiła kilka kroków z powrotem i nagle wybuchnęła płaczem. Z równym skutkiem mogłaby łapać na wędkę wypchanego karpia, Wyciągnęła małą chusteczkę i wytarła kąciaki oczu.

– Teraz pewnie zadzwoni pan na policję — wykrztusiła załamującym się głosem. — I gazeta w Manhattan wszystkiego się dowie, i napisze o nas coś obrzydliwego.

– Wcale pani tak nie myśli. Niech pani przestanie grać na moich uczuciach. Ma pani jakieś jego zdjęcie?

Pośpiesznie schowała chusteczkę i wydostała z torebki coś innego. Podała mi to przez biurko.

Koperta. Cienka, ale w środku mogło być kilka fotografii. Nie zajrzałem,

– Niech mi go pani opisz, tak jak pani go widzi — powiedziałem.

Skupiła się. Dzięki temu mogła nareszcie coś zrobić z brwiami.

– Skończył dwadzieścia osiem lat w marcu. Ma jasno-brązowe włosy, jaśniejsze niż moje, jaśniejsze niebieskie oczy, czesze się do tyłu. Jest bardzo wysoki, ponad sześć stóp. Ale waży tylko

około stu czterdziestu funtów. Jest dość chudy. Nosił kiedyś mały, jasny wąsik, ale mama kazała mu go zgolić. Powiedziała...

– Może pani nie mówić. Pastor chciał sobie wypchać poduszkę.

– Nie wolno panu tak mówić o mojej matce! — krzyknęła, błada z wściekłości.

– Och, niech się pani nie wygłupia. Nie wiem o pani jeszcze wielu rzeczy. Ale może pani od razu przestać udawać niewinną lilijkę. Czy Orrin miał jakieś znaki szczególne, jakieś znamię albo bliznę, albo dwudziesty trzeci psalm wytatuowany na piersi? I niech pani sobie daruje rumieniec dziewiczego wstydu.

– A pan niech na mnie nie krzyczy! Dlaczego nie obejrzy pan fotografii?

– Bo pewnie jest tam ubrany. W końcu jest pani jego siostra, powinna pani wiedzieć takie rzeczy.

– Nie, nie ma nic podobnego — powiedziała stanowczo. — Ma tylko małą bliznę na ręku, po kurzajce.

– Jakie ma przyzwyczajenia? Co robi, żeby się rozerwać, poza tym, że nie pali, nie pije i nie ugania się za dziewczynami?

– Skąd pan wie?

– Pani mamusia mi powiedziała.

Uśmiechnęła się. Właśnie zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle coś takiego potrafi. Miała bardzo równe, białe zęby i nie pokazywała dziąseł. Było na co popatrzeć.

– Ale z pana głuptas — powiedziała. — Bardzo dużo się uczy. A poza tym ma bardzo drogi aparat fotograficzny, którym lubi robić ludziom zdjęcia, kiedy nie patrzą. Czasami bardzo się złości. Ale Orrin mówi, że ludzie powinni zobaczyć, jacy są naprawdę.

– Miejmy nadzieję, że jemu się to nigdy nie przytrafi — powiedziałem. — Co to za aparat?

– Taki mały z bardzo precyzyjnym obiektywem. Można nim robić zdjęcia właściwie w każdym świetle. Leica.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem z niej kilka małych odbitek, bardzo wyraźnych.

– Tego nie robiono takim aparatem — powiedziałem.

– Ach nie, to robił Philip. Philip Anderson. Chłopak, z którym chodziłam. — Zamilkła i westchnęła. — Pewnie dlatego przyszłam właśnie do pana, panie Marlowe. Bo panu też na imię Philip.

Powiedziałem tylko: — Mhm. — Ale poczułem się dziwnie wzruszony. — Co się stało z Philipem Andersonem?

– Ale przecież Orrin...

– Dobrze, dobrze — przerwałem. — Co się stało z Andersonem?

– Mieszka nadal w Manhattan — odwróciła wzrok. — Mama niezbyt go lubi. Wie pan, jak to jest.

– Tak — powiedziałem, — Wiem, jak to jest. Może pani sobie popłakać, jeżeli ma pani ochotę.

Nie zaszkodzi to pani w moich oczach. Ze mnie też sentymentalny mięczak.

Przyjrzałem się dwóm odbitkom. Na jednej miał spuszczone oczy, nic mi po niej. Na drugiej natomiast całkiem nieźle było widać wysokiego, kanciastego chłopaka z blisko osadzonymi oczami, wąskimi, prostymi ustami i wystającą brodą. Miał w oczach wyraz, którego się spodziewałem.

Jeżeli zapomniałeś wyczyścić buty, on ci przypomni. Odłożyłem zdjęcia i spojrzałem na Orfamay Quest, próbując znaleźć w jej twarzy coś podobnego, bodaj w przybliżeniu. Nic z tego. Ani śladu podobieństwa, co oczywiście nic nie znaczy i nigdy nie znaczyło.

– Dobra — powiedziałem. — Pójdę tam i rozejrzę się. Ale sama pani powinna zgadnąć, co się stało. Jest w obcym mieście. Przez jakiś czas nieźle zarabiał. Pewnie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Spotyka ludzi, jakich nigdy dotąd nie widział. I może mi pani wierzyć, ja znam Bay City — to zupełnie co innego niż Manhattan, Kansas. No więc po prostu trochę poszalał i nie chce, żeby rodzina się dowiedziała. Ale wszystko się jeszcze ułoży.

Przez chwilę gapiała się na mnie w milczeniu, a potem potrząsnęła głową:

– Nie, panie Marlowe, to niepodobne do Orrina.

– To podobne do każdego — odrzekłem. — A już szczególnie do kogoś takiego jak Orrin.

Świątoszek z małego miasteczka, któremu całe życie mamusia siedziała na karku, a pastor trzymał go za rączkę. Tutaj jest sam. Ma forszę. Chce zafundować sobie trochę przyjemności, posmakować

w życiu czegoś więcej niż tylko mszalnego wina. Nie żebym miał coś przeciwko temu. Tylko że jemu to się już znudziło, prawda?

Kiwnęła głową w milczeniu.

– Więc zaczyna się bawić — ciągnąłem. — Ale nie bardzo wie, jak się to robi. To też wymaga doświadczenia. No i zaplątał się pewnie w aferę z jakąś cizią, ciągnie gorzałę i czuje się teraz, jakby zrobił skok na spiżarnię biskupa. Na miły Bóg, chłopak niedługo skończy trzydziestkę i jeżeli chce się trochę potarzać w rozpuście, to jego prywatna sprawa. Prędzej czy później i tak znajdzie kogoś, na kogo zwali za to odpowiedzialność.

– Za nic w świecie nie chciałabym, żeby tak było — powiedziała. — Za nic w świecie, bo mama...

– Mówiła pani coś o dwudziestu dolarach — przerwałem.

Wyglądała na przestraszoną.

– Czy muszę panu zapłacić zaraz?

– A jak to się robi u was, w Manhattan, Kansas?

– U nas nie ma prywatnych detektywów. Tylko regularna policja. To znaczy tak przypuszczam.

Znowu pogrzebała w swoim chlebaku i wyciągnęła z niego czerwoną portmonetkę, z której wydobyla kilka banknotów, bardzo porządnie złożonych. Trzy piątki i pięć jednodolarówek.

Najwyraźniej niewiele jej zostało. Trzymała portmonetkę tak, żebym dokładnie widział, jak bardzo jest pusta. Potem wygładziła banknoty na biurku, ułożyła je jeden na drugim i posunęła w moją stronę. Powoli i ze smutkiem, jakby topiła ukochanego kociaka.

– Dam pani pokwitowanie — powiedziałem.

– Nie potrzebuję pokwitowania, panie Marlowe.

– Ja potrzebuję. Nie chciała mi pani podać imienia, nazwiska, adresu, więc chcę mieć coś, na czym będzie to pani nazwisko.

– Po co?

– Na dowód, że panią reprezentuję. — Wziąłem książkę pokwitowałem, wypisałem kwit i podałem jej książkę, żeby podpisała się na kopii. Nie chciała. Po chwili, ociągając się, wzięła kopiowy ołówek i napisała „Orfamay Owest”, schludnym pismem sekretarki, w poprzek kwitu.

– Bez adresu? — spytałem.

– Wolalabym bez.

– W takim razie niech pani do mnie dzwoni. Mój domowy numer też jest w książce. Bristol Apartments, numer 428.

– Nie zamierzam pana odwiedzać — powiedziała zimno.

– Jeszcze pani nie zapraszałem — odparłem. — Niech pani zadzwoni koło czwartej, może będę już coś miał. A może nie.

Wstała.

– Mam nadzieję, że mama nie będzie miała mi tego za złe — powiedziała, skrobiąc wargę bladym paznokciem. — Tego, że tu przyszłam.

– Proszę mi już nie mówić o niczym, co pani mamusia ma za złe — warknąłem. — Po prostu pomińmy tę kwestię.

– No wie pan!

– I niech pani przestanie mówić „No wie pan!”

– Uważam, że z pana wyjątkowo odpychający osobnik!

– Nieprawda. Uważa pani, że jestem słodki. A ja myślę, że z pani fascynująca mała kłamczucha. Nie wyobraża sobie pani chyba, że wziąłem tę sprawę za głupie dwadzieścia dolarów?

Popatrzyła na mnie spokojnie, nagle bardzo zimno.

– No to dlaczego? — A kiedy nie odpowiedziałem, dorzuciła: — Bo czuć wiosnę w powietrzu? Nadal nie odpowiadałem. Zarumieniła się trochę. Potem zachichotała.

Nie miałem serca powiedzieć jej, że po prostu strasznie mnie już zmęczyło nieróbstwo. Może zresztą chodziło też o tę wiosnę. I jeszcze o coś w jej oczach, co było dużo starsze niż Manhattan, Kansas.

– Myślę, że jest pan bardzo miły, naprawdę — rzuciła cicho, potem odwróciła się szybko i prawie wybiegła z pokoju.

Jej kroki w korytarzu stukały krótko i ostro, jakby dźwięcił kuł drzewo. Albo jakby matka bębniła palcami po stole, kiedy ojciec próbuje sobie wziąć jeszcze jedną porcję ciasta. A ojciec nie ma już pieniędzy. Nic już nie ma. Po prostu siedzi na frontowej werandzie domu w Manhattan, na bujanym fotelu, z pustą fajką w zębach. Buja się wolno i ostrożnie, bo po ataku wszystko trzeba robić wolno i ostrożnie. I czekać na następny dzień. Z pustą fajką w zębach. Bez tytoniu. Nic nie robić, tylko czekać.

Włożyłem ciężko zarobione dolary Orfamay Quest w kopertę i napisałem na wierzchu jej nazwisko, po czym schowałem do biurka. Tego tylko brakowało, żebym biegał po mieście z taką sumą przy sobie.

2

Można latami znać Bay City i nie zauważyć Idaho Street. Można też znać dobrze Idaho Street i nie zauważyć numeru 449. Przed domem naprzeciwko bruk był tak potłuczony, że właściwie w proch się obrócił. Po drugiej stronie ulicy, wzdłuż popękane chodnika, sunęło pogięte ogrodzenie składu drzewa. W połowie drogi między przecznicami zardzewiałe szyny skręcały w stronę wysokiej drewnianej bramy zamkniętej na łańcuch. Wyglądało na to, że od dwudziestu lat nikt jej nie otwierał. Na bramie i wzdłuż całego ogrodzenia diłopcy rysowali kredą obrazki i wypisywali różne rzeczy.

Numer 449 miał mały nie pomalowany ganek, na którym oddawało się próżniactwu pięć bujanych foteli z drewna i trzciny. Trzymał je w kupie drut i morska wilgoć. Zielone żaluzje w niższych oknach były w dwóch trzecich opuszczone i popękane na wszystkie strony. Przy drzwiach frontowych wisiał wielki drukowany szyld: „Wolnych pokoi brak”. On także wisiał już tu od dawna. Wyblakł i popstrzyły go muchy. Za drzwiami był długi hall. Mniej więcej w jednej trzeciej jego długości wznosiły się schody. Po prawej była wąska półka, koło której wisiał na łańcuszku chemiczny ołówek. Był też dzwonek, nad nim tabliczka z czarnym napisem na żółtym tle: „Kierownik”. Przybito ją trzema pinezkami, nie do pary. Po przeciwnej ścianie był automat telefoniczny.

Przycisnąłem guzik. Dzwonek zadzwonił gdzieś niedaleko, nic się nie stało. Zadzwoniłem jeszcze raz. Znowu nic. Izdarłem się do drzwi z czarno-białą metalową wizytówką „Kierownik” i zapukałem do nich. Potem kopnąłem je. Moje kopanie najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało. Wszedłem z domu i obszedłem go dookoła: wąski betoniowy chodnik zaprowadził mnie do wejścia służbowego. Na oko musiały to być drzwi do mieszkania kierownika. Reszta to pewnie zwykłe pokoje hotelowe. Na małym ganku stało brudne wiadro na śmieci i drewniana skrzynka pełna butelek po alkoholu. Za moskitierą drzwi były otwarte. W środku panowała ciemność. Przyłożyłem twarz do moskitiery i zajrzałem do środka. Przez otwarte wewnętrzne drzwi zobaczyłem proste krzesło, z którego zwisał męski płaszcz, a na krześle mężczyznę w koszuli z podwiniętymi rękawami i w kapeluszu. Był mały. Nie widziałem, co robi, ale siedział najwyraźniej u końca stołu wbudowanego w kąt pokoju.

Zapukałem do drzwi z moskitierą. Mężczyzna nie zwrócił na mnie uwagi. Zapukałem jeszcze raz, mocniej. Tym razem odwrócił krzesło i ukazał mi drobną, bladą twarz z wetkniętym w nią papierosem.

- Czego? — szczechnął.
- Gdzie kierownik?
- Nie ma.
- Kto pan jest?
- Nie twój interes.
- Chcę wynająć pokój.
- Zajęte. Nie umiesz czytać drukowanego?
- Przypadkiem mam inne informacje — powiedziałem.
- Tak? — strząsnął popiół z papierosa stukając weń paznokciem, nawet nie wyjmując go ze swoich

drobnych, smutnych ust. — To se je wsadź tam, skąd je wyjąłeś.

Znowu przysunął krzesło i dalej robił to, co robił, cokolwiek to było.

Hałaśliwie zszedłem z ganku, po czym bezszelestnie wróciłem w to samo miejsce. Ostrożnie poruszyłem drzwiami z moskitierą. Były zamknięte na haczyk. Otworzyłem scyzoryk i ostrzem podważyłem haczyk, aż wyskoczył z dziurki. Brzęknął lekko, lecz z kuchni dochodziły podobne, ale znacznie głośniejsze dźwięki.

Wszedłem do środka przez służbowy ganek i znalazłem się w kuchni. Mały facet był zbyt zajęty, by mnie zauważyć. W kuchni stała kuchenka gazowa na trzy palniki, parę półek z tłustymi naczyniami, lodówka, z której oblaź lakier, i stół. Stół zavalony był pieniędzmi, głównie papierowymi, ale było też srebro wszystkich możliwych rozmiarów, z dolarowymi monetami włącznie. Mały człowieczek liczył je, układał i zapisywał w małej książce. Oblizywał ołówek nie zwracając uwagi na tkwiącego w ustach papierosa.

Na tym stole musiało być z kilkaset dolarów.

– Komorne? — zapytałem ciepło.

Mały człowieczek odwrócił się bardzo gwałtownie. Przez chwilę uśmiechał się nic nie mówiąc. Tak uśmiecha się ktoś, kto ma myśli wcale niewesołe. Wyjął z ust peta, rzucił go na podłogę i przydeptał. Z kieszeni koszuli wyciągnął świeżego papierosa, wetknął go w tę samą dziurkę w twarzy i zaczął szukać zapalek.

– Ślicznie sobie wszedłeś — powiedział wesoło.

Ponieważ nie mógł znaleźć zapalek, odwrócił się lekko na kresłę i sięgnął do kieszeni płaszcz. Coś ciężkiego stuknęło o nogę krzesła. Złapałem go za przegub, zanim to coś wychynęło z kieszeni. Rzucił się do tyłu, a kieszeń zaczęła się powoli unosić w moją stronę. Wykopałem mu krzesło spod siedzenia.

Siadł ciężko na podłodze i walnął głową w kant stołu. Nie powstrzymało go to przed próbą kopnięcia mnie w podbrzusze. Cofnąłem się trzymając w ręku jego płaszcz i wyjąłem z kieszeni spluwę kaliber 38, którą się chciał pobawić.

– Jeśli tak siedzisz, żeby było zabawniej, to możesz wstać - powiedziałem.

Wstał powoli, udając, że jest mu gorzej niż naprawdę. Złapał się dłonią za kark, za kołnierzykiem, i gdy jego ręka śmigła w moją stronę, światło błysnęło na metalu. Czupurny był z niego kogut.

Dałem mu w szczękę jego własnym rewolwerem, tak że znowu siadł na podłodze. Przydepnąłem dłoń z nożem. Twarz wykrzywiła mu się z bólu, ale nawet nie jęknął. Kopnąłem nóż w kąt pokoju. Był długi, cienki i wyglądał na bardzo ostry.

– Powinieneś się wstydzić — powiedziałem. — Rzucać się z rewolwerem i nożem na kogoś, kto po prostu szuka jakiegoś kąta. Nawet w naszych czasach to chyba przesada.

Ścisnął obolałą rękę między kolanami i zaczął gwizdać przez zęby. Cios w szczękę najwyraźniej nie dotknął go specjalnie.

– W porządku — powiedział. — W porządku. Jestem tylko człowiekiem. Zabieraj szmal i spierdalaj. Ale nie wyobrażaj sobie, że cię nie znajdziemy.

Spojrzał na leżącą na stole kolekcję małych i średnich banknotów i bilonu.

– Sądząc po tym uzbrojeniu, musisz mieć opornych klientów — powiedziałem. Przeszedłem przez pokój w stronę wewnętrznych drzwi i przycisnąłem klamkę. Były otwarte. Odwróciłem się.

– Wrzucę rewolwer do skrzynki na listy — powiedziałem.-- A następnym razem spytaj mnie jeszcze o znaczek.

Wciąż gwizdał cicho przez zęby i ścisnął dłoń. Spojrzał na mnie uważnie spod przymrużonych powiek, po czym wsunął pieniądze do zniszczonej teczki i zatrzasnął zamek. Zdjął kapelus, wyprostował rondo, włożył go z powrotem ochoczo na tył głowy i spojrzał na mnie raz jeszcze, spokojnie i z godnością.

– Nie przejmuj się spluwą — powiedział. — Miasto jest pełne starego żelastwa. Ale scyzoryk mógłbyś zostawić Clausenowi. Napracowałem się trochę, zanim go doprowadziłem do takiego stanu.

– I co jeszcze? — spytałem.

– Kto wie. — Pstryknął lekko palcami w moją stronę. — Może niedługo znowu się spotkamy.

Kiedy będzie ze mną kolega.

- To powiedz mu, żeby włożył czystą koszulę — powiedziałem. — I tobie też niech pożyczę.
- Proszę, proszę — powiedział mężczyzna karzącym tonem. — Jakie to się robi cwane, kiedy tylko sobie przypnie znaczek.

Przeszedł bezszelestnie koło mnie i zbiegł po drewnianych schodkach ganku. Jego kroki stuknęły przez chwilę po ulicy, aż ucichły. Brzmiały bardzo podobnie do stukotu obcasów Orfamay na korytarzu u mnie w biurze. Z jakiegoś powodu miałem niejasne poczucie, że przechytryłem. Ale nie było żadnego powodu. Może chodziło po prostu o ów stalowy chłód tego człowieczka. Ani nie skamlał, ani nie podskakiwał, po prostu uśmiechał się, gwizdał przez zęby, mówił tym swoim lekkim tonem i patrzył oczami, które nie zapominają.

Zrobiłem dwa kroki i podniosłem z ziemi nóż. Ostrze było długie, zaokrąglone, cienkie, jak pilnik spiłowany na gładko. Rączka i osłona były z lekkiego plastiku i wyglądały jak z jednego kawałka. Złapałem nóż za rączkę i rzuciłem nim szybko w stół. Ostrze wyskoczyło i zadrżało wbijając się w drewno.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, zsunąłem rączkę z powrotem w dół i wyrwałem nóż ze stołu. Ciekawy nóż, przemyślany w każdym szczególe, zgodnie ze swoim niezbyt miłym przeznaczeniem. Otworzyłem drzwi kuchenne i przeszedłem przez nie trzymając w jednej dłoni rewolwer i nóż. Była to sypialnia z łóżkiem w ścianie. Łóżko było opuszczone i rozbebeszone. Wyściełane krzesło miało w oparciu wypaloną dziurę. Przy ścianie, koło okna na ulicę, stało wysokie, dębowe biurko ze skośnymi drzwiczkami, niczym staromodne drzwi do piwnicy. Obok była jeszcze kanapka, a na kanapce leżał mężczyzna. Jego nogi w grubych szarych skarpetach zwisały bezwładnie z jednej strony. Głowa trafiła mniej więcej pół metra od poduszki. Sądząc po kolorze poszewki, nie miał czego żalować. Górną część jego osoby okrywała bezbarwna koszula i wyświechtany szary zapinany sweter. Usta miał otwarte, twarz lśniła od potu i dyszał jak stary Ford z oblużowaną uszczelką. Na stoliku obok stał talerz pełen niedopałków, niektóre wyglądały na skręty. Na podłodze była prawie pełna butelka dżinu i filiżanka, która na oko zawierała kiedyś kawę, ale było to już dość dawno. Pokój cuchnął głównie dżinem i zwykłym smrodem, w powietrzu wisiało jednak również wspomnienie dymu marihuany.

Otworzyłem okno, przyłożyłem głowę do moskitiery, żeby nabrać w płuca nieco czystego powietrza, i popatrzyłem na ulicę. Dwóch chłopaków jeździło na rowerze wzdłuż ogrodzenia składu drewna, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby przestudiować wytwory sztuki klozetowej. Poza nimi w całej okolicy nic się nie ruszało. Nawet pies. Za rogiem zawisł w powietrzu obłok kurzu, jakby właśnie przejechał tamtędy samochód.

Podszedłem do biurka. Znalazłem książkę meldunkową i zacząłem ją przerzucać, aż doszedłem do nazwiska „Orrin P. Quest” — wypisanego wyraźnym, starannym pismem, i do numeru 214, dopisanego ołówkiem przez kogoś innym pismem, które z całą pewnością nie było ani wyraźne, ani staranne. Przejrzałem książkę aż do końca, ale nie znalazłem żadnego nowego wpisu z numerem 214. Pod 215 mieszkał ktoś nazwiskiem G.W.Hicks. Zamknąłem książkę, położyłem ją na miejscu i podszedłem do kanapki. Mężczyzna przestał chrapać i bulgotać i machnął ręką w poprzek piersi, jakby mu się śniło, że przemawia. Pochyliłem się, złapałem go dwoma palcami za nos i wetknąłem mu do gęby kłęb jego własnego swetra. Przestał chrapać i gwałtownie otworzył oczy. Były szkliste i przekrwione. Mocował się przez chwilę z moim uściskiem. Kiedy byłem już pewien, że całkiem się obudził, puściłem go, złapałem butelkę dżinu z podłogi i nalałem trochę do szklanki, która leżała przewrócona obok. Pokazałem mu szklanę.

- Co z ciebie za jeden, do cholery — zawarczał.
- Szukam człowieka nazwiskiem Orrin P. Quest.
- Że jak?

Powtórzyłem. Przetarł twarz dłońmi i powiedział krótko:

- Wyprowadził się.
- Kiedy się wyprowadził?

Pomachał ręką, o mało nie spadł z krzesła, pomachał jeszcze raz, żeby odzyskać równowagę.

- Daj jednego — powiedział.

Nalałem jeszcze trochę dżinu, trzymając szklankę poza jego zasięgiem.

– Dawaj — powiedział niecierpliwie. — Mało mam.

– Chcę tylko nowy adres Orrina P. Ouesta.

– No, proszę, proszę — powiedział żartobliwie i niezdarnie spróbował dobrać się do szklanki.

Postawiłem ją na podłodze i wyjąłem wizytówkę.

– Może to ci się pomoże skupić — powiedziałem.

Pogapił się z bliska na wizytówkę, prychnął, złożył ją na pół i znowu na pół. Położył ją na wyciągniętej ręce, napluł i cisnął za siebie.

Podał mi szklankę z dżinem. Wypił za moje zdrowie, skinął głową uroczyście i szklankę również cisnął za siebie. Potoczyła się po podłodze i stuknęła w listwę. Wstał nagle z zaskakującą łatwością, podniósł palec wskazujący do sufitu, złożył pod nim dwa inne palce i klasnął dwa razy ostro językiem o zęby.

– Spierdalaj — powiedział. — Mam przyjaciół. — Spojrzał chytrze na telefon na ścianie i znowu na mnie. — Mam paru chłopców, co się za ciebie wezmą — uśmiechnął się szeroko. Nie odezwałem się. — Nie wierzysz, co? — warknął nagle wściekły. Potrząsnąłem głową.

Ruszył do telefonu, złapał za słuchawkę, zerwał ją z widełek i wykręcił pięciocyfrowy numer.

Przyglądałem się uważnie. jeden-trzy-pięć-siedem-dwa.

Zabrało mu to wszystkie siły, jakimi akurat dysponował. Upuścił słuchawkę, która walnęła o ścianę, po czym siadł na podłodze obok niej. Przyłożył ją do ucha i wywarczał w ścianę:

– Chcę mówić z doktorem. — Słuchał w milczeniu. — Z Vincem! Z doktorem! — krzyknął gniewnie. Potrząsnął słuchawką i odrzucił ją od siebie. Opadł na ręce i zaczął się czołgać w kółko. Kiedy mnie zobaczył, zrobił wrażenie nieprzyjemnie zaskoczonego. Wstał znowu chwiejnie i wyciągnął rękę. — Daj jednego.

Podniosłem z upadku szklankę i wydołem do niej butelkę dżinu. Przyjął ją z godnością zalanej damy dworu, wypił do dna z szerokim gestem, spokojnie podszedł znowu do kanapki i położył się na niej, szklankę podkładając sobie pod głowę w charakterze poduszki. Zasnął natychmiast.

Odłożyłem słuchawkę na widełki, zajrzałem znowu do kuchni, wróciłem, obmacałem go i wygrzebałem mu z kieszeń pęk kluczy. Jeden z nich był uniwersalny. Drzwi do hallu miały zatrask, zabezpieczyłem go więc, by móc wrócić, po czym wspiałem się po schodach na górę. Zatrzymałem się na chwilę żeby zapisać na kopercie numer „Doktor Vince, 13572”. Może był to klucz do czegoś.

Szedłem w górę. W domu panowała całkowita cisza.

Spilowany wytrych kierownika otworzył zamek w drzwiach numeru 214 bez najmniejszego hałasu. Popchnąłem drzwi. Pokój nie był pusty. Na łóżku leżała walizka, nad którą pochyłał się plecami do drzwi, krępy, silnie zbudowany mężczyzna. Na kapie łóżka leżały porozkładane koszule, skarpetki i bielizna, on zaś pakował je powoli i starannie, gwizdząc cicho i monotonicznie przez zęby.

Gdy zawiasy skrzypnęły, zeszytniał. Sięgnął ręką szybko w stronę poduszki.

– Bardzo pana przepraszam — powiedziałem. — Kierownik mówił mi, że pokój jest pusty.

Był łysy jak kolano. Miał na sobie spodnie z szarej flaneli i przezroczyste plastikowe szelki na niebieskiej koszuli. Jego ręce wysunęły się spod poduszki, uniosły ku głowie i znowu opadły.

Odwrócił się i teraz miał już włosy. Wyglądały tak naturalnie jak każde włosy na świecie, gładkie, brązowe, bez przedziałka. Łypał na mnie spod czupryny.

– Zawsze warto zapukać — powiedział.

Miał gruby głos i szeroką twarz człowieka ostrożnego, co niejedno w życiu widział.

– Po co? Skoro kierownik powiedział, że pokój jest pusty.

Kiwnął głową, uspokojony. Błysk w oczach zgasł.

Nie czekając na zaproszenie wszedłem. Na łóżku, obok walizki, leżał okładką do góry otwarty magazyn romansowych nowelek. W szklanej popielniczce paliło się cygaro. Pokój był] porządnie urządzone i jak na ten dom nawet dość czysty.

– Myślał pewnie, że już się pan wyprowadził — rzekłem usiłując wyglądać jak ktoś uczciwy i prawdopodobny.

– Może się pan wprowadzić za pół godziny — powiedział mężczyzna.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, że się rozejrzę?

Uśmiechnął się bez wesołości.

– Niedługo pan w mieście, co?

– Dlaczego?

– Nowy pan tutaj, nie?

– Dlaczego?

– Podoba się panu ten dom i okolica?

– Nie zanadto — powiedziałem. — Pokój wygląda nienajgorzej.

Uśmiechnął się ironicznie, ukazując piękną, porcelanową koronkę, zbyt białą w porównaniu z innymi zębami.

– Długo pan szukał?

– Dopiero zacząłem — powiedziałem. — Po co te pytania?

– Śmiesz mnie pan — powiedział wcale się nie śmiejąc. W tym mieście człowiek nie ogląda pokoi. Bierze je na ślepo. Ta dziura jest tak zapchana, że mógłbym zarobić dychę tylko za to, że nadam komuś wolne miejsce.

– Żałuję — powiedziałem. — Niejaki Orrin P. Quest powiedział mi, że tu się coś zwolniło. No więc na tym pan niestety nic nie zarobi.

– Ach, tak? — nawet mu powieka nie drgnęła. Ani jeden muskuł. Równie dobrze mógłbym sobie pogadać z żółwiem. — Tylko nie zaczynaj ze mną ostro — powiedział. — Ze mną lepiej nie zaczynać ostro.

Wziął cygaro z zielonej popielniczki i dmuchnął niebieskim dymem. Spojrzał na mnie poprzez dym zimnym szarym okiem. Wyjąłem sobie papierosa i podrapałem się nim w brodę.

– A co pan robi z tymi, co zaczynają ostro? — spytałem. — Muszą nosić za panem perukę?

– Zejdź pan z mojej peruki — rzucił wściekle.

– Ach, przepraszam najmocniej — powiedziałem.

– Na domu wisi szyld, że nie ma wolnych pokoi — rzekł mężczyzna. — Jakim cudem wlaź pan tu i od razu trafił?

– Nie dosłyszał pan nazwiska — powiedziałem — Orrin P. Quest. — Przeliterowałem mu. Ale nawet tego nie było mu dość. Zapadła martwa cisza.

Odwrócił się raptownie i włożył do walizki stosik chusteczek do nosa. Zbliżyłem się trochę. Kiedy znów na mnie spojrzał, miał w oczach coś, co można by nazwać czujnością. Ale jego twarz miała ten wyraz na stałe.

– Przyjacieli? — spytał mimochodem.

– Z dzieciństwa — odrzekłem.

– Spokojny gość — rzekł mężczyzna swobodnie. — Czasem rozmawialiśmy trochę. Pracuje w Cal-Western, tak?

– Pracował — odpowiedziałem.

– O? Rzucił to?

– Wylali go.

Gapiliśmy się na siebie dalej. Nic nam to nie pomogło. Za dużośmy się tego narobili w życiu, żeby się zaraz spodziewać cudów.

Wsadził sobie cygaro z powrotem w twarz i usiadł na brzegu łóżka przy walizce. Zajrzałem do niej i zauważyłem, że spod pary źle poskładanych szortów wystaje kwadratowa rękojeść automatu.

– Ten facet, Quest, wyjechał stąd już dziesięć dni temu — powiedział w zamyśleniu mężczyzna. — I wyobraża sobie, że pokój jest jeszcze wolny?

– Według książki meldunkowej jest wolny — odpowiedziałem.

Wydał pogardliwy dźwięk. — Ten oliwa na dole pewnie nie zajrzał do niej od miesiąca. Zaraz... chwileczkę! — Jego spojrzenie stało się nagle ostre, a ręka powędrowała niby to mimochodem ku otwartej walizce, by nieznacznie poprawić coś, co leżało przy samej broni. Kiedy zabrał rękę, rewolweru nie było już widać.

– Coś chyba było ze mną nie w porządku od samego rana — powiedział — że się od razu nie połapałem. Jesteś glina.

- Zgoda. Powiedzmy, że jestem.
- Co za sprawa?
- Nie ma żadnej sprawy. Zastanawiałem się tylko, skąd pan ma ten pokój.
- Przeniosłem się tutaj z 215, z przeciwka. Tu jest lepiej. Wszystko. Proste. Zadowolony?
- Całkowicie — powiedziałem, obserwując uważnie jego dłoń, która mogła się zbliżyć do rewolweru, gdyby tylko zechciała.
- Jaki glina? Miejski? Pokaż znaczek.

Nic nie odpowiedziałem.

- Nie wierzę, że masz znaczek.
- Nawet gdybym ci go pokazał, to i tak byś powiedział, że jest fałszywy. Pan jesteś Hicks.

Wydał się zaskoczony.

– George W. Hicks — rzekłem. — Tak stoi w rejestrze. Pokój 215. Właśnie skończyliśmy na tym, że się pan tu przeniósł z 215. — Rozejrzałem się po pokoju. — Może ma tu pan tablicę, tobym to panu narysował.

– Szczerze mówiąc, nie musimy się zaraz bawić w przepychankę — powiedział. — Pewnie, że jestem Hicks. Miło mi cie poznać. A jak pańskie nazwisko?

Wyciągnął rękę. Potrząsnąłem nią, ale nie udawałem, że mc mogłem się doczekać tej chwili.

- Marlowe — powiedziałem. — Philip Marlowe.
- Wiesz co — powiedział grzecznie Hicks — cholerny z ciebie łgarz.

Roześmiałem mu się w nos.

– Niewiele ze mnie wyciśniesz, chłopie, z takimi manierami. Co z ciebie za jeden?

Wyjąłem portfel i podałem wizytówkę. Przeczytał uważnie i postukał kantem o swoją porcelanową koronkę.

- Pewnie polazł gdzieś, a nic mnie nie powiedział — zadumał się.
- Pańska gramatyka jest równie wątpliwa, co pańskie włosy — powiedziałem.
- Zejdz z moich włosów, jak nie chcesz oberwać! — krzyknął.
- Dobra, przecież ci ich nie zjem — powiedziałem. — Aż, taki głodny nie jestem.

Postąpił krok w moją stronę i opadło mu prawe ramię, zrobił przy tym wściekły grymas, w którym jego dolna warga wylądowała niemal równie nisko.

- Nie bij mnie. Jestem ubezpieczony — powiedziałem.
- Cholera. Jeszcze jeden frajer — wzruszył ramionami, a jego dolna warga wróciła na swoje miejsce. — O co się rozchodzi?
- Muszę znaleźć tego Orrina P. Questa. — rzekłem.

– Po co?

Nie odpowiedziałem. Po chwili odezwał się:

- Dobra. Ja też jestem ostrożny facet. Dlatego się wynoszę.
- Pewnie nie lubisz zapachu trawki.
- Tego — powiedział bez wyrazu — i paru innych rzeczy. Dlatego Quest się wyniósł. Porządny facet. Jak ja. Zdaje się, że paru twardych chłopców nastraszyło go trochę.
- Rozumiem — powiedziałem. — Dlatego nie zostawił nowego adresu. A dlaczego go nastraszyli?
- Sam powiedziałeś coś o trawce, nie? On jest taki typ, że na pewno poszedł na posterunek i wszystko wyśpiewał.

– W Bay City? — spytałem. — Po co sobie robić kłopot? No dobra, dziękuję bardzo, panie Hicks.

Daleko się pan wybiera?

– Niedaleko — odpowiedział. — Nie. Niezbyt daleko

Akurat.

- W czym robisz? — spytałem.
- W czym robie? — wydawał się dotknięty.
- Właśnie. Za co ci płacą? Z czego dusisz ciaćki?
- Pomyliłeś się, bracie. Jestem emerytowanym technikiem optycznym.
- To po co ci ta czterdziestka piątka, co? — wskazałem na walizkę.
- Nie bądź taki cwaniak — powiedział kwaśno. — U nas w rodzinie to przechodzi z ojca na syna.

— Znowu spojrział na moją wizytówkę. — Prywatny detektyw, co? — powiedział w zamyśleniu. — Co pan robi, tak zwykle?

– Cokolwiek, co w miarę uczciwie.

Kiwnął głową.

– „W miarę” to rozciągliwe słowo. Zresztą „uczciwie” też.

Uśmiechnąłem się do niego blado.

– Jakże głęboką ma pan rację — zgodziłem się. — umówmy się w jakieś spokojne popołudnie, to je sobie razem porozciągamy.

Wyjąłem mu spomiędzy palców swoją wizytówkę i wrzuciłem do kieszeni.

– Dzięki za pański cenny czas — powiedziałem.

Wyszedłem zamykając drzwi za sobą, po czym stanąłem przy nich, nasłuchując. Sam nie wiem, co spodziewałem się usłyszeć. Cokolwiek to jednak było, nie usłyszałem nic. Miałem uczucie, że on także stoi dokładnie tam, gdzie go zostawiłem, i patrzy w to miejsce, które opuściłem. Halaśliwie oddaliłem się korytarzem i stanąłem przy schodach.

Sprzed domu odjechał samochód. Gdzieś zamknęły się drzwi. Cicho wróciłem do pokoju 215 i wszedłem otwierając drzwi wytrychem. Zamknąłem je i zaryglowałem cicho; czekałem wewnątrz.

5

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy pan George W. Hicks ruszył w drogę. Wyszedł z pokoju tak bezszelestnie, że nie usłyszałbym go, gdybym na to specjalnie nie czekał. Najpierw cichy, metaliczny odgłos przekręcanego gałki. Potem ciche kroki, potem bardzo łagodnie zamykające się drzwi. Oddalające się kroki. Słabe, odległe skrzypienie schodów. Potem nic. Czekałem na trzaśnięcie drzwi frontowych. Nic. Otworzyłem drzwi numeru 215 i znowu podszedłem do szczytu schodów. Na dole ktoś bardzo ostrożnie próbował otworzyć jakieś drzwi. Spojrzałem i zobaczyłem Hicksa wchodzącego do mieszkania kierownika, Drzwi zamknęły się za nim. Czekałem na jakieś głosy. Ale cisza.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem pod 215.

W pokoju wyraźnie ktoś mieszkał. Na nocnym stoliku było małe radio, obok stało nie posłane łóżko, pod nim buty, a na popękanych, opuszczonych zielonych żaluzjach wisiał stary szlafrok, zasłaniający prześwity.

Przyglądałem się temu wszystkiemu, jakby to coś znaczyło, po czym wyszedłem z powrotem na korytarz i zamknąłem za sobą drzwi. Podjąłem następną pielgrzymkę do pokoju 215. Tym razem był otwarty. Przeszukałem pokój starannie i cierpliwie, ale nie znalazłem niczego, co w jakikolwiek sposób łączyłoby się z osobą Orrina P. Questa. Nie spodziewałem się zresztą nic znaleźć. Niby dlaczego miałbym coś znaleźć. Zawsze jednak warto sprawdzić.

Zszedłem w dół po schodach, przyłożyłem ucho do drzwi kierownika i posłuchałem chwilę; nie usłyszałem nic, wszedłem i ruszyłem do tablicy, żeby zawiesić na niej klucze. Pan Lester B.

Clausen leżał na tapczanie, na boku, twarzą do ściany, martwy dla świata. Przeszukałem biurko, znalazłem starą książkę rachunkową, w której najwyraźniej notowano tylko opłacone czynsz i wydatki, i nic poza tym. Jeszcze raz przejrzałem książkę. Była nieaktualna, ale jedno spojrzenie na faceta na tapczanie mogło stanowić odpowiedź. Orrin P. Owest wyprawdził się. Ktoś wziął po nim pokój. Kto inny dostał pokój zarejestrowany na nazwisko Hicksa. Mały człowieczek przeliczający pieniądze w kuchni doskonale do tego wszystkiego pasował. Fakt, że nosił przy sobie i rewolwer, i nóż, był jedynie przejawem pewnego niewinnego dziwactwa, które nie zwraca niczyjej uwagi na Idaho Street.

Na haku przy biurku wisiała mała książka telefoniczni Bay City. Zdjąłem ją. Wyniuchanie osoby nazwiskiem „Doktor Vince”, z numerem 13572, pójdzie z pewnością łatwo. Przed wszystkim jednak raz jeszcze przewertowałem książkę meldunkową. Trzeba to było zrobić od razu. Strona z nazwiskiem Orrina P. Questa została wydarta. Ostrożny jegomość ten George W. Hicks. Bardzo ostrożny.

Zamknąłem książkę i spojrzałem na Lestera B. Clausena, w nosie zakręcił mi zapach stęchłego powietrza, niezdrowy słodkawy smrodek dżinu i jeszcze czegoś. Ruszyłem w stronę drzwi wejściowych. Kiedy już do nich podszedłem, coś nareszcie do mnie dotarło. Taki pijak jak Clausen powinien cholernie głośno chrapać. Powinien chrapać tak, aż by mu się głowa trzęsła i zdobić to chrapanie wdzięcznym zestawem mlasków, kaszlu i bulgotu. A tymczasem nie wydawał najmniejszego odgłosu. Ramiona i kark miał przykryte brązowym wojskowym kocem. Wyglądało na to, że bardzo mu tak dobrze, że śpi spokojnie. Stałem nad nim i spojrzałem. Coś, co nie było tylko przypadkową fałdą, powstrzymywało koc od bezpośredniego kontaktu z karkiem. Uniosłem koc. Z podstawy czaszki Lestera B. Clausena sterczała kwadratowa żółta drewniana rączka. Po jednej stronie rączki widniał napis: „Pozdrowienia od Crumsen Hardware Company”. Tkwiła tuż poniżej potylicy.

Była to rączka kolca do lodu...

Cichym i spokojnym sprintem dałem stamtąd nogę. Na samej granicy miasta, pół kroku za nią, zamknąłem się w budce telefonicznej i zadzwoniłem na posterunek policji.

– Policja Bay City, Moot przy telefonie — powiedział aksamitny głos.

– Numer 449 Idaho Street — powiedziałem. — Dzwonię z mieszkania kierownika. Nazywa się Clausen.

– Taak? — rzekł głos. — I co mamy z tym zrobić?

– Nie wiem — powiedziałem. — Sam się zastanawiam. Ale facet nazywa się Lester B. Clausen. Jasne?

– A dlaczego to takie ważne? — powiedział puchaty głos bez cienia podejrzliwości.

– Koroner pewnie będzie chciał wiedzieć — rzuciłem i odwiesiłem słuchawkę.

6

Pojechałem z powrotem do Hollywood i zamknąłem się w biurze z książką telefoniczną Bay City. Piętnaście minut zajęło mi ustalenie, że osoba, pasująca do numeru telefonu 13572 w Bay City, to doktor Yincen Lagardie, mieniący się neurologiem. Mieszkanie i gabinet miał na Wyoming Street, która zgodnie z moją mapą, nie należała już do najlepszej dzielnicy willowej, ale nie wypadła całkowicie poza jej granicami. Książkę telefoniczną Bay City zamknąłem w biurku, poszedłem do drugostoru na rogu na kanapkę i kawę, po czym z budki telefonicznej zadzwoniłem do doktora Yincenta Lagardie. Słuchawkę podniosła kobieta. Namówienie jej na połączenie mnie z doktorem sprawiło nieco trudności. Wreszcie rni się udało. Głos doktora zdradzał ogromne zniecierpliwienie, Jest bardzo zajęty, przerwałem mu badanie. W życiu nie spotkałem lekarza, z którym byłoby inaczej. Czy zna Lestera B. Clausena? Nigdy o nim ni słyszał. A dlaczego go o to pytam?

– Pan Clausen próbował do pana dzwonić dziś rano - powiedziałem. — Był zbyt pijany, żeby normalnie rozmawiać

– Ależ ja nie znam pana Clausena — odpowiedział chłodny głos doktora. Ale już się tak bardzo nie śpieszył.

– No, to w takim razie wszystko w porządku — rzekłem — Po prostu chciałem sprawdzić. Ktoś wbił mu w kark kolec do lodu.

Nastąpiła cisza. Głos doktora Lagardie tym razem niemal ociekał uprzejmością.

– Czy ktoś to zameldował na policji?

– Oczywiście — odrzekłem. — Ale pan nie musi się tym przejmować. Chyba że był to pański kolec do lodu.

Przełknął to.

– A kto mówi? — spytał słodko.

– Moje nazwisko Hicks — odpowiedziałem. — George W. Hicks. Właśnie się stamtąd wyprowadziłem. Nie chciałbym zostać zamieszany w coś takiego. Po prostu pomyślałem sobie że skoro Clausen próbował do pana dzwonić, to znaczy zanim został zabity, pan rozumie, to może to pana zainteresuje.

– Przykro mi, panie Hicks — rzekł głos doktora Lagardie. — Ale ja po prostu nie znam pana

Clausena. Nigdy nawet nie słyszałem o panu Clausenie ani się z nim nie kontaktowałem. A mam świetną pamięć do nazwisk.

– No, to doskonale — powiedziałem. — W takim razie teraz tym bardziej go pan nie pozna. Ale ktoś pewnie będzie chciał wiedzieć, dlaczego próbował do pana dzwonić, Chyba że ja zapomnę przekazać dalej tę informację.

Nastąpiła martwa cisza. Doktor Lagardie powiedział:

– Nie wiem, co mam właściwie odpowiedzieć na coś takiego.

– Ja też nie — odpowiedziałem. — Ale może jeszcze zadzwonię. Proszę mnie dobrze zrozumieć, doktorze. To nie jest szantaż. Po prostu jestem zwykłym sobie człowiekiem, zamieszanym w coś bardzo brzydkiego. Potrzebuję przyjaciela. Myślałem sobie, że lekarz... to tak jak ksiądz...

– Jestem całkowicie do pana dyspozycji — rzekł doktor Lagardie. — Proszę się nie krępować, zawsze może pan zasięgnąć porady.

– Dziękuję, doktorze — odpowiedziałem żarliwie. — Ogromnie serdecznie panu dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę. Jeżeli doktor Yincet Lagardie jest w porządku, zadzwoni teraz na policję w Bay City i wszystko im opowie. Jeżeli natomiast tego nie zrobi, to znaczy, że nie jest w porządku. Co może warto, a może nie warto wiedzieć.

7

Telefon na biurku zadzwonił dokładnie o czwartej.

– Czy znalazł pan Orrina, pani Marlowe?

– Jeszcze nie. Gdzie pani jest?

– No... jestem w drugstorze obok...

– Niech pani wejdzie na górę i przestanie się bawić w Matę Hari.

– Czy pan nigdy nie potrafi być grzeczny? — warknęła.

Odwiśnię słuchawkę i walnąłem sobie jednego Old Forestera, żeby wytrzymać nerwowo przesłuchanie. Kiedy go tak powoli wchłaniałem, usłyszałem jej kroki na korytarzu. Wstałem i otworzyłem drzwi.

– Proszę tędy, może pani wejść poza kolejką — powiedziałem.

Siadła skromnie i czekała.

– Odkryłem tylko jedno — rzekłem — że mianowicie tej dziurze na Idaho Street handlują trawką. To znaczy papierosami z marihuany.

– O, to obrzydliwość — odpowiedziała.

– Musimy się niestety pogodzić i z dobrymi, i ze złymi stronami rzeczywistości — powiedziałem.

— Orrin połapał się pewnie i groził, że zawiadomi policję.

– To znaczy — powiedziała znowu udając małą dziewczynkę - że mogli mu coś za to zrobić?

– No, najpierw pewnie go zdrowo nastraszyli.

– O, Orrina nie nastraszyli, panie Marlowe — powiedziała zdecydowanie. — Kiedy ktoś zaczyna mu grozić, robi się okropny.

– Tak, tak — odrzekłem. — Tylko że my nie mówimy chyba o tym samym. Każdego można nastraszyć przy zastosowaniu właściwych środków.

Zacisnęła usta z uporem.

– Nie, panie Marlowe. Orrina nie mogli nastraszyć.

– Dobra — odrzekłem. — A więc nie nastraszyli go. Powiedzmy po prostu, że odciął mu nogę, a potem walili go nią po głowie. Co by wtedy zrobił? Napisał skargę do Biura Ochrony Konsumenta?

– Pan sobie ze mnie żartuje — powiedziała grzecznie. Jej głos był zimny jak zupa w przydrożnym zajeździe. — Czy to wszystko, czego się pan dowiedział przez cały dzień? Że Orrin się wyprowadził i że miał w sąsiedztwie złe towarzystwo? Tyle to i ja odkryłam, panie Marlowe.

Myślałam, że skoro jest pan detektywem i w ogóle... — urwała, a koniec zdania zawisł w powietrzu.

– Zrobiłem jeszcze coś więcej — powiedziałem. — Dałem kierownikowi dzinu, przejrzałem książkę meldunków i rozmawiałem z facetem nazwiskiem Hicks, George W. Hick. Nosi perukę.

Pewnie go pani nie poznała. Mieszka albo mieszkał w pokoju Orrina. Pomyślałem zatem... — tym razem to ja zawiesiłem sobie coś w powietrzu.

Wpatrywała się we mnie swoimi małymi bladymi oczami powiększonymi przez szkła okularów. Jej usta też były małe, zdecydowane, zaciśnięte, ręce zatrzasnęły się na biurku obok wielkiej kwadratowej torby, cała jej postać była wyprostowana i sztywna, oficjalna i pełna dezaprobaty.

– Zapłaciłam panu dwadzieścia dolarów, panie Marlowe — rzuciła zimno. — O ile dobrze rozumiałam, tyle się należy za dzień pracy. Nie wydaje mi się, żeby pan zarobił na dniówkę panie Marlowe.

– Nie — odrzekłem. — To prawda. Ale dzień się jeszcze nie skończył. Niech się pani nie przejmuję tą dwudziestką. Może ją pani sobie zabrać, jeśli wola. Nawet jej nie polizałem.

Otworzyłem szufladę biurka i wyciągnąłem pieniądze. Popchnąłem je ku niej przez blat. Spojrzała na nie, ale ich nie dotknęła. Jej oczy podniosły się powoli, aż spotkały się z moimi.

– Nie miałam tego na myśli. Wiem, że pan robi, co może panie Marlowe.

– Z tymi informacjami, które otrzymałem.

– Przecież powiedziałam panu wszystko.

– Nie sądzę — odrzekłem.

– Oczywiście nic nie mogę poradzić na to, co pan sądzi rzuciła krótko. — Zresztą gdybym wiedziała to, czego chcę się dowiedzieć, nie przychodziłabym do pana, prawda?

– Nie mówię, że wie pani wszystko, co pani chce wiedzieć - odpowiedziałem. — Tylko to, że ja nie wiem wszystkiego, co chciałbym wiedzieć, żeby pomóc pani w tej sprawie. A to, co mi pani mówi, nie trzyma się kupy.

– Co się nie trzyma? Powiedziałam panu prawdę. Jestem siostrą Orrina. Chyba wiem, co z niego za człowiek.

– Jak długo pracował w Cal-Western?

– Przecież panu powiedziałam. Przyjechał do Kalifornii mniej więcej rok temu.. Dostał pracę natychmiast, bo właściwie miał ją, zanim wyjechał.

– Często pisał do domu? Zanim przestał?

– Co tydzień, czasami częściej. Pisał raz do mnie, raz do mamy. Oczywiście listy były do nas obu.

– O czym?

– To znaczy... o czym pisał?

– A pani myśli, że co to znaczy?

– Nie musi pan na mnie warczeć. Pisał o swojej pracy, o fabryce, o ludziach, a czasem o jakimś filmie czy przedstawieniu, które widział. Albo jeszcze o Kalifornii. Pisał też o kościele.

– O dziewczynach nigdy?

– Nie sądzę, by Orrin specjalnie interesował się dziewczynami.

– I przez cały czas mieszkał pod tym samym adresem?

Kiwnęła głową, zdumiona.

– A kiedy przestał pisać?

Tu musiała się zastanowić. Zaciśnęła usta i powiodła czubkiem palca po samym środku dolnej wargi.

– Może trzy, może cztery miesiące temu — powiedziała wreszcie.

– Jaką datę nosił jego ostatni list?

– Nie... nie przypominam sobie dokładnie. Ale powiedziałam, że to było chyba trzy, może cztery... Machnąłem ręką.

– Nic w nim nie było nadzwyczajnego? W tym, co napisał, albo czego nie napisał?

– No... nie. Wyglądał tak samo, jak poprzednie.

– Nie ma pani jakichś przyjaciół albo krewnych w tej części kraju?

Spojrzała na mnie dziwnie, zaczęła coś mówić, po czym potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie.

– W porządku. A teraz powiem pani, co mi się nie zgadza. Nie będę się już czepiał tego, że mi pani nie chce powiedzieć, gdzie pani mieszka, bo może po prostu boi się pani, że pojawię się tam z butelką sznapsa pod pachą i zacznę się do pani dobierać.

- To bardzo niemiłe, co pan mówi — powiedziała.
- Nie mówię niczego miłego. W ogóle nie jestem miły. Według pani żeby być miłym, trzeba by mieć przy sobie co najmniej trzy książki do nabożeństwa. Ale za to jestem wnikliwy. Wie pani, co się nie zgadza w tym całym obrazku? Że się nie boicie. Ani pani osobiście, ani pani mama. A powinniście umierać ze strachu.
- Przycisnęła torbę do piersi małymi, silnymi paluszkami.
- Chce pan przez to powiedzieć, że coś mu się stało?
- Jej głos osłabł nagle i zmienił się w coś w rodzaju żalosego szeptu, jakby grabarz prosił o zapłatę z dołu.
- Nic mi o tym nie wiadomo, ale skoro pani wie, kim był Orrin, skoro listy od niego najpierw przychodziły, a potem przestały, to na pani miejscu nie czekałbym raczej na letnie wakacje żeby tu przyjechać i popytać tu i ówdzie, co się mogło stać. Nie omijałbym także policji, która ma przecież specjalne środki do szukania zaginionych. I na pewno nic poszedłbym zamiast tego do samotnego faceta, o którym nic nie wiem, z prośbą, żeby to on poniuchał trochę za mnie w tych śmieciach. A już zupełnie nie wyobrażam sobie, żeby pani kochana mamusia po prostu siedziała przez cały czas w Manhattan, Kansas, spokojnie, dzień po tygodniu, i cerowała pastorowi ciepłą bieliznę. Orrin nie pisze.. Żadnych wiadomości. A mamusia po prostu wzdycha ciężko i sięga po następną parę gaci. Zerwała się na równe nogi.
- Jest pan obrzydliwy, odpychający! — krzyknęła gniewnie - Jest pan podły, plugawy! Jak pan śmie mówić, że nie martwiłyśmy się obie z mamą! Jak pan śmie!
- Popchnąłem dwadzieścia dolarów gotówką trochę bliżej drugiej strony biurka.
- Martwiłyście się akurat za dwadzieścia dolarów, kotku - powiedziałem. — Tylko że nie wiem, o co właściwie. I chyba nie mam ochoty wiedzieć. Wsadź ten plik banknotów z powrotem do swojej torby i zapomnij o mnie. Może jutro przyjdzie ci ochota pożyczyć tę forszę jakiemuś innemu detektywowi.
- Wrzuciła pieniądze do torby i zatrasnęła ją wściekle.
- Nieprędko zapomnę te pańskie maniery! — powiedziała przez zęby. — Nikt nigdy nie odważył się do mnie mówić w taki sposób!
- Wstałem i obszedłem biurko dookoła.
- Tylko nie myśl o tym za dużo, bo jeszcze ci się to znacznie podobać.
- Wyciągnąłem rękę i zerwałem jej okulary. Cofnęła się pół kroku, prawie się potknęła, a ja instynktownie ją złapałem. Oczy jej się rozszerzyły, położyła mi ręce na piersi i odepchnęła. Znałem pewnego kotka, co pchał mocniej.
- Bez tych szkiełek to masz nawet niezłe oczy — powiedziałem z zachwytem w głosie.
- Odprężyła się, odchyliła nieco głowę i otworzyła lekko usta.
- Pewnie pan to robi ze wszystkimi klientkami — powiedziała cicho. Ręce opadły jej teraz wzdłuż ciała. Torba objęła mi się o nogi. Całym ciężarem oparła się na moim ramieniu. Jeżeli chodziło o to, żebym ją puścił, to pomyliła jej się sygnalizacja.
- Po prostu nie chciałem, żeby pani straciła równowagę.
- Wiedziałam, że z pana dobry człowiek. — Jeszcze bardziej się odprężyła. Całkiem odrzuciła głowę do tyłu. Jej powieki opadły, zadrżały nieco, a usta rozchyliły się troszkę bardziej. Pojawił się na nich ten nieznaczny, prowokacyjny uśmiezek, którego nikt nie musi ich uczyć.
- Myśli pan pewnie, że zrobiłam to specjalnie — powiedziała.
- Co specjalnie?
- No, że się potknęłam.
- Bo ja wiem...
- Szybko objęła mnie za szyję i zaczęła ciągnąć. No więc po całowałem ją. Miałem do wyboru to albo dać jej w łeb. Przez chwilę bardzo silnie przyciskała swoje usta do moich, poczym spokojnie i nadzwyczaj sprawnie obróciła się w moich ramionach i przytuliła. Wydała z siebie długie, pełne ulgi westchnienie.
- W Manhattan, Kansas, mogliby pana za to aresztować — powiedziała.
- Gdyby była jakaś sprawiedliwość, powinni mnie aresztować od razu na dworcu — odparłem.

Zachichotała i stuknęła mnie w nos czubkiem palca.

– Zdaje się, że pan naprawdę woli śmiałe dziewczyny — rzekła, patrząc na mnie spode łba. — W każdym razie nie będzie pan musiał wycierać sobie ust ze szminki. Może następnym razem się umaluję.

– Może teraz za to siądziemy sobie na podłodze — powiedziałem. — Ramiona mi zdrętwiały. Zachichotała znowu i wywinęła się zręcznie.

– Pewnie pan myśli, że całowałam się mnóstwo razy - powiedziała.

– Jak wszystkie dziewczyny.

Kiwnęła głową, jeszcze raz spojrzała na mnie tak samo spode łba, przez co jej rzęsy przecinały tęczęwkę dokładnie na pół.

– Nawet na kościelnych zabawach gra się w całowanie — przyznała.

– W przeciwnym razie nie byłoby kościelnych zabaw - odrzekłem.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę bez szczególnego wyrazu.

– No więc... — zaczęła wreszcie. Podałem jej z powrotem okulary. Włożyła je. Otworzyła torbę, najpierw przejrzała się w małym lusterku, potem pogrzebała jeszcze trochę w środku i wyjęła zaciśniętą dłoń.

– Przepraszam, że byłam taka okropna — powiedziała i wepchnęła coś pod bibułę na biurku.

Posłała mi jeszcze delikatny uśmiezek, ruszyła ku drzwiom i otworzyła je.

– Zadzwoń do pana — rzekła tonem intymnym. I wyszła, stuk, stuk, stuk, oddalając się korytarzem.

Pochyliłem się i podniosłem bibułę. Wygładziłem pogniecione banknoty, które tam leżały.

Pocałunek nie był szczególnie miły, ale najwyraźniej znowu miałem szansę zarobić te dwadzieścia dolarów.

Telefon zadzwonił, zanim zdążyłem znowu zacząć się martwić panem Lesterem B. Clausenem.

Sięgnąłem po słuchawkę myśląc o czym innym. Głos, który usłyszałem, był gwałtowny, ale nieco zamglony, jakby ktoś mówił przez firankę albo przez długą, białą brodę.

– Marlowe? — powiedział.

– Przy telefonie.

– Masz sejf, Marlowe?

Dość już miałem grzeczności jak na jedno popołudnie.

– Przestań pytać, zacznij gadać.

– Zadałem ci pytanie, Marlowe.

– A ja nie odpowiedziałem — odpaliłem. — I tyle. — Wyciągnąłem rękę i przycisnąłem palcami widełki. Trzymałem je tak przez chwilę, grzebiąc dookoła w poszukiwaniu papierosa. Wiedziałem dobrze, że zaraz zadzwoni znowu. Zawsze to robią, kiedy im się zdaje, że są mocni. Nie wygłosili jeszcze ostatecznej kwestii. Kiedy telefon zadzwonił, od razu się odezwałem.

– Jeśli masz jakąś propozycję, to mów, a póki nie przyjąłem zaliczki, mówi się do mnie „proszę pana”.

– Opanuj ten ognisty temperament, przyjacielu. Mam kłopoty, potrzebuję pomocy. Muszę coś schować w bezpiecznym miejscu. Na kilka dni, nie dłużej. A ty będziesz miał za to szybki zarobek.

– Ile? — spytałem. — I jak szybko?

– Stówkę. Leży tu i czeka. Grzeję ją dla ciebie.

– Słyszę, jak mruczy — powiedziałem. — „Tu” to znaczy gdzie? - Słyszałem ten głos jakby dwa razy, raz w słuchawce, drugi raz niczym echo gdzieś w głowie.

– Pokój 332, Hotel Van Nuysa. Zapukaj dwa razy szybko i dwa razy wolno. Nie za głośno. To musi być szybka robota. Jak prędko możesz..,

– Co mam dla pana przechować?

– Poczekaj, aż tu przyjedziesz. Powiedziałem, że się śpięszę.

– Jak się pan nazywa?

– Pokój 332.

– Dziękuję za pański cenny czas — powiedziałem. — Do widzenia.

– Hej, poczekaj, świrusie. To nic z tych rzeczy, co myślisz. Ani forsa. Ani szmaragdowe naszyjniki.

Po prostu coś, co jest bardzo dużo warte dla mnie, a nic dla kogo innego.

- W hotelu jest sejf.
- Chcesz umrzeć w nędzy, Marlowe?
- Czemu nie? Jak Rockefeller. Jeszcze raz do widzenia.

Głos zmienił się. Przestał być przytłumiony. Powiedział ostro i szybko:

- A jak tam leci w Bay City?

Nie odpowiedziałem. Po prostu czekałem. Po drugiej stronie drutu rozległ się blady śmieszek.

- Myślałem, że cię to zainteresuje, Marlowe. Pokój 332. Rusz się, bracie. Dawaj gaz.

Telefon trzasnął mi w ucho. Odłożyłem słuchawkę. Bez żadnego powodu ołówek stoczył się z biurka i złamał na szklanym wichajstrze pod jedną z nóg. Podniosłem go i powoli, starannie, naostrzyłem w temperówce przykręconej do krawędź parapetu, obracając go dookoła, żeby był gładki i równy. Odłożyłem go z powrotem do rynienki na biurku i otrzepałem ręce. Miałem nieograniczone ilości czasu. Wyrząłem przez okno. Nic nie zobaczyłem. Nic nie usłyszałem. A potem, jeszcze bardziej bez powodu, zobaczyłem twarz Orfamay Quest bez okularów, z makijażem, włosami blond zebranymi nad czołem i przewiązanymi przepaską na samym środku. I z łózkowym wyrazem oczu. Wszystkie muszą mieć te łózkowe oczy. Spróbowałem wyobrazić sobie tę twarz na dużym zbliżeniu, jak miętosi ją jakiś męski typ wśród szerokich przestrzeni baru Romanowa.

W dwadzieścia dziewięć minut byłem w hotelu Van Nuysa

8

Kiedyś, dawno temu, musiało tu być nawet elegancko. Ale przestało. Wspomnienia po cygarowym dymie uczepiły się hallu zupełnie tak samo jak brudne złocenia na suficie i oklapłe sprężyny ze skórzanych foteli. Marmur recepcyjnej lady zestarzał się na żółtobrazowo. Ale dywan na podłodze był nowy i spoglądał na mnie surowo, całkiem jak recepcjonista. Ominąłem go i podszedłem do kiosku z papierosami w kącie. Położyłem ćwierć dolara i poprosiłem o paczkę Cameli. Dziewczyna za ladą była słomianą blondynką, miała długą szyję i zmęczone oczy. Położyła przede mną papierosy, dodała pudełko zapalek, po czym wrzuciła moją resztę do puszki z napisem „Podziękowanie od Funduszu Komunalnego”.

- Na pewno życzył pan sobie, żebym to zrobiła, prawda? - spytała uśmiechając się cierpliwie. — Z pewnością pragnie pan przekazać resztę na biedne, małe upośledzone dzieci z krzywymi nogami i tak dalej, prawda?

- A jeśli nie? — zapytałem.

- Wtedy musiałabym wykopać te siedem centów — powiedziała dziewczyna — a to byłoby bardzo skomplikowane.

Miała niski, przeciągły głos: była w nim wilgotna pieszczota, jak dotknięcie mokrego ręcznika. Wrzuciłem do środka jeszcze ćwierć dolara. Dostałem od niej za to uśmiech numer jeden. Przy tej okazji mogłem sobie dokładnie obejrzyć jej dziurki od nosa.

- Miły z pana facet — powiedziała. — Od razu to po panu widać. Inni próbowaliby raczej wejść tutaj i dobrać się do mnie. Niech pan sam pomyśli, dobierać się do dziewczyny za siedem centów.

- Kto teraz pilnuje tej chałupy? — spytałem, nie rozważając wspomnianej ewentualności.

- Dwóch ich jest — zrobiła coś bardzo wolno i elegancko z tylną częścią swojej głowy, ukazując przy tym kolekcję czerwonych lakierowanych paznokci, których starczyłoby na kilka par rąk — Pan Hady siedzi nocami, a pan Flack we dnie. Teraz jest dzień, więc pewnie pan Flack ma dyżur.

- Gdzie go szukać?

Pochyliła się nad kontuarem i pozwoliła mi przy tym powąchać swoje włosy, jednocześnie wskazując półcalowym paznokciem, gdzie jest winda.

- To na końcu tego korytarza, obok pokoju portiera. Na pewno nie przeoczy pan drzwi portiera, ponieważ to tylko połowa drzwi z dużym napisem „Portier”, złotymi literami, u góry. Tylko że akurat ta połowa jest odchylona, więc może pan jednak nie zauważy.

– Zauważę — powiedziałem. — Nawet gdybym miał sobie wmontować w szyję zawiasy, Jak ten Flack wygląda?

– To taki mały, pękaty gość z czymś w rodzaju wąsika. Trochę kłocowaty. Nawet solidnie zbudowany, tylko niewysoki... — Jej palce przesuwają się powoli, tęsknie, wzdłuż kontuaru, aż dotarły do miejsca, gdzie mogłem je złapać, nie włączając na krzesło. — Ale on jest nieciekawym — powiedziała — po co tracić czas?

– Interesy — powiedziałem i zwałem, zanim mi założyła nelsona. Kiedy dotarłem do windy, odwróciłem się i popatrzyłem w jej stronę. Gapiła się za mną z wyrazem twarzy, który sama prawdopodobnie nazwałaby zamyślonym.

Pokój portiera był w połowie korytarza prowadzącego wejściu ze Spring Street. Następne drzwi były uchylone. Najpierw zajrzałem do środka, potem wszedłem i zamknąłem je sobą.

Za małym biurkiem, na którym było bardzo dużo kurzu, wielka popielniczka i mało co poza tym, siedział mężczyzna. Był niski i silnie zbudowany. Pod nosem miał coś ciemnego i najeżonego, co było mniej więcej na cal długie. Siadłem naprzeciwko i położyłem na biurku wizytówkę.

Sięgnął po nią bez podniecenia, przeczytał, odwrócił i starannie przeczytał to, co było na odwrocie. Na odwrocie nie było nic. Wziął z popielniczki połówkę cygara i odwrócił się zapalając je.

– Gdzie cię boli? — warknął pod moim adresem.

– Nigdzie mnie nie boli. Pan jesteś Flack?

Nie raczył nawet odpowiedzieć. Posłał mi spokojne, nieruchome spojrzenie, które albo kryło jego myśli, albo i nie, w zależności od tego, czy miał akurat coś do ukrycia.

– Chcę się czegoś dowiedzieć o jednym waszym kliencie - powiedziałem.

– Jak się nazywa? — spytał Flack bez entuzjazmu.

– Nie wiem, jakiego nazwiska używa tutaj. Mieszka w pokoju 332.

– A jakiego używał, zanim tu przyszedł? — spytał Flack.

– Tego też nie wiem.

– No to jak wygląda? — Flack zrobił się podejrzliwy. Przeczytał znowu moją wizytówkę, ale nic od tego nie zmadrzał.

– Nigdy go nie widziałem, przynajmniej tak mi się zdaje.

– Coś chyba jestem przepracowany — powiedział Flack. Nic nie rozumiem.

– Zadzwoń do mnie — powiedziałem. — Chciał się ze mną widzieć.

– Czy ja panu przeszkadzam?

– Posłuchaj, Flack. Facet z mojej branży miewa czasem wrogów. Sam to dobrze wiesz. Ten gość chce, żebym coś dla niego zrobił. Każe mi tu przyjechać, zapomina się przedstawić i odkłada słuchawkę. Pomyślałem sobie, że lepiej sprawdzę to i owo, zanim pójde na górę.

Flack wyjął z ust cygaro i powiedział cierpliwie:

– Coś musi być ze mną nie w porządku. Ciągłe nic nie rozumiem. W niczym się nie mogę połapać. Pochyliłem się i powiedziałem wolno i wyraźnie:

– Mogłoby na przykład chodzić o to, żeby mnie zgrabnie zwabić do hotelowego pokoju i wykończyć, po czym cichutko się wynieść. Nie chciałbyś chyba, żeby się coś takiego zdarzyło u ciebie, co, Flack?

– Gdyby mnie to tylko cokolwiek obchodziło — powiedział - Myślisz, że taki jesteś ważny?

– Palisz ten kawałek liny okrętowej, bo ci smakuje, czy ci się zdaje, że wyglądasz z tym na większego chojraka, niż jesteś?

– Za czterdzieści pięć tygodniowo — odrzekł Flack — Mam palić coś lepszego? — I spojrzał na mnie spokojnie.

– Nie mam funduszu reprezentacyjnego — powiedziałem - i nie ma jeszcze interesu.

Mruknął coś ze smutkiem, wstał ciężko i wyszedł z pokoju. Zapaliłem swojego papierosa i czekałem. Po krótkiej chwili wrócił i rzucił na biurko kartę meldunkową. „Dr G. W. Hambleton, El Centro, California”. Napisane to było atramentem, wyrobionym charakterem pisma. Recepcjonista napisał jeszcze inne rzeczy, włącznie z numerem pokoju i ceną. Flack wystawił palec, któremu przydałby się manicure albo chociaż szczotka do paznokci.

– Przyjechał o 2.47 — powiedział. — Znaczą się dzisiaj. Na rachunku nic nie ma. Wynajął na

jeden dzień. Nie dzwonił. Nic nie robił. O to ci chodziło?

– Jak on wygląda? — spytałem.

– Nie widziałem go. Myślisz, że sterczą cały czas w recepcji i robią im fotografie, kiedy się wpisują?

– Dziękuję — powiedziałem. — Doktor G.W. Hambleton, El Centro, California. Zobowiązany. — Oddałem mu kartę meldunkową.

– Gdyby było coś, co powinienem wiedzieć — powiedział Flack, gdy wychodziłem — to pamiętasz, gdzie żyję. Jeżeli to w ogóle jest życie.

Kiwnąłem głową i wyszedłem. Są takie dni. Co kogo spotkasz, to świr. Z tego wszystkiego zaczynasz się sam sobie przyglądać w lustrze.

9

Pokój 332 znajdował się z tyłu budynku, koło drzwi pożarowych. Korytarz, który do niego prowadził, pachniał starym dywanem i smarem do zawiasów, i szarą anonimowością tysiąca żalonych ludzkich żywotów. Pudło z piaskiem stojące pod zniszczonym hydrantem pełne było niedopałków papierosów i cygar, kolekcja z wielu dni. Przez otwarte okienko w drzwiach słychać było hałaśliwą muzykę. Przez inne okienko dochodził obłąkany wieloosobowy śmiech. Na końcu korytarza, przy numerze 332, było ciszej.

Zapukałem dwa razy krótko i dwa razy długo, zgodnie z instrukcją. Nic się nie stało. Czułem się bardzo stary i znużony. Czułem się tak, jakbym spędził życie pukając do drzwi w tanich hotelach, gdzie nikomu nie chce się otwierać. Spróbowałem jeszcze raz. Potem wzięłem za klamkę i wszedłem. W dziurce od środka wisiał klucz z czerwoną tasiemką.

Po prawej stronie krótkiego korytarza była łazienka. Wdrzwiach naprzeciwko widać było górną połowę łóżka, na którym leżał jakiś mężczyzna w koszuli i spodniach. Powiedziałem: - Doktor Hambleton? Mężczyzna nie odpowiedział. Ruszyłem w jego stronę, mijając drzwi w łazience. Nagle poczułem tchnienie perfum i już zacząłem się odwracać, ale zrobiłem to zbyt wolno. Kobieta, która siedziała w łazience, stała już przy drzwiach, zasłaniając sobie rącznikiem dolną część twarzy. Nad rącznikiem widniały ciemne okulary. Potem szerokie rondo słomkowego kapelusza w dziwnym szarobłękitnym kolorze. Spod kapelusza wystawało trochę potarganych, blond włosów. Gdzieś dalej, w cieniu, majaczyły niebieskie klipsy. Okulary słoneczne miały białą oprawkę z szerokimi, płaskimi bokami. Kolor ubrania pasował do kapelusza. Spod rozchylonego płaszcza z haftowanego jedwabiu - może sztucznego — widać było sukienkę. Poza tym miała na sobie jeszcze długie rękawiczki, a w prawej dłoni rewolwer. Biały uchwyt z kości. Wyglądał na kaliber 32.

– Odwróć się i połącz dłonie na karku — powiedziała przez rącznik. Stłumiony głos mówił mi równie mało co ciemne okulary. To nie ten głos słyszałem przez telefon. Nie poruszyłem się.

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że żartuję — powiedziała. Masz dokładnie trzy sekundy, żeby zrobić, co każe.

– Mogłaby mi pani dać minutkę? Tak miło na panią patrzeć.

Ostrzegawczo machnęła małym rewolwerem.

– Odwróć się — rzuciła. — I to szybko.

– Głos też mi się podoba.

– W porządku — powiedziała twardo, groźnie — dostaniesz, czego chcesz.

– Tylko proszę nie zapominać, że jest pani damą — powiedziałem i odwróciłem się, podnosząc ręce na wysokość ramion. Lufa rewolweru dziabnęła mnie w szyję. Jej oddech prawie mnie połaskotał. Perfumy były jakieś tam, eleganckie, niezbyt silne, niezbyt zdecydowane. Rewolwer na moim karku odsunął się nagle i za chwilę w oczach zapalił mi się biały płomień. Jęknąłem i upadłem do przodu na ręce i kolana, sięgając szybko za siebie. Moja dłoń dotknęła nogi w nylonowej pończosze, ale ześliznęła się. Straszna szkoda, sądząc po dotyku była to całkiem niezła noga. Szok następnego uderzenia wybił mi ze łba te przyjemności, wydałem więc chrapliwy jęk człowieka w beznadziejnym stanie. Upadłem na podłogę. Drzwi otworzyły się. Zazgrzytał klucz.

Drzwi się zamknęły. Klucz się obrócił. Cisza.

Pozbierałem się jakoś na nogi i poszedłem do łazienki. Umyłem sobie głowę ręcznikiem zmoczoną w zimnej wodzie. Czuję się tak, jakbym dostał obcasem. Z pewnością nie była to rękojeść rewolweru. Krwawiłem trochę, ale nie bardzo. Wyplukałem ręcznik i stanąłem tak, klepiąc się w skaleczenie i zastanawiając się, dlaczego właściwie nie poleciałem za nią z wrzaskiem. Zamiast tego gapiałem się w otwartą szafkę na lekarstwa nad umywalką. Górna część puszek z talkiem była kompletnie rozwalona. Na półce pełno talku. Ktoś pociął tubę pasty do zębów. Szukał czegoś.

Wróciłem do przedpokoju i spróbowałem drzwi wejściowych. Były zamknięte od zewnątrz.

Schyliłem się i spojrzałem przez dziurkę od klucza. Był to jednak zamek góra-dół gdzie dziurka od klucza jest z każdej strony na innej wysokości. Dziewczyna w ciemnych okularach z białą oprawką niewiele wiedziała o hotelach. Przekręciłem nocny rygielek, co odblokowało zewnętrzny zamek, otworzyłem drzwi, rozejrzałem się po pustym korytarzu i znowu zamknąłem.

Wtedy podszedłem do mężczyzny na łóżku. Nie poruszył się przez cały ten czas z dość oczywistego powodu.

Pokój miał parę okien, przez które padało ukośne pasmo wieczornego słońca, sięgając niemal przez całe łóżko i zatrzymując się w okolicach karku leżącego mężczyzny. To, na czyn zatrzymywało się światło, było białoniebieskie, lśniąca i okrągła. Mężczyzna leżał dość wygodnie, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, bez butów. Policzek miał oparty na poduszce i wydawał się całkowicie odprężony. Na głowie miał perukę. Ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałem, nazywał się George W. Hick. Teraz był to dr G.W. Hambleton. Te same inicjały. Nie miało to już zresztą żadnego znaczenia. Nigdy z nim już nie rozmawiam.

Krwi nie było. Wcale — co jest jedną z nielicznych dobrych stron fachowo wykonanej roboty z kolcem do lodu. Dotknąłem karku, był jeszcze ciepły. Podczas gdy to robiłem, słoneczne pasmo zdążyło się przesunąć z rękojeści kolca w stronę lewego ucha. Odwróciłem się i rozejrzałem się po pokoju. Pudło telefonu otwarto i tak pozostawiono. W kącie leżała Biblia. Biurko przeszukano.

Podszedłem do szafy i zajrzałem do środka. Były w niej ubrania i walizka, którą już raz widziałem. Nie znalazłem nic szczególnego. Podniosłem z ziemi kapelusz, położyłem go na biurku i wróciłem do łazienki. Najciekawsze było teraz to, czy ludzie, którzy zadźgali dr. Hambletona znaleźli to, po co przyszli. Mieli bardzo mało czasu. Bardzo starannie przeszukałem łazienkę. Podniosłem pokrywę rezerwuaru i spuściłem wodę. Nic tam nie było. Zajrzałem do rury kanalizacyjnej. Nie wisiał tam żaden drut z czymś przyczepionym. Przeszukałem biurko. Było puste, jeżeli nie liczyć jakiejś starej koperty. Odkręciłem moskitiery i obmacałem parapet od zewnętrznej strony.

Podniosłem Biblię i przewertowałem ją jeszcze raz. Sprawdziłem tyły trzech obrazów i przestudiowałem brzeg dywanu. Był przybity pinezkami ciasno do ściany, a w zagłębieniach po pinezkach zalegał kurz. Klęknąłem na podłodze i sprawdziłem tę część, która była schowana pod łóżkiem. Jak wyżej. Stanąłem na krześle, zajrzałem do klosza od lampy. Było w nim parę martwych ciem i kurz. Obejrzałem łóżko. Posłał je fachowiec i od tego czasu nikt już go nie ruszał. Obmacałem poduszkę pod głową martwego mężczyzny, potem wyjąłem z szafy zapasową poduszkę i obejrzałem jej brzegi. Nic.

Płaszcz doktora Hambletona wisiał na oparciu krzesła. Przeszukałem go, wiedząc dobrze, że to ostatnie miejsce, gdzie mógłbym coś znaleźć. Ktoś porozcinał nożem podszewkę i watolinę w ramionach. W kieszeniach były zapalniczki, kilka cygar, para ciemnych okularów, nie używana tania chusteczka do nosa, i przedarty bilet do kina w Bay City, mały grzebyk, nierozpieczętowana paczka papierosów. Obejrzałem ją w świetle. Nie wydawała się naruszona. Naruszyłem ją zatem. Zerwałem opakowanie, przejrzałem je, ale znalazłem jedynie papierosy.

Teraz został mi już tylko dr Hambleton. Odwróciłem go i przeszukałem kieszenie. Trochę drobnych, jeszcze jedna chusteczka, mała tubka sznureczków do czyszczenia zębów, pęk kluczy, rozkład jazdy autobusów. W portfelu ze świńskiej skóry były jeszcze znaczki pocztowe, drugi grzebyk (ten to naprawdę dbał o swoją perukę), trzy płaskie paczuszki białego proszku, siedem kart wizytowych z napisem „Dr G. W. Hambleton, O. Tusttn Building, El Centro, Kalifornia, godziny przyjęć: 9-12 i 14-16. Tylko umówione wizyty. Telefon El Centro 50406 Nie było prawa jazdy ani

polisy ubezpieczeniowej, ani legitymacji ubezpieczeń społecznych, śladu jakiegokolwiek dokumentu tożsamości. W portfelu znalazłem natomiast 164 dolary w banknotach. Włożyłem portfel z powrotem tam, skąd go wyjąłem.

Wziąłem z biurka kapelusz dr. Hambletona i sprawdziłem wstążkę i wewnętrzną tasiemkę. Wstążka została przecięta nożem, zwisała w strzępach. W środku nie było nic. Nie było też śladu uprzedniego cięcia i klejenia.

I tyle. Jeżeli mordercy wiedzieli, czego szukają, to chodziło o coś, co może się zmieścić w książce, w puszcze telefonu, w tubie pasty do zębów albo pod wstążką od kapelusza. Wróciłem do łazienki i obejrzałem własną głowę. Wciąż jeszcze sączył się z niej wąziutki strumyk krwi. Potraktowałem go znowu zimną wodą i wysuszyłem skaleczenie kawałkiem papieru toaletowego, po czym spuściłem wodę. Wróciłem do pokoju i stałem przez chwilę, patrząc na dr. Hambletona, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Robił wrażenia starego wróbla. Słoneczne pasmo przesunęło się teraz zupełnie w kąt pokoju, zeszło z łóżka i schowało się w smutny, zakurzony kąt.

Uśmiechnąłem się nagle, pochyliłem się i szybko, wciąż z uśmiechem na twarzy, niezupełnie na miejscu, zrzuciłem dr. Hambletonowi z głowy perukę i wyrzuciłem ją na lewą stronę. Nic prostszego. Do obszycia peruki przymocowano plastrem kawałek pomarańczowego papieru, osłonięty kwadracikiem z celofanu. Oderwałem go, rozwinąłem i przeczytałem, że jest to numerowany kwit ze sklepu fotograficznego w Bay City. Włożyłem go do portfela i starannie wsadziłem perukę z powrotem na martwą, jajowatą, łysą głowę.

Zostawiłem pokój otwarty, bo nie miałem go jak zamknąć.

W głębi korytarza radio wciąż darło się przez okienko pod drzwiami, a przeraźliwy pijacki śmiech towarzyszył mu z naprzeciwka.

10

Pracownik sklepu fotograficznego w Bay City powiedział mi przez telefon:

– Tak, panie Hicks, zrobiliśmy je dla pana. Sześć odbitek powiększeniu, na błyszczącym papierze, z pańskich negatywów,

– O której zamykacie?

– Och, dziś za pięć minut. Otwieramy jutro o dziewiątej rano.

– W taki razie odbiorę je rano. Dziękuję.

Odwiesiłem słuchawkę, sięgnąłem mechanicznie w zagłębienie i znalazłem czyjaś monetę.

Przeszedłem do kontuaru, kupiłem sobie za nią kawę i siedziałem tak, popijając i słuchając skarg samochodowych klaksonów z ulicy. Trzeba było iść do domu. Zagwizdały gwizdki. Zawarczały silniki. Zajęczały stare hamulce. Po chodniku szemrały monotonna, równo, ludzkie kroki. Było koło wpół do szóstej. Skończyłem kawę, nabiłem obie fajkę i powędrowałem z powrotem do hotelu Van Nuysn. Przy okienku pocztowym włożyłem pomarańczowy kwit ze sklepu fotograficznego do koperty z hotelowym nadrukiem i zaadresowałem ją do siebie samego. Przykleiłem znaczek na ekspres i wrzuciłem do skrzynki przy windzie. Później wróciłem do Flacka.

Znowu zamknąłem za sobą drzwi i siadłem naprzeciwko niego. Flack wyglądał tak, jakby się nie poruszył ani o milimetr. Ponuro przeżuwał ten sam ogryzek cygara, a jego oczy były nadal pełne niczego. Zapaliłem fajkę pocierając zapalką o brzeg jego biurka. Nachmurzył się.

– Dr Hambleton nie odpowiada na pukanie — powiedziałem.

– Że co? — spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem.

– Facet w 332. Pamiętasz? Nie otwiera drzwi.

– To co mam zrobić? Przyasać rewolwery? — spytał Falck.

– Pukałem kilka razy — powiedziałem. — Nikt nie odpowiada. Myślałem, że może się kąpie albo coś w tym rodzaju, ale nic nie było słyhać. Poszedłem na chwilę, a potem znowu spróbowałem. Znowu nic.

– Powiedziałeś, że go tam nie ma — odrzekł z irytacją — To co? Nie ma go.

– Nie powiedziałem, że go nie ma. Powiedziałem, że nie odpowiada na pukanie.

Flack pochylił się. Bardzo wolno usunął z gęby kikut cygara i położył go na popielniczce.

- Gadaj dalej, jak chcesz, żebyśmy to polubili — powiedział ostrożnie.
- Może zechciałby pan pójść na górę i rzucić okiem odrzekłem. — Może nie widział pan ostatnio pierwszorzędnej robótki z kolcem do lodu.

Flack położył ręce na oparciu krzesła i mocno je ścisnął — O Jezu — powiedział z bólem. — O Jezu. — Zerwał się na równe nogi i otworzył szufladę. Wyjął z niej duży czarny rewolwer, otworzył magazynek, przestudiował naboje, przełamał lufę, potem ją zatrzasnął. Rozpiął marynarkę i wsadził sobie rewolwer za pasek. W gwałtownej potrzebie mógł się w ten sposób dostać do niego w niecałą minutę. Nacisnął głęboko kapelusz i pokazał palcem drzwi.

Cicho weszliśmy na trzecie piętro. Przeszliśmy korytarzem. Nic się nie zmieniło. Odgłosy nie były ani głośniejsze, a cichsze niż przedtem. Flack szybko dotarł do drzwi 332 i z przyzwyczajenia zapukał. Potem spróbował je otworzyć. Spojrzał na mnie z grymasem na ustach.

- Powiedziałeś, że drzwi nie były zamknięte — poskarżył się.
- Nie powiedziałem nic takiego. Tylko, że były otwarte.
- Teraz nie są — rzekł Flack i wyłowił klucz na długim łańcuszku. Otworzył zamek i rozejrzał się po korytarzu. Przekręcił powoli gałkę, bezszelestnie, i uchylił drzwi na parę cali. Nasłuchiwał. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Cofnął się, wyjął czarny rewolwer sztywno do góry, wszystko jak ten zły kowboj ze słabego westernu. — Idziemy — rzucił przez zęby. Przez jego ramię zobaczyłem, że dr Hamblton leży dokładnie tak jak przedtem, ale kolca do lodu nie było widać od wejścia. Flack pochylił się i bardzo ostrożnie wśliznął się do pokoju. Doszedł do drzwi łazienki i przyłożył oko do szpary, po czym popchnął drzwi, aż uderzyły o wannę. Wszedł i wyszedł, następnie wkroczył do pokoju; był czujny, przezorny — żadnego zbędnego ryzyka. Spróbował drzwi do szafy, podniósł rewolwer i otworzył je szeroko. W szafie nie było podejrzanych.

- Zajrzyj pod łóżko — powiedziałem.

Flack pochylił się szybko i zajrzał pod łóżko.

- Zajrzyj pod dywan — powiedziałem.
- Kpisz sobie ze mnie? — spytał wściekłym głosem.
- Po prostu miło patrzeć, jak pracujesz.

Pochylił się nad martwym mężczyzną i obejrzał dokładnie kolec.

- Ktoś zamknął te drzwi — wyszczerzył zęby. — Chyba że kłamiesz i że nie były otwarte. Nic nie powiedziałem.

- No, myślę, że dzwoniemy po gliny — powiedział wolno. Tego się nie da ukryć.

- To nie twoja wina — powiedziałem mu. — Zdarza się nawet i w najlepszych hotelach.

11

Rudy lekarz wypełnił świadectwo zgonu i wsunął pióro do zewnętrznej kieszeni swej białej marynarki. Zamknął książkę ze słabym uśmiechem.

- Rdzeń pacierzowy przebity dokładnie poniżej potylicy, moim zdaniem — powiedział lekko. — Bardzo wrażliwe miejsce jeżeli ktoś umie je znaleźć. A najwyraźniej ten ktoś umiał.

Detektyw porucznik Christy French warknął:

- Myślisz, że nigdy czegoś takiego nie widziałem?
- Nie, nie myślę — rzekł lekarz. Jeszcze raz szybko spojrzął na trupa, odwrócił się i wyszedł z pokoju. — Wezwę korcnera — rzucił przez ramię. Drzwi zamknęły się za nim.
- Dla tych ptaszków trup znaczy tyle, co dla mnie talerz odgrzewanej zupy — powiedział kwaśno Christy French do zamkniętych drzwi. Jego kolega, glina nazwiskiem Fred Beifus klęczał na jednym kolanie przy telefonie. Rozpylił na nim swój proszek, zdmuchnął go i zaczął szukać odcisków palców. Przyglądał się smugom przez szkło powiększające. Potrząsnął głową, potem zdjął coś ze śruby, którą skręcona była obudowa.
- Szare, bawełniane karawaniarskie rękawiczki — powiedział z obrzydzeniem. — Po cztery centy para w hurcie. Kupa pięknych odcisków będzie w tej dziurze, akurat. Szukał czegoś w telefonie,

co?

– Najwyraźniej coś tam mogło być — powiedział French — Odcisków i tak się nie spodziewałem. Te numery z kolcem do lodu to fachowa robota. Szybko wyszukamy speców od tego. Na razie to tylko przegląd.

Przeszukiwał kieszenie trupa wykładając to, co w nich znalazł, na łóżko, obok spokojnego i stygnącego już ciała. Flack siedział na krześle pod oknem, patrząc przed siebie ponuro. Pojawił się zastępca kierownika, powiedział byle co, z wyrazem smutku i zakłopotania, i sobie poszedł.

Opierałem się o ścianę łazienki i robiłem przegląd palców u rąk.

Flack powiedział nagle:

– Taka robota z kolcem do lodu to coś dla panienki. Można te kolce dostać wszędzie. Dziesięć centów. W nagłej potrzebie wsuwa się to za podwiązkę i niech sobie siedzi.

Christy French spojrział na niego szybko, w jego wzroku było coś w rodzaju zastanowienia. Beifus powiedział:

– Z kimżeś ty się ostatnio zadawał, kotku? Przy dzisiejszych cenach pończoch dziewczyna wsadziłaby tam prędzej piłę do metalu.

– Rzeczywiście, nie pomyślałem — powiedział Flack.

Beifus rzekł:

– Myślenie zostaw nam, kochasiu. Do tego trzeba mieć wyposażenie.

– Po co zaraz tak ostro — odparł Flack.

Beifus zdjął kapelusz i ukłonił się.

– Niech pan nam nie odmawia tych drobnych przyjemności, panie Flack.

Christy French powiedział:

– Poza tym kobieta waliłaby kilka razy. Nie wiedziałyby nawet, ile razy wystarczy. Amatorzy nigdy nie wiedzą. Ktokolwiek to zrobił, to był artysta. Trafił w rdzeń za pierwszym razem. I jeszcze jedno: facet musi przy tym leżeć spokojnie. To znaczy, że była więcej niż jedna osoba — chyba że był czymś naćpany albo że morderca był jego przyjacielem.

Powiedziałem:

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jakim sposobem mógł być naćpany, jeżeli to on do mnie dzwonił.

French i Beifus popatrzyli na mnie obaj w ten sam sposób z wyrazem cierpliwości i znudzenia.

– Jeżeli! — powiedział French. — A skoro nie znasz faceta, zgodnie z tym, co mówisz, zawsze jeszcze jest ta mała szansa, że nie poznasz jego głosu. Czy jestem może zbyt subtelny?

– Nie wiem — powiedziałem. — Nie czytałem bilecików od pańskich wielbicielek.

French uśmiechnął się zgryźliwie.

– Nie trać na niego czasu — powiedział Beifus. — Zachowaj to sobie na występ w Klubie Gospodyń Domowych. Niektóre starsze panie uwielbiają podniecające strony morderstwa.

French skręcił sobie papierosa i zapalił go zapalką, którą , potarł o oparcie krzesła. Westchnął.

– Wypracowali tę technikę w Brooklynie — wyjaśnił. — Specjalizowali się w tym chłopcy Sunny'ego Moe Steina, ale zaczęli z tym przesadzać. Doszło do tego, że nie można było wejść do pustego domu, żeby nie znaleźć jakiejś ich robótki. Potem wypłynęli tutaj, to znaczy to, co z nich zostało. Tak właśnie myślę, dlaczego to właściwie zrobili?

– Może u nas jest więcej pustych domów — powiedział Beifus.

– Ale to jednak zabawne — rzekł French, prawie rozmarzony. — Kiedy Płaksa Moyer kazał załatwić Sunny'ego Moe Steina na Franklin Avenue w lutym zeszłego roku, zabójca użył rewolweru. Moe nie byłby z tego zadowolony.

– Pewnie dlatego miał na twarzy takie rozczarowanie kiedy mu już zmyli krew — zauważył Beifus.

– Kto to jest Płaksa Moyer? — spytał Flack.

– Następnym po Moem w organizacji — odpowiedział mu French. — To mogła być jego robota. Tyle że pewnie nie zrobił tego osobiście.

– Czemu nie? — spytał kwaśno Flack.

– Czy wy nigdy nie czytacie gazet? Moyer jest teraz dżentelmenem. Z najelegantszego towarzystwa. Nawet zmienił nazwisko. A jeśli chodzi o ten numer z Sunnym Moem Steinem, to

akurat przypadkiem mieliśmy go w pudle po nalocie na tajne kasyno. Nic nam to nie dało. Ale za to zafundowaliśmy mu świetne alibi. W każdym razie teraz jest dżentelmenem, a dżentelmen nie biega po mieście i nie wbija nikomu kolców do lodu w kark. Dżentelmen ma od tego ludzi.

– Czy mieliście kiedyś coś na Moyera? — spytałem.

French spojrział na mnie ostro.

– Dlaczego?

– Po prostu przyszło mi coś do głowy. Nic konkretnego — powiedziałem. French przyjrzał mi się wolno i uważnie.

– Między nami dziewczynami w damskiej toalecie — powiedział — nie udało nam się nawet nigdy udowodnić, że ten facet to jest Moyer. Ale nie rozpowiadaj tego po mieście. Nikt tego nie wie tak naprawdę, tylko on, jego adwokat, prokurator okręgowy, cała policja, rada miejska i jeszcze może ze dwieście, trzysta osób.

Trzepnął się portfelem zmarłego w udo i przysiadł na łóżku. Pochylił się obojętnie nad nogą trupa, zapalił papierosa i kiwał nim powoli.

– Dość tej działalności rozrywkowej. Posłuchaj, co mamy Fred. Przede wszystkim klient nie był szczególnie rozgarnięty. Podawał nazwisko G.W. Hambleton i miał drukowane wizytówki z adresem w El Centro i numerem telefonu. Dwie minuty zajęło mi sprawdzenie, że nie ma takiego adresu ani takiego numeru. Cwaniak nie odkrywa się tak łatwo. Poza tym facet najwyraźniej nie śmierdzi forszą. Ma w kieszeni czternaście dolarów i dwa drobnymi, a na kółku ani kluczyka do samochodu, ani klucza do sejfów, ani nawet domowego. Ma tylko kluczyk od walizki i siedem wytrychowych kluczyków Yale, nawet dość niedawno wypilowanych. Mam wrażenie, że planował dłuższy spacer po pokojach w tym hotelu. Myślisz, Flack, że te kluczyki działałyby u was?

Flack podszedł i przyjrzał się kluczom.

– Dwa z nich mają właściwy rozmiar — powiedział. — Nie potrafię tak na oko powiedzieć, czy by pasowały. Jak mi potrzebny taki uniwersalny klucz, to biorę go z biura. Sam mam normalny wytrych. Używam go tylko wtedy, kiedy gościa nie ma.

Wyjął z kieszeni klucz na długim łańcuszku i porównał. Potrząsnął głową. — Trzeba by nad nimi jeszcze popracować, inaczej są do niczego — powiedział. — Za dużo zostało metalu.

French strząsnął popiół w zagłębienie dłoni i zdmuchnął go jak kurz. Flack siedł z powrotem na swoim krześle pod oknem.

– Następny punkt — oznajmił French. — Nie ma prawa jazdy ani żadnego innego dokumentu. Ani jednej części zewnętrznej garderoby nie kupił w El Centro. Kręcił na pewno jakiś ciemny interes, ale nie wygląda na faceta, co fałszuje czeki.

– Pamiętaj, że nie widziałeś go, kiedy był w formie — rzucił Beifus.

– A poza tym ten hotel to fatalne miejsce na coś takiego - ciągnął French. — I tak ma spaprana reputację.

– No, chwileczkę! — podskoczył Flack.

French przerwał mu jednym gestem.

– Znam każdy hotel w tym mieście, Flack. Za to mi płacą. Za pięćdziesiąt dolarów zobowiązuję ci się zorganizować tu w godzinę, w którymkolwiek pokoju, numer ze striptizem we francuskim stylu. Nie rób mnie w konia. Zarabiasz na życie i ja też. Tylko nie rób mnie w konia. Dobra? Facet miał coś, co bał się trzymać przy sobie. To znaczy wiedział, że ktoś mu depta po piętach, i to coraz bardziej. Proponuje Marlowe'owi setkę, żeby mu to przechował. Ale nie ma przy sobie tyle forsy. Musiał liczyć na to, że Marlowe jakoś dobije z nim targu. W takim razie nie chodziło pewnie o trefną biżuterię. Musiało to być coś półlegalnego. Tak, Marlowe?

– To „pół” mógł pan sobie darować — powiedziałem.

French uśmiechnął się blade.

– Czyli że miał coś, co dało się złożyć albo zwinąć i wsadzić do telefonu, pod pasek od kapelusza, w Biblię, do pudełka z talkiem. Nie wiemy, czy to znaleziono, czy nie. Wiemy jednak, że było bardzo mało czasu. Nie więcej, niż pół godziny.

– Jeżeli to dr Hambleton dzwonił — powiedziałem. Tę sprawę rozgrzebał pan sam.

– W przeciwnym razie w ogóle nie wiadomo, po co ten telefon. Zabójcy nie śpieszyło się wcale,

żeby go znaleziono. Po co miałby prosić kogoś, żeby tu wpadł? — Odwrócił się do Flacka. — Jest jakiś sposób, żeby sprawdzić, kto go odwiedzał?

Flack potrząsnął głową ponuro.

— Nie trzeba nawet przechodzić koło recepcji, żeby wsiąść do windy.

Beifus powiedział:

– Może właśnie dlatego wybrał ten hotel. No i jeszcze z powodu tego domowego ciepła.

– W porządku — powiedział French, — Ktokolwiek go stuknął, mógł sobie wchodzić i wychodzić, i nikt go o nic nie pytał. Musiał tylko znać numer pokoju. I to wszystko, co wiemy. W porządku, Fred?

Beifus kiwnął głową.

– Niezupełnie wszystko — powiedziałem. — To niezła peruka, ale jednak peruka.

French i Beifus zgodnie rzucili się w tamtą stronę. French wyciągnął rękę, ostrożnie zdjął facetowi włosy z głowy i gwizdnął.

– Zastanawiałem się, z czego ten cholerny lekarz tak się chichrał — powiedział. — Skurwysyn nawet słowa o tym nie pisnął. Fred, ty popatrz, czy mnie oczy mylą!

– Ja tam widzę tylko faceta bez włosów — odpowiedział Fred.

– Może go nigdy nie znałeś. Mileaway Marston. Robił kiedyś dla Asa Devore'a.

– No jasne! — zachichotał Beifus. — Pochylił się i poklepał łagodnie łysą głowę. — Gdzieżeś ty bywał przez te lata Mileaway? Tak dawno cię nie widziałem, że zapomniałem. Ale ty mnie znasz, chłopie. Jak kto raz był mięczak, to już zawsze taki.

Bez swojej peruki człowiek na łóżku był stary, sztywny i skurczony. Żółta maska śmierci zaczynała obrysowywać jego twarz twardymi liniami.

French powiedział spokojnie:

– No, to przynajmniej kamień spadł mi z serca. Ten facet to nie będzie robota na dwadzieścia cztery godziny dziennie. Niech go diabli. — Położył perukę z powrotem na jednym oku i wstał z łóżka. — To wszystko, jeśli o was chodzi — rzucił do mnie i Flacka.

Flack wstał.

– Dzięki za morderstwo, kochasiu — powiedział do niego Beifus. — Jak ci się jeszcze trafi coś takiego, jesteśmy do usług. Może nie są najlepsze, ale za to szybkie.

Flack ruszył korytarzem i otworzył drzwi. Poszedłem za nim; po drodze do windy nie mówiliśmy nic. Po drodze na dół także nie. Wszedłem za nim do jego biura i zamknąłem drzwi. Wydawał się zaskoczony.

Siadł za biurkiem i sięgnął po telefon.

– Muszę zameldować zastępcy kierownika — powiedział. — Chcesz coś?

Obróciłem w palcach papierosa, zapaliłem go i dmuchnąłem dymem przez biurko.

– Sto pięćdziesiąt dolarów — powiedziałem.

Małe, uważne oczka Flacka zmieniły się w okrągłe dziurki w twarzy całkowicie wypranej z wszelkiego wyrazu.

– Tylko bez głupich żartów — powiedział.

– Po tych dwóch komikach tam na górze nie mógłbyś nawet mieć do mnie pretensji. Ale to wcale nie żarty. — Stukałem rytmicznie w brzeg biurka i czekałem.

Cieniutkie strużki potu ukazały się na wardze Flacka, pod małym wąsikiem.

– Mam robotę — powiedział, tym razem bardziej gardłowo — Odwal się i zjeżdżaj stąd.

– Ale z ciebie ostry facet — powiedziałem. — Kiedy go przeszukałem, dr Hambleton miał w portfelu sto sześćdziesiąt cztery dolary. Obiecał mi setkę jako zaliczkę, pamiętasz? Teraz w tym samym portfelu jest czternaście dolarów. A ja naprawdę zostawiłem drzwi otwarte. Ktoś inny je zamknął. Ty, Flack.

Flack złapał oparcie krzesła i ścisnął je. Głosem, dobywającym się gdzieś z samego dna studni, powiedział:

– Nie możesz mi niczego dowieść.

– Mam spróbować?

Wyjął rewolwer zza paska i położył go na biurku prze sobą. Gapił się w niego, ale rewolwer nie

miał mu nic do powiedzenia. Znowu podniósł na mnie oczy.

– Pół na pół, co? — powiedział z rozpaczą.

Na chwilę zapadła cisza. Wyjął swój stary, zniszczony portfel i pogrzebał w nim. Wyciągnął plik banknotów, ułożył na biurku w dwie kupki i jedną popchnął w moją stronę.

– Chcę całe sto pięćdziesiąt — powiedziałem.

Skulił się w fotelu i wpatrywał w róg biurka. Po dłuższej chwili westchnął. Złożył obie kupki razem i przesunął je na moją stronę biurka.

– On i tak nic by z tego nie miał — powiedział. — Zabieraj szmal i spierdalaj. Ja cię zapamiętam, facet. Niedobrze mi się robi od takich jak ty. Skąd mam wiedzieć, czy mu nie dmuchnąłeś pół badyla?

– Ja bym zabrał wszystko. Morderca też. Po co zostawiać czternaście dolarów?

– No więc po co zostawiłem czternaście dolarów? — spytał Flack znużonym głosem, poruszając zmęczonymi palcami wzdłuż krawędzi biurka. Wziąłem pieniądze, przeliczyłem je i rzuciłem mu z powrotem.

– Bo robisz w tym interesie i mogłeś go dokładnie ocenić. Wiedziałeś, że ma przynajmniej na pokój i parę dolarów drobnymi. Gliny pomyślałyby tak samo. Masz, nie chcę tej forsy. Chcę czegoś innego.

Gapił się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Zabieraj tę forszę, niech jej nie widzę.

Sięgnął i wcisnął ją z powrotem do portfela.

– Znaczący, czego innego? — jego oczy zrobiły się małe i przebiegłe. Językiem przygryzał dolną wargę. — Nie wydaje mi się, żebyś mógł stawiać jakieś warunki.

– Tu się chyba trochę mylisz. Jeżeli pójde tam na górę i powiem Christy'emu i Beifusowi, że byłem tam wcześniej i przeszukałem ciało, to na pewno mnie opierdolą, nie ma co. Ale zrozumieją, że nie ukrywałem tego tylko dlatego, że taki jestem chytry. Domyśla się, że mam klienta, którego muszę osłaniać. Usłyszę parę ostrych słów i trochę mi pogrozą. Ale z tobą będzie inaczej. — Zatrzymałem się i patrzyłem, jak powoli jego czoło zaczyna lśnić wilgocią. Przelknął z trudem. W oczach miał coś chorego.

– Przestań się wymądrzać i kawę na ławę — powiedział. Uśmiechnął się złośliwie, przebiegłe. — Spóźniłeś się trochę, żeby ją obronić, co? — Oblesny uśmieszek, który mu stale towarzyszył, wracał powoli na swoje miejsce, wolno, ale z rozkoszą.

Zgasilem papierosa i wyjąłem drugiego, pozwoliłem sobie na cały zestaw niespiesznych, jałowych gestów przy jego zapalaniu, żeby zachować twarz: wyrzuciłem zapalnik, dmuchnąłem dymem w bok, zaciągnąłem się głęboko, jakby ten obskurny pokój był szczytem wzgórza nad wzburzonym oceanem — nie darowałem sobie ani jednego wyświechtanego numeru z mojego repertuaru.

– W porządku — powiedziałem. — Przyznaję, że była tam kobieta. Przyznaję, że musiała tam wejść, kiedy on już nie żył, jeżeli to cię uszczęśliwi. Myślę, że uciekła pod wpływem paniki..

– No pewnie — powiedział Flack złośliwie. Oblesny uśmieszek już się całkiem rozgościł. — Albo może już od miesiąca nie dziabnęła nikogo kolcem do lodu i trochę straciła wprawę.

– To po co brałaby jego klucz? — powiedziałem właściwie do siebie. — I po co oddawałaby go w recepcji? Dlaczego po prostu nie wyszła, nie przejmując się resztą? A jeżeli zdawało się jej, że musi zamknąć drzwi, to czemu nie wrzuciła klucza do pudła z piaskiem i nie przysypała? Albo nie wzięła ze sobą i nie zgubiła po drodze? Po co by miała robić z kluczem cokolwiek, co wskazuje na jej związek z tym pokojem? — Spuściłem oczy i spojrzałem na Flacka twardo, bez wyrazu. — chyba, że ktoś widział, jak wychodziła z tego pokoju z kluczem w ręku i szedł za nią aż do wyjścia z hotelu.

– A po co ktoś miałby to robić? — spytał Flack.

– Bo ten ktoś, kto to był, mógł zaraz wejść do tego pokoju. Miał wytrych.

Flack jednym ruchem podniósł na mnie wzrok i natychmiast go spuścił.

– Zatem musiał ją śledzić — powiedziałem. — Widział jak rzuciła klucz na ladę w recepcji i wybiegła z hotelu, więc poszedł za nią kawałek.

Flack powiedział kpiąco:

– Od czegoś ty wyrósł taki nadzwyczajny?

Pochyliłem się i przysunąłem sobie telefon.

– Chyba jednak zadzwonię do Christy'ego, żeby mieć to z głowy — powiedziałem. — Im bardziej o tym myślę, tym bardziej się boję. Może to jednak ona go zabiła. Nie mogę przecież osłaniać mordercy.

Zdjąłem słuchawkę z widełek. Flack położył swoją wilgotną łapę na mojej, twardo i mocno. Telefon podskoczył.

– Daj spokój — jego głos był prawie szlochem. — Szedłem za nią do samochodu, był zaparkowany kawałek dalej. Zanotowałem numer. Rany boskie, daj pożycz! — Grzebał rozpaczliwie po kieszeniach. — Wiesz, ile zarabiam w tej robocie? Na papierosy i cygara, i ani grosza więcej. Poczekaj no. chyba... — spojrzał w dół, bawił się chwilę jakimiś brudnymi kopertami, wreszcie wybrał jedną i rzucił mi ją. — To numer rejestracyjny — powiedział ze znużeniem — i jeżeli ci to sprawi przyjemność, to go nawet nie pamiętam.

Spojrzałem na kopertę. Istotnie nabazgrano na niej numer rejestracyjny. Był niewyraźny, ledwo widoczny i krzywy, jakby ktoś zapisywał go pośpiesznie na ulicy, trzymając papier w ręku 6 N 333, California 1947.

– Dobrze ci teraz? — To był głos Flacka. To znaczy dobywał się z jego ust. Oddarłem numer i rzuciłem mu kopertę.

– 4 P 327 — powiedziałem patrząc mu w oczy. Nic w nich nie błysnęło. Ani śladu ironii czy udawania. — Ale skąd mam wiedzieć, czy to nie jakiś twój stary numer?

– Musisz mi uwierzyć na słowo.

– Opisz samochód.

– Cadillac kabriolet, niezbyt nowy, z postawionym dachem. Model 1942 chyba. Taki jakiś szaroniebieski kolor.

– Opisz kobietę.

– Dużo chcesz za tę swoją forszę, szpiclu!

– Za forszę Hambletona.

Zamrugnął.

– Dobra. Blondynka. Biały płaszcz z czymś kolorowym i szeroki niebieski kapelusz słomkowy. Ciemne okulary. Mniej więcej pięć stóp dwa cale wzrostu. Zbudowana jak lalka.

– Poznałbyś ją, gdybyś ją zobaczył bez okularów? — spytałem ostrożnie.

Udał, że myśli. Potem potrząsnął głową.

– Jaki to był numer, Flackie? — przyłapałem go w chwili nieuwagi.

– Który? — spytał.

Pochyliłem się nad biurkiem i strąciłem trochę popiołu na jego rewolwer. Pogapiłem mu się jeszcze trochę w oczy. Ale dobrze wiedziałem, że jest załatwiony. On też to wiedział. Sięgnął po swoją broń, zdmuchnął popiół i wsadził ją z powrotem do szuflady.

– Na co czekasz? Spierdalaj! — powiedział przez zęby. -- Idź powiedz glinom, że podpieprzyłem trupowi forszę. To co? Może stracę robotę. Może mnie wsadzą do pudła. To co? Jak wyjdę będę dobry. Flackie nie musi się martwić, co będzie jadł. I nie myśl, że Flackie nabrał się na te ciemne okulary. Za dużo widziałem filmów, żeby się nie poznać na tej laluni. A jeżeli mnie pytasz o zdanie, to ta mała jeszcze się tu pokaże. Z niej jeszcze będą ludzie i kto wie — spojrzał na mnie z triumfującym uśmiechem — może któregoś dnia będzie potrzebowała goryla. Faceta, co będzie koło niej chodził, pilnował różnych rzeczy, wyciągał ją z kłopotów. Kogoś, kto wie, co jest grane, i w sprawie lewej forsy nie będzie taki wrażliwy... O co chodzi ?

Właśnie przechyliłem głowę i udawałem, że nasłuchuję.

– Zdaje się, że słyszę dzwon w jakimś kościele — powiedziałem.

– Tu nigdzie nie ma kościoła — powiedział pogardliwie. — To ten twój platynowy mózg pęka ci od wysiłku.

– Tylko jedno uderzenie — powiedziałem. — Bardzo długie. To się chyba nazywa dzwon pogrzebowy.

Hack nasłuchiwał wraz ze mną.

- Nic nie słyszę — powiedział ostro.
- O, ty nie mógłbyś go słyszeć — powiedziałem. — Ty jeden na całym świecie nie będziesz go słyszał.

Siedział dalej i gapił się we mnie swoimi paskudnymi małymi na pół przymkniętymi oczkami, z tym swoim paskudnym połyskliwym wąsikiem. Jedna z jego rąk kręciła się po biurku bez celu. Zostawiłem go z jego myślami, które były pewnie równie małe, brzydkie i przerażone jak on sam.

12

Dom stał przy Doheny Drive, w dół od Stripu. Były to właściwie dwa budynki, jeden za drugim, luźno powiązane patio z posadzką, fontanną i jeszcze jednym pomieszczeniem nad lukowatym sklepieniem. W hallu wyłożonym imitacją marmuru były skrzynki pocztowe i dzwonki. Było ich szesnaście, z czego trzy nie miały wypisanych nazwisk. Przeczytałem pozostałe,; nic mi nie powiedziały. Wiedziałem, że mi to lekko nie przyjdzie. Nacisnąłem klamkę drzwi wejściowych, były otwarte, i tak wiedziałem, że mi to lekko nie przyjdzie.

Na zewnątrz stały dwa Cadillacy, Lincoln Continent i Packard Clipper. Żaden z Cadillaców nie miał ani tego koloru ani tego numeru. Po przeciwnej stronie jakiś facet w spodniach do konnej jazdy rozwaliał się w Lancii z niskim podwoziem, nogi przerzucając przez drzwi. Palił papierosa i spoglądał w górę, blade gwiazdy, dostatecznie sprytne, żeby się trzymać z dala od Hollywood. Poszedłem stromym wzniesieniem aż do bulwaru, skręciłem na wschód w następną przecnicę i włożyłem do budki telefonicznej, gorącej jak piec. Wykręciłem numer faceta nazwiskiem Peoria Smith, którego nazywano tak, ponieważ się jąkał — był to jeszcze jeden z tych małych sekretów, których nigdy nie miałem czasu wyjaśnić.

- Mavis Weld - - powiedziałem. — Numer telefonu. Mówi Marlowe.
- P-p-p-p-p-ownie - powiedział. — M-M-Mavis Weld, nie? Chcesz jej n-n-n-umer telefonu?
- Ile?
- B-b-b-będzie dziesięć d-d-dolarów.
- W takim razie dajmy sobie spokój — powiedziałem.
- P-p-p-poczekaj chwileczkę! Mnie nie wolno dawać numerów t~t~t~telefonu. Jeden asystent rekwizytora cholernie r-r-r- ryzykuje.

Poczekałem i wciągnąłem z powrotem do płuc własny oddech.

- Oczywiście adres też się należy — zakwilił Peoria, zapominając się jąkać.
- Piątka — powiedziałem. — Adres już mam. I nie targuj się. Jeżeli myślisz, że jesteś jedyny, co się kręci koło filmu i sprzedaje zastrzeżone numery telefonów...
- Poczekaj — powiedział ze znużeniem i poszedł zajrzeć do swojej małej czerwonej książeczki. Mańkut jąkała. Jąkał się tylko wtedy, gdy nie był podniecony. Wrócił i podał mi numer. Crestview, oczywiście. Jeżeli mieszkasz w Hollywood i nie masz numeru z Crestview, jesteś zero.
- Otworzyłem stalowo-szklaną celę, żeby wpuścić do niej trochę powietrza, i jednocześnie wykręciłem numer. Po dwóch minutach odezwał się leniwy, seksowny głos. Zatrzasnąłem drzwi.
- Taaaaak — zagruchał głos.
- Chciałbym mówić z panną Weld, jeśli można.
- A kto prosi pannę Weld, jeśli łaska?
- Mam parę fotek, które Whitey chce przekazać jeszcze dziś wieczorem.
- Whitey? A kto to jest Whitey, amigo?
- Szef działu fotosów w studio — powiedziałem. — Nawet tego nie wiesz? Wejdę na górę, jeżeli mi powiesz, które to mieszkanie. Jestem parę ulic stąd.
- Panna Weld jest w kąpielni. — Zaśmiała się. Po jej stronie kabła był pewnie srebrny dzwoneczek. Po mojej — spadająca szafka z rondlami. — Ależ naturalnie, przynieś fotografie, pewno umiera z niecierpliwości. Mieszkanie numer czternaście.
- Czy pani też tam będzie?
- Oczywiście. Ależ naturalnie. Dlaczego o to pytasz?

Odwiesiłem słuchawkę i wylazłem na świeże powietrze. Poszedłem w dół wzniesienia. Facet w spodniach do konnej jazdy wciąż zwiślał z Lancii, odjechał natomiast jeden Cadillac, a do stojących przed domem samochodów przybyły dwa Buicki kabriolety. Nacisnąłem dzwonek z numerem 14 i przeszedłem przez patio, gdzie maleńka lampka podświetlała szkarłatne chińskie kapryfolium. Inna lampa świeciła nad dużym ozdobnym basenem, pełnym tłustych złotych rybek i cichych lilii wodnych. Lilie skuliły się ciasno przed nocą. Było tam parę kamiennych ławek i huśtawka. Dom nie wyglądał na szczególnie drogi, tyle że tego roku wszystkie domy były drogie. Mieszkanie było na drugim piętrze, jedne z dwojga drzwi po dwóch stronach szerokiego korytarza.

Zadzwoił dzwonek i wysoka, czarnowłosa dziewczyna w bryczesach otworzyła drzwi.

Powiedzieć, że była seksowna znaczyło tyle, co nic nie powiedzieć. Spodnie, tak samo ją włosy, były kruczoczarne. Miała na sobie białą jedwabną bluzkę i purpurową szarfę owiniętą luźno wokół szyi. Szarfa była mniej jaskrawa niż jej usta. W cieniutkich złotych szczypczykach trzymała długiego brązowego papierosa. Palce, które je dzierżyły: zostały aż nazbyt suto wyposażone w biżuterię. Czarne włosy rozczesane miała pośrodku, a biały jak śnieg przedziałek sunął ku czubkowi głowy i ginął gdzieś poza zasięgiem wzroku. Dwa grube warkocze błyszczących, czarnych włosów spoczywały obu stronach smukłej, brązowej szyi. Każdy z nich związany małą purpurową kokardką. Niemniej już od bardzo dawna nie była małą dziewczynką.

Spojrzała ostro w dół, na moje puste ręce. Fotosy filmowe są zwykle trochę za duże, żeby je trzymać w kieszeni.

– Do panny Weld, proszę — powiedziałem.

– Niech pan mnie da te fotosy. — Głos był zimny, ociągający się i bezczelny, ale w oczach czało się co innego. Zdaje się, że była równie trudno dostępna co strzyżenie.

– Żałuję, ale mam sprawę do panny Weld osobiście.

– Powiedziałam już, że jest w kąpieli.

– Poczekam.

– Czy jesteś zupełnie pewien, że masz te fotosy, amigo ?

– Najzupełniej pewien. A bo co ?

– Jak pan się nazywa? — Jej głos zawisł na ostatnim słowie, jak piórko porwane nagłym przeciągiem. Później gruchał, wirował, szybował i wzlatywał, a w delikatnym, ledwie zarysie w kąciку ust, uśmiechu pojawiło się nieme zaproszenie powolutku, jakby dziecko próbowało złapać płatek śniegu.

– Pani ostatni film był wspaniały, panno Gonzales.

Uśmiech błysnął nagle i odmienił całą jej twarz. Ciało wyprostowało się i zadrżało rozkoszą.

– Ależ to było paskudztwo! — powiedziała z zachwytem. – Koszmarne, obrzydliwe paskudztwo, najśłodszy przyjacielu. Sam wiesz najlepiej, jakie to było koszmarne paskudztwo.

– Z panią nic nie jest dla mnie paskudne, panno Gonzales.

Wsunęła się od drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Napijmy się — powiedziała. — Napijemy się cholernego drinka. Uwielbiam pochlebstwa, nawet kiedy to bujda.

Wszedłem. Gdyby mi ktoś wsadził w brzuch rewolwer, nie byłbym szczególnie zaskoczony. Stała w taki sposób, że musiałem odepchnąć jej architekturę, żeby się przedostać przez drzwi. Pachniała tak, jak Tadż Mahal wygląda w blasku księżycy. Zamknęła drzwi i przetańczyła aż do małego, przenośnego baru.

– Szkocka? A może coś mieszanego? Potrafię namieszać zupełnie ohydne martini — powiedziała.

– Szkocka wystarczy, dziękuję.

Zrobiła dwa drinki w dwóch szklankach, w których można od biedy postawić parasol. Siadłem w krytym perkalem fotelu i rozejrzałem się. Było staromodnie. Sztuczny kominek z gazowymi bierwionami i marmurowym obramowaniem, popękany tynk, na ścianach parę ogniście kolorowych kiczów, które wyglądały tak ohydnie, że na pewno były wściekle drogie, stary, czarny, trochę oblaźły Steinway, raz przynajmniej nie przykryty hiszpańskim szalem. Było też wiele książek w jaskrawych okładkach porzrzucanych gdzie się da. Wyglądały na nowe. W kącie stała strzelba

dwururka ze zgrabnie rzeźbionym łożyskiem, przewiązana atlasową białą wstążką. Hollywoodzki sznyt.

Czarna dama w bryczesach podała mi szklanę i przycupnęła na poręczu mojego fotela.

– Możesz mi mówić Dolores, jeżeli chcesz — powiedziała wlewając w siebie zdrowy łyk.

– Dziękuję.

– A jak ja mam mówić do ciebie?

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Oczywiście — powiedziała — świetnie sobie zdaję sprawę, że jesteś cholerny łgarz i że nie masz w kieszeni żadnych fotosów. Co nie oznacza, że zamierzam się mieszać do twojego z pewnością wysoce poufnego interesu.

– Tak? — upiłem parę cali ze swojego naczynia. — co to właściwie za kąpiel, w której siedzi panna Weld? Zwykle tradycyjne mydło czy też może jakieś pachnidła Arabii?

Machnęła resztą brązowego papierosa w drobnych złotych szczypczykach.

– Może chce jej pan pomóc. Łazienka jest tam, za tym łukiem i w prawo. Najprawdopodobniej drzwi nie są zamknięte.

– Jeżeli to aż takie łatwe, to dziękuję — powiedziałem.

– O! — obdarzyła mnie tym samym promiennym uśmiechem. — Lubi pan w życiu trudności.

Mam o tym pamiętać i być trochę mniej dostępna, prawda? — Zeszła elegancko z oparcia mojego fotela i zduśliła papierosa, pochylając się tak, bym mógł dokładnie przestudiować linię jej bioder.

– Niech się pani nie przejmuj, panno Gonzales. Ja jestem tylko facet, co przyszedł z interesem.

Słowo honoru, że nie mam zamiaru nikogo gwałcić.

– Nie? — Uśmiech stał się miękki, leniwy i — z braku lepszego słowa — prowokujący.

– Ale z pewnością powoli do tego dojrzewam — powiedziałem.

– Zabawny z pana skurwysyn — rzekła wzruszając ramionami, po czym przeszła pod łukiem, zabierając ze sobą swoją szkocką z wodą. Usłyszałem lekkie pukanie do drzwi i jej głos.

– Kochanie, tu jest jakiś mężczyzna, który mówi, że ma zdjęcia ze studia. Tak mówi. *Muy simpatico. Muy guapo tambien. Con cojones.*

Głos, który już kiedyś słyszałem, powiedział ostro:

– Zamknij się, dziwko. Zaraz wychodzę.

Panna Gonzales wróciła nucąc coś pod nosem. Jej szklanka była pusta. Znowu podeszła do baru.

– Ale pan nie pije! — zawołała, patrząc na moją szklanę.

– Jadłem kolację. Zresztą mam żołądek tylko na pół litra. I rozumiem trochę po hiszpańsku.

Odrzuciła głowę do tyłu.

– Jest pan zgorszony. — Przewróciła oczami. Ramionami wykonała taniec z wachlarzem.

– Trudno mnie zgorszyć.

– Więc słyszał pan, co powiedziałam? *Madre de Dios.* Strasznie mi przykro.

– Jasne — powiedziałem.

Wreszcie zrobiła sobie jeszcze jeden coctail.

– Tak strasznie mi przykro — westchnęła. — To znaczy, tak mi się zdaje. Czasami nie jestem pewna. Czasami jest mi kompletnie obojętne. To wszystko takie kłopotliwe. Przyjaciele mówią mi, że jestem zbyt otwarta. To pana gorszy, prawda? — znowu siedziała na oparciu mojego fotela.

– Nie. Ale gdybym chciał się trochę zgorszyć, to teraz już znam adres.

Odstawiła szklanę gdzieś za siebie i pochyliła się w moją stronę.

– Ale ja tu nie mieszkam — powiedziała. — Mieszkam w Chateau Bercy.

– Sama?

Trzepnęła mnie delikatnie w czubek nosa. Zanim się zdążyłem połapać, siedziała mi na kolanach i próbowała odgryźć mi kawałek języka.

– Słodki z ciebie skurwysyn — powiedziała. Jej usta były gorące, wargi paliły jak suchy lód. Język napierał gwałtownie na zęby. Oczy zdawały się olbrzymie, czarne, błyskały białkami.

– Taka jestem zmęczona — wyszeptala mi prosto w usta. Taka jestem udręczona, taka nieprawdopodobnie zmęczona.

Poczułem jej rękę w wewnętrznej kieszeni marynarki. Odepchnąłem ją gwałtownie, ale już trzymała mój portfel. Odańczyła z nim na pewną odległość ode mnie zanosząc się od śmiechu, otworzyła go i przeszukała przebierając w środku palcami podobnymi do małych żmijek.

– Jakże mi miło, żeście się poznali — odezwał się jakiś chłodny głos za moimi plecami. W przejściu stała Mavis Weld.

Była potargana i nie zadała sobie trudu, żeby zrobić makijaż. Miała na sobie szlafrok i mało co poza tym. Stopy ginęły w małych, zielono-srebrnych kapciach. Jej oczy były puste, usta pełne pogardy. Ale to była ta sama dziewczyna — w okularach czy bez.

Gonzales rzuciła jej szybkie, przesywające spojrzenie, zamknęła mój portfel i rzuciła w moją stronę. Złapałem go w locie i schowałem. Podeszła do stołu, wzięła czarną torbę z długim paskiem, przewiesiła ją sobie przez ramię i ruszyła ku drzwiom.

Mavis Weld nie drgnęła, nawet na nią nie spojrzała. Patrzyła na mnie. W jej twarzy nie było jednak śladu poruszenia. Gonzales otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz, przymknęła je znowu, odwróciła się i powiedziała do Mavis Weld:

– Nazywa się Philip Marlowe. Ładnie, nie uważasz?

– Nie wiedziałam, że zadajesz sobie aż tyle trudu, żeby ich pytać o nazwisko — odrzekła Mavis Weld. — Tak rzadko znasz ich dostatecznie długo.

– Rozumiem — powiedziała Gonzales łagodnie. Odwróciła się i uśmiechnęła do mnie blado. — To uroczy sposób, żeby powiedzieć komuś: „ty kurwo”, nie uważasz?

Mavis Weld nie powiedziała nic i jej twarz nic nie wyrażała.

– Przynajmniej — rzekła Gonzales gładko, znowu otwierając drzwi — nie spałam ostatnio z żadnym rewolwerowcem.

– Jesteś pewna, że pamiętasz? — spytała Mavis Weld dokładnie tym samym tonem. — Otwórz drzwi, kochanie. Dziś właśnie wynosimy śmiecie.

Gonzales spojrzała jej prosto w oczy, jakby rzucała nożem. Potem cmoknęła jakoś ustami i zębami i otworzyła szeroki drzwi. Zamknęły się za nią z gromkim trzaskiem. Hałas nawet nie musnął spokojnego, ciemnobłękitnego blasku w oczach Mavis Weld.

– Będzie pan łaskaw zrobić to samo, tylko trochę ciszej.

Wyjąłem chusteczkę i wytarłem z twarzy szminkę. Wyglądało to zupełnie jak krew, świeża krew.

– Każdemu mogło się zdarzyć — powiedziałem. — Ja jej nie obmacywałem. To ona dobierała się do mnie.

Podeszła do drzwi i otworzyła.

– Płyn, barko moja. Przebieraj nóżkami, ale już.

– Przyszedłem tu w interesie, panno Weld.

– Tak. Wyobrażam sobie. No już. Nie znam pana. Nie chcę pana znać. A gdybym chciała, to nie dziś i nie teraz.

– Nigdy miejsce, godzina, i kochanek razem... — powiedziałem.

– A to co znowu? — próbowała wyrzucić mnie za drzwi czubkiem brody, ale nawet ona nie była na to dostatecznie dobra.

– Browning. Poeta, a nie automat. Jestem pewien, że pani woli automat.

– Posłuchaj, człowieczku, czy mam zawołać dozorcę, żeby cię zrzucił ze schodów jak piłkę?

Podszedłem do niej i zatrzasnąłem drzwi. Wytrzymała do osatniej chwili. Nie kopnęła mnie, ale kosztowało ją to trochę wysiłku. Próbowałem niepostrzeżenie odsunąć ją od drzwi. Nie poruszyła się ani o krok. Nie ustępowała z pola, z jedną ręką wyciągniętą w stronę gałki drzwi, a w oczach miała nadal tę samą granatową furję.

– Jeżeli zamierza pani stać tak blisko — powiedziałem -- To może pani najpierw coś na siebie włożyć.

Zdjęła rękę z klamki i zamachnęła się solidnie. Uderzenie zabrzmiało podobnie, jak wtedy, kiedy Gonzales zamykała drzwi, ale zaboląo zdrowo. Przypomniało mi też o stłuczonym miejscu z tyłu głowy.

– Zaboląo? — spytała cicho. Kiwnąłem głową.

– To świetnie — powiedziała i walnęła mnie znowu, chyba jeszcze mocniej. — Myślę, że będzie

lepiej, jeżeli mnie pocałujesz — wyszeptała. Jej oczy były jasne, przejrzyste i ciepłe. Spojrzałem ukradkiem w dół. Jej prawa ręka była zaciśnięta w całkiem fachową pięść, pokazną i z pewnością praktyczną w zastosowaniu.

– Proszę mi wierzyć — powiedziałem — nie robię tego tylko z jednego powodu. Nawet gdyby pani miała przy sobie ten mały rewolwer. Albo ten kastet, który pewnie pani trzyma w nocnym stoliczku.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Mógłbym przypadkiem dla pani pracować — powiedziałem — A poza tym nie latam za każdą parą nóg, jaka mi się nawinie na oczy. — Spojrzałem na jej nogi. Świetnie mogłem im się przyjrzeć, a chorągiewka, która znaczy linię bramki, była akurat tak szeroka, jak trzeba. Zebrała poły szlafroka, odwróciła się i podeszła do baru, kręcąc głową.

– Jestem wolna, biała i pełnoletnia — powiedziała. Wypróbowałam już wszystkie znane metody. Tak mi się przynajmniej zdaje. Jeżeli nie mogę pana przestraszyć, skopać ani uwieść, to czym do cholery mogę pana kupić?

– No więc...

– Niech pan nie mówi — przerwała ostro i odwróciła się ze szklanką w dłoni. Wypiła, rozrzuciła włosy i uśmiechnęła się wążutkim, małym uśmieszkiem. — Oczywiście, pieniądze. Jak mogłam przeoczyć!

– Pieniądze mogłyby coś pomóc — powiedziałem.

Jej usta zaciśnęły się w wyrazie obrzydzenia, ale głos był prawie czuły:

– Ile?

– No, powiedzmy na początek stówą?

– Tani pan jest. Mały, tani skurwysyn, co? Powiada, że stówą. Czy w twoich sferach stówą to pieniądz, kochanie?

– Niech będzie dwie stowy. Na tym mógłbym poprzestać.

– Ciągle taniocha. Raz na tydzień, ma się rozumieć? W czyściutkiej kopercie?

– Niech sobie pani daruje kopertę. Tylko ją pobrudzę.

– I cóż ja będę miała za te pieniądze, mój rozkoszny szpicelku? Nie mam wątpliwości, kim pan jest, oczywiście.

– Będzie pani miała pokwitowanie. Skąd pani wie, że jestem detektywem?

Przez krótką chwilę gapiała się we mnie swoimi własnymi oczami, ale potem znowu wskoczyła w rolę.

– To pewnie ten zapach. — Wypiła swoje i patrzyła na mnie dalej z tym samym pogardliwym uśmiechem.

– Zaczynam podejrzewać — powiedziałem — że pani sama pisze sobie dialogi. Zawsze się zastanawiałem, co też z nimi jest.

Dałem nura. Ochlapała mnie tylko. Szklanka rozbiła się o ścianę. Odłamki spadły bezszelestnie na ziemię.

– I na tym — powiedziała z niezmaconym spokojem — kończą się moje zapasy dziewczęcego wdzięku.

Wstałem i wziąłem kapelusz.

– Nigdy nie przypuszczałem, że to pani go zabiła — powiedziałem. — Ale byłoby lepiej, gdybym miał jakiś formalny powód, żeby nikomu nie mówić, że pani tam była. Jeżeli dostanę zaliczkę jako potwierdzenie, w jakim charakterze pracuję, to mi pomoże. I jeszcze trochę informacji, żeby móc ją przyjąć.

Wzięła papierosa z pudełka, rzuciła go w powietrze, bez wysiłku złapała w usta i zapaliła zapałkę, która pojawiła się nagle znikąd.

– Rany boskie! Czyżbym była podejrzana o zabójstwo? -- spytała.

Wciąż jeszcze trzymałem w garści kapelusz. Czuję się idiotycznie. Sam nie wiem, czemu.

Włożyłem go i ruszyłem w stronę drzwi.

– Mam nadzieję, że problem komunikacji ma pan załatwiony? — powiedział za moimi plecami pogardliwy głos.

Nie odpowiedziałem. Po prostu szedłem dalej. Kiedy byłem już przy drzwiach i złapałem za klamkę, powiedziała:

– Ufam także, że panna Gonzales dała panu swój adres i numer telefonu. Będzie pan mógł z niej wycisnąć absolutnie wszystko, włącznie z pieniędzmi, o ile mi wiadomo.

Puściłem klamkę i szybko przeszedłem z powrotem przez pokój.

Nadal nie ustąpiła z pola, a uśmiech na jej ustach nie drgnął ani na milimetr.

– Posłuchaj — powiedziałem. — Trudno ci w to będzie uwierzyć, że może potrzebujesz pomocy i że trudno byłoby ci znaleźć kogokolwiek, na kim mogłabyś polegać. Wpadło mi do głowy, że poszłaś do tego hotelu, żeby się komuś wypłacić. Poszłaś tam osobiście, ryzykując, że ktoś cię rozpozna — i zresztą rozpoznał, miejscowy detektyw, którego zasady etyczne są równie niezłomne jak stara pajęczyna — pomyślałem więc, że się wplątałaś w jedną z tych hollywoodzkich afer, po których naprawdę spada kurtyna. Ale ty wcale nie wpadłaś w żadne kłopoty. Stoisz prosto twarzą do widowni w świetle punktowca i odgrywasz przede mną całą kolekcję najbardziej wyświechtanych numerów rodem z najpodlejszych knotów, w jakich kiedykolwiek grałaś, jeżeli można to w ogóle nazwać graniem...

– Zamknij się — powiedziała, zaciskając zęby tak mocno że aż zgrzytnęły. — Zamknij się i przestań mnie szantażować ty oślizły szpiclu!

– Wcale ci nie jestem potrzebny — odpowiedziałem. -- Nikt ci nie jest potrzebny. Taka jesteś cholernie cwana, że samym gadaniem mogłabyś sobie otworzyć drzwi do sejfu. W porządku. Gadaj, może się wyłgasz. Ja ci nie będę przeszkadzał. Tylko nie każ mi tego słuchać. Płakać mi się chce, kiedy sobie pomyślę, że takie niewiniątko może być aż tak cholernie cwane. Działasz na mnie, kiciusiu. Zupełnie jak Margaret O'Brien.

Nie poruszyła się, ani nawet nie odetchnęła, kiedy podszedłem do drzwi i kiedy je otworzyłem.

Sam nie wiem czemu. Przecież nie był to taki znowu dobry tekst.

Zbiegłem po schodach i przez podwórze, a potem wychodząc, mało nie wpadłem na szczupłego, ciemnookiego mężczyznę, który stał tam i przypalał papierosa.

– Przepraszam bardzo — powiedział spokojnie. — Zdaje się, że stoję panu na drodze.

Zacząłem już go obchodzić dookoła, ale w tym momencie zauważyłem, że w uniesionej dłoni trzyma klucz. Wyrwałem mu go, zupełnie nie wiem dlaczego. Spojrzałem na numer; 14.

Mieszkanie Mavis Weld. Rzuciłem klucz gdzieś w krzaki.

– Na nic to panu — powiedziałem. — Drzwi są otwarte.

– Oczywiście — odparł. Miał na twarzy dość szczególny uśmiech. — Głuptas ze mnie.

– Taaa — powiedziałem. — Obydwaj jesteśmy głuptasy jak każdy, kto się zadaje z tą wywłoką.

– Tego bym nie powiedział — odrzekł spokojnie, a jego małe, smutne oczy obserwowały mnie bez szczególnego wyrazu.

– Nie musi pan — palnąłem. — Właśnie to powiedziałem za pana. Bardzo przepraszam. Przyniosę panu ten klucz.

Poszedłem za krzaki, podniosłem go i mu podałem.

– Bardzo panu dziękuję — rzekł. — Poza tym... — zawiesił głos — mam nadzieję, że nie przerywam jakiejś interesującej sprzeczki. Byłoby mi bardzo przykro. — Uśmiechnął się. — No cóż, skoro Mavis Weld jest naszą wspólną znajomą może pozwoli pan, że się przedstawię.

Nazywam się Steelgrave. Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

– Nie, nigdzie się nie spotkaliśmy, panie Steelgrave -- odrzekłem — Nazywam się Marlowe, Philip Marlowe. To bardzo mało prawdopodobne, byśmy się kiedykolwiek spotkali. I, dziwna sprawa, nigdy jeszcze o panu nie słyszałem. Zresztą mam to gdzieś, nawet jeżeli się pan nazywa Płaksa Moyer. — Nie mam pojęcia, dlaczego to właściwie powiedziałem. Nie było po temu żadnego powodu, poza tym, że ktoś niedawno wspomniał to nazwisko. Na jego twarzy rozpostarł się nagle przedziwny spokój. Nieme, czarne oczy spojrzały uważnie. Wyjął z ust papierosa, przyjrzał się rozżarzonemu czubkowi, strząsnął trochę popiołu, mimo że nie było w ogóle popiołu do strząsania, i patrząc w dół powiedział:

– Płaksa Moyer. Dziwne nazwisko. Zdaje mi się, że nigdy go nie słyszałem. Czy to ktoś, kogo powinienem znać?

– Nie, chyba że lubi pan kolce do lodu — powiedziałem, i poszedłem. Okrążyłem swój samochód, ale zanim do niego wsiadłem, obejrzałem się. Stał tam jeszcze patrząc na mnie z góry, z papierosem w zębach. Z tej odległości nie mogłem dostrzec, czy jego twarz coś wyraża. Kiedy tak na niego patrzyłem, nie poruszył się, ani nie zrobił żadnego gestu. Nie odwrócił się również. Po prostu stał. Wsiadłem i odjechałem.

13

Pojechałem na Bulwar Zachodzącego Słońca, ale nie do domu. W La Brea skręciłem na północ, w stronę Highland, potem przez Cahuenga Pass na Ventura Boulevard, koło Studio City, Sherman Oaks i Encino. Nie była to samotna podróż. Na tej trasie człowiek nigdy nie jest sam. Szybcy chłopcy w otwartych Fordach wskakiwali i wyskakiwali z jadących kolumn, mijając zderzaki o parę milimetrów, ale zawsze jakoś je mijając. Zmęczeni mężczyźni w zakurzonych coupes i szerokich limuzynach mrużyli oczy, zaciskali ręce na kierownicach i dawali nura na północ albo na zachód, ku domowi, na kolację, na wieczór z kroniką sportową w gazecie, z radiowym jazgotem, kwileniem rozpieszczonych dzieci i trajkotaniem głupich żon. Jechałem dalej mijając paradne neony i fałszywe fasady, podłe bary z hamburgerami, wyglądające w tych kolorach jak pałace koliste lokale z prawem wjazdu samochodem, wesolutkie jak cyrk, z uśmiechniętymi kelnerkami o twardych spojrzeniach, tam gdzie lśniące kontuury i spocone, ociekające tłuszczem kuchnie i zarcie, od którego zdechłaby ropucha. Wielkie, podwójne ciężarówki waliły w dół koło Sepulveda z Wilmington i San Pedro i skręcały w stronę Ridge Route, ruszając na zielonych światłach z rykiem lwów w zoo.

Za Encino od czasu do czasu błyskało ze wzgórz jakieś światło między drzewami. To domy gwiazd ekranu. Gwiazdy ekranu, fuj. Weterani tysiąca łóżek. Daj spokój, Marlowe, dziś nie jesteś człowiekiem.

Zrobiło się chłodniej. Szosa się zwężyła. Samochodów było już teraz tak mało, że każde światła oślepiały. Droga sunęła w górę między wapiennymi wzniesieniami, a na samym szczycie niczym nie hamowany podmuch znad oceanu tańczył lekka w nocnym mroku.

Zjadłem kolację w jakimś lokalu niedaleko Thousand Oaks. Kiepsko, ale szybko. Dać zreć i kopa w tyłek. Za dużo roboty. Nie mamy czasu na to, żeby pan sobie wysiadywał nad drugą filiżanką kawy, proszę pana. Zajmuje pan miejsce, a miejsce kosztuje. Widzi pan tych ludzi tam, za przegródką? Chcą zjeść. W każdym razie wydaje im się, że muszą. Bóg wie, dlaczego chcą zjeść akurat tutaj. Lepiej by się najedli w domu z puszki. Po prostu nie mogą usiedzieć na miejscu. Jak i pan, Muszą wyprowadzić ten swój samochód z garażu i gdzieś pojechać. Zwierzyna łowna dla oszustów, co opanowali restaurację, Znowu się zaczyna. Nie jesteś dziś człowiekiem, Marlowe.

Zapłaciłem, po czym zatrzymałem się jeszcze w jednym barze, żeby kieliszkiem koniaku podlać stek po nowojorsku, Dlaczego po nowojorsku, pomyślałem. Przecież opony robią w Detroit. Wyszedłem w nocne powietrze, którego jeszcze nikomu nie udało się sprzedawać w porcjach. Ale mnóstwo ludzi na pewno próbuje. Dojdą i do tego.

Dojechałem do pasażu Oxnard i skręciłem w stronę oceanu. Wielkie ośmiokołowce i szesnastokołowce sunęły na północ, obwieszane pomarańczowymi światłami. Po prawej wielki, tłusty Pacyfik maszerował ku brzegowi, jak sprzątaczką po pracy do domu. Nie było księżycy ani ludzi, na całym wybrzeżu prawie zupełna cisza. Żadnych zapachów. Nawet tego cierpkiego, dzikiego zapachu morza. Kalifornijski ocean. Kalifornia, stanowy dom towarowy. Większość wszystkiego i najlepszy wybór niczego. Znowu się zaczyna. Nie jesteś dziś człowiekiem, Marlowe. W porządku. A czemu niby mam być? Siedzę sobie w biurze, bawię się zabiją muchą, aż tu wpada to małe bezguście z Mnhattan, Kansas, i wciska mi siłą wymęczoną dwudziestkę, żebym jej za to znalazł brata. Wygląda, że to niezła pluskwa, ale ona jednak chce go znaleźć. Z tą fortuną lecę zatem do Bay City. Wszystko, co zrobię, to cholerna rutyna, mało nie zasną na stojąco. Spotykam paru miłych ludzi z kolkami do lodu w karku albo bez. Zostawiam ich, ale przy okazji zostawiam też kupę obciążających mnie śladów. Potem ona przychodzi znowu; najpierw zabiera mi moje dwadzieścia dolarów, potem mnie całuje, potem mi je oddaje, ponieważ nie zarobiłem nawet

dniówki.

Więc idę się spotkać z doktorem Hambletonem, optykiem z El Centro, co się wycofał z interesu (i to jak!), i znowu natrafiam na ten ostatni krzyk mody — w dziedzinie metalowej galanterii. I nic nie mówię glinom. Po prostu przeszukuję perukę klienta, a potem udaję niewiniątko. Dlaczego? Dla kogo tym razem osobiście podrzynam sobie gardło? Dla tej blondynki ł:seksownymi oczami, co ma za dużo kluczy? Dla panienki z Manhattan, Kansas? Nie wiem. Wiem tylko, że wszystko to nie jest tym, czym się wydaje, a mój nos, stary, lecz nieomylny, mówi mi, że jeżeli partia zostanie rozegrana tak, jak została rozdana, to przegra niewłaściwa osoba. Czy to mój interes? I gdzie w końcu jest mój interes? Skąd mam wiedzieć? Czy kiedykolwiek wiedziałem? Może lepiej nie zagłębiajmy się w to. Nie jesteś dziś człowiekiem, Marlowe. Może nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Może jestem porcją ektoplazmy z licencją detektywa. Może wszyscy powoli stajemy się tacy w tym zimnym, niedogrzanym świetle, gdzie dzieją się wyłącznie rzeczy niewłaściwe.

Malibu. Kolejna porcja gwiazd filmowych. Kolejna porcja różowych i niebieskich wanien. Kolejna porcja pikowanych kołder. Kolejna porcja Chanela nr 5. Kolejna porcja Lincolnów Continental i Cadillaków. I włosów na wietrze, i ciemnych okularów, i zgrywania się, i pseudowyrzafinowanych głosów, i portowej moralności. No, chwileczkę. Mnóstwo miłych ludzi pracuje w filmie. Po prostu źle się do tego odnosisz, Marlowe. Nie jesteś dziś człowiekiem.

Poczułem zapach Los Angeles, jeszcze zanim dojechałem. Zapach stęchlizny, jak w pokoju, który zbyt długo był zamknięty. Ale na te kolorowe światła zawsze się człowiek nabierze. Światła są wspaniałe. Powinno się wystawić pomnik temu, co wymyślił neony. Na piętnaście pięt, z trwałego marmuru. Facet naprawdę zrobił coś z niczego.

No więc poszedłem do kina i oczywiście trafiłem na film z Mavis Weld. Jeden z tych, co to szkło i chrom, i gdzie wszyscy zanadto się uśmiechają, za dużo gadają i świetnie o tym wiedzą. Kobiety zawsze idą się przebrać po długich, kręconych schodach. Mężczyźni zawsze wyjmują z bardzo drogich cygarniczek papierosy z monogramami i strzelają do siebie z jeszcze droższych zapalniczek. A kamerdyner aż się ugina pod ciężarem drinków, które musi nosić przez taras nad basen mniej więcej wielkości jeziora Huron, tylko nie taki brudny.

Główną rolę grał sympatyczny chałturnik z ogromnym urokiem osobistym, cokolwiek już przyżółkłym na brzegach. Gwiazdą była brunetka z wściekłym temperamentem i wzgardliwym okiem. Na kilku fatalnych zbliżeniach widać było, jak odpycha od siebie czterdzieste piąte urodziny, i to tak mocno, że mało nie powyłamuje sobie ręk. Mavis Weld grała drugą co do wielkości rolę i robiła to cholernie ostrożnie. Była dobra, ale mogła być dziesięć razy lepsza. Tylko że gdyby była, połowa scen wyleciałaby w montażu, żeby nie zaszkodzić gwiazdzie. Był to jeden z najlepszych pokazów akrobacji na linie, jaki kiedykolwiek widziałem. No, pochodzi ona sobie teraz, ale nie po linie, tylko po strunie od fortepianu. Bardzo wysoko. I bez siatki.

14

Miałem powód, żeby wracać do biura. Ekspres z pomarańczowym kwitem mógł tam już dojść. Większość okien w budynku była ciemna, ale nie wszystkie. Nie tylko w moim zawodzie ludzie pracują po nocach. Windziarz powiedział „cześć” z głębi swego gardła i wywiózł mnie na górę. Wiele drzwi w korytarzu było pootwieranych i paliło się za nimi światło — to sprzątaczkki wciąż jeszcze usuwały ślady niezliczonych zmarnowanych godzin. Minąłem zakręt przy akompaniamencie charczącego odkurzacza, wszedłem do ciemnego biura i otworzyłem okna. Siadłem za biurkiem i nie robiłem nic, nawet nie myślałem. Nie było listu ekspresowego. Wszelkie hałasy tego budynku, jeżeli nie liczyć odkurzacza, najwyraźniej wyciekły na ulicę i rozplynęły się wśród wirujących kół niezliczonych samochodów. Potem gdzieś na korytarzu, za drzwiami, ktoś zaczął śpiewać „Lili Marlene”, elegancko i z wirtuozerią. Wiedziałem, kto. To nocny stróż sprawdzał drzwi od biur. Zapaliłem stojącą lampę na biurku, więc minął moje nie sprawdzając. Jego kroki oddaliły się, po czym wróciły, ale tym razem brzmiały już inaczej, jak szuranie. W zewnętrznym biurze zadzwonił dzwonek, tam drzwi były nadal otwarte. Pewnie ten ekspres. Poszedłem otworzyć. Ale było to co innego.

Gruby facet w błękitnych spodniach zamykał za sobą drzwi z gracją właściwą tylko grubasom. Nie był sam, ale jemu przyjrzałem się najpierw: duży, rozłożysty mężczyzna. Niemłody i niezbyt przystojny, ale wyglądał na niezniszczalnego. Powyżej błękitnych, gabardynowych spodni miał dwukolorową marynarkę, która nawet na zebrze wyglądałaby obrzydliwie. Kołnierzyk jego kanarkowożółtej koszuli był szeroko rozpięty, i musiał być, jeżeli jego szyja miała się w ogóle wydostać na zewnątrz. Był bez kapelusza, a jego olbrzymią głowę zdobiła umiarkowana ilość jasnych włosów ufarbowanych na łososiowe. Miał złamany, ale dobrze złożony nos, tyle że i przedtem nie był to okaz dla zbieracza. Stworzenie, które mu towarzyszyło, był to chuderlawy facet z przekrwionymi oczami, wiecznie pociągający nosem. Mógł mieć ze dwadzieścia lat, pięć stóp dziewięć cali i był chudy jak kij od szczotki. Kręcił nosem, kręcił ustami, kręcił rękami; wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

Ten większy uśmiechnął się kordialnie.

– Pan Marlowe, jak sądzę?

Odpowiedziałem:

– A kto ma być?

– Trochę za późno jak na interesy — powiedział wielki facet i rozłożył ręce, zasłaniając połowę biura. — Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. A może jest pan zbyt zajęty bieżącymi sprawami?

– Nie bajeruj mnie pan. Mam nerwy w strasznym stanie — powiedziałem. — Co to za świrus?

– Chodź tu, Alfred — zwrócił się wielki facet do swojego towarzysza. — I przestań się zachowywać jak pensjonarka.

– Przymknij walizę — powiedział Alfred.

Wielki facet odwrócił się do mnie z łagodnym wejrzeniem:

– Dlaczego te gnojki wygadują takie rzeczy? To nawet nie jest zabawne. Ani dowcipne. Mam problemy z tym Alfredem. Doprowadziłem do tego, że odstawił te rzeczy, przynajmniej na razie. Przywitaj się z panem Marlowe, Alfred.

– Może mi naskoczyć — powiedział Alfred.

Wielki facet westchnął.

– Nazywam się Toad — rzekł. — Joseph P. Toad.

Nic nie powiedziałem.

– No dalej, niech się pan śmieje — ciągnął. — Przywykłem. Całe życie tak się nazywam. — Podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Uścisnąłem ją. Wielki facet uśmiechnął się miło patrząc mi w oczy.

– W porządku, Alfred — powiedział nie oglądając się.

Alfred wykonał coś, co wyglądało na gest drobny i nieznaczny, w wyniku którego zobaczyłem wycelowany w siebie ciężki automat.

– Ostrożnie, Alfred — powiedział wielki facet, trzymając moją dłoń tak mocno, jakby miał zamiast ręki imadło. — Jeszcze nie teraz.

– Przymknij walizę — powiedział Alfred. Rewolwer celował w moją pierś. Palce zacisnęły mu się na spuście. Patrzyłem, jak się zaciskają. Wiedziałem dokładnie, w którym momencie zwolni iglicę. Co za różnica. Wszystko to działo się gdzie indziej, w jakimś głupim filmie. I w ogóle nie ze mną. Iglica szczęknęła sucho. Alfred opuścił broń z pomrukiem niezadowolenia, po czym rewolwer zniknął, tak jak się pojawił.

Znowu zaczął kręcić, czym się dało. A przecież w jego obchodzeniu się z bronią nie było nic nerwowego. Zastanawiałem się, co miał właściwie znaczyć ten numer.

Wielki facet puścił moją rękę, a na jego szerokiej, zdrowej twarzy gościł nadal ten sam serdeczny uśmiech.

Poklepał się po kieszeni.

– Mam tu magazynek — powiedział. — Na Alfredzie ostatnio lepiej nie polegać. Skurwysyn mógł pana zastrzelić.

Alfred siadł na krześle i odchylił je do ściany, oddychał ustami.

Postawiłem pięty z powrotem na ziemi.

– Założę się, że pana przestraszył — powiedział Joseph P. Toad.

Poczułem na języku smak soli.

– Nie jest pan wcale taki twardy — powiedział Toad, wsadzając mi w żołądek tłusty paluch.

Zrobiłem krok do tyłu i popatrzyłem mu uważnie w oczy.

– Ile to u pana kosztuje? — spytał prawie uprzejmie.

– Chodźmy do mojego biura — powiedziałem.

Odwróciłem się do niego plecami i przeszedłem do drugiego pokoju. Ciężka to była praca, ale jakoś mi się udało. Byłem spocony jak ruda mysz. Obszedłem biurko dookoła i stałem tak patrząc na nich. Pan Toad sunął posłusznie za mną, świrus wszedł za nim, cały w drgawkach, kręcąc czym się dało.

– Nie ma pan jakichś śmiesznych obrazków, może komiksy? — spytał Toad. — To go unieszkodliwi.

– Niech pan siada — powiedziałem. — Zaraz sprawdzę.

Wyciągnął ręce w stronę oparcia fotela, a ja szybko otworzyłem szufladę i zacisnąłem dłoń na rękojeści Lugera. Powoli go wyjąłem, patrząc na Alfreda. Ale Alfred nawet na mnie nie spojrzał. Studiował właśnie kąt sufitu i robił, co mógł, żeby mu gęba nie wlaźła w oko.

– Nic śmieszniejszego nie mam — powiedziałem.

– To nie będzie panu potrzebne — odparł serdecznie wielki facet.

– Znakomicie — powiedziałem, zupełnie jakby to mówił ktoś inny, daleko, gdzieś za ścianą.

Ledwo odróżniałem słowa. – Ale gdyby jednak, to jest. I do tego nabity. Chce pan się przekonać? Wielki facet zafrasował się najbardziej, jak tylko potrafił.

– Przepraszam pana, przykro mi, że tak pan to traktuje. — powiedział. — Jestem przyzwyczajony do Alfreda, że prawie go już nie dostrzegam. Może ma pan rację. Może powinienem coś z nim zrobić.

– Tak — powiedziałem. — I to jeszcze dziś po południu zanim pan tutaj przyjdzie. Bo teraz już za późno.

– Chwileczkę, panie Marlowe — wyciągnął ręce. Oberwał po nich Lugerem. Był szybki, ale niedostatecznie. Skaleczyłem mu grzbiet dłoni celownikiem. Podniósł ją do ust i zaczął ssać. — Ależ, proszę! Alfred to mój siostrzeniec. Dziecko mojej siostry. Muszę się nim opiekować. Nie skrzywdziłby muchy.

– Następnym razem będę miał dla niego muchę, żeby sobie mógł jej nie skrzywdzić — powiedziałem.

– Proszę tak nie mówić, drogi panie Marlowe. Proszę tak nie mówić. Mam dla pana miłą propozycję...

– Zamknij się — powiedziałem. — Siadłem bardzo powoli. Twarz mi płonęła. Z trudem mogłem wyraźnie mówić. Czuję się, jakbym był pijany. Siadłem i powiedziałem wolno i ociężale:

– Pewien mój przyjaciel opowiadał mi o jednym facecie, któremu zasunięto coś podobnego. Tak właśnie siedział za biurkiem jak ja. Miał rewolwer, zupełnie jak ja. Po drugiej stronie biurka było dwóch facetów, jak ty i Alfred. Ten facet po mojej stronie zaczął się wkurzać. Nic nie mógł na to poradzić. Zaczął się trząść. Nie mógł wymówić słowa. I miał właśnie w ręku taki rewolwer. Więc nic nie mówiąc strzelił dwa razy pod biurko dokładnie tam, gdzie twój brzuch.

Wielki facet zrobił się sinozielony i już zaczął wstawać. Ale zmienił zdanie. Wyjął fioletową chusteczkę i wytarł twarz.

– Widział pan to w kinie — powiedział.

– Pewnie — powiedziałem. — Ale facet, co zrobił ten film, mówił mi, skąd wziął pomysł. I to już nie było w kinie.

Położyłem Lugera przed sobą na biurku i powiedziałem nieco bardziej naturalnym głosem:

– Niech pan będzie ostrożniejszy z bronią palną, panie Toad. Nigdy nie wiadomo, jak bardzo się zdenerwuje ktoś komu będzie pan trząskał czterdziestką piątką przed nosem. Zwłaszcza jeżeli nie wie, że nie jest nabita. Przez chwilę trochę się zdenerwowałem. Po prostu od lunchu nie dałem sobie w żyłę.

Toad przyglądał mi się przymrużonymi oczyma. Świrus wstał, podszedł do innego krzesła, kopnął je i siadł, po czym oparł swój tłusty łeb o ścianę. Nadal kręcił nosem i rękami.

– Słyszałem, że z pana twardy gość — powiedział powoli Toad z zimnym, uważnym spojrzeniem.

– Źle pan słyszał. Jestem cholernie wrażliwy facet. Wystarczy byle co, żeby zrobić ze mnie galarete.

– Tak. Rozumiem. - — Gapił się we mnie przez chwilę nic nie mówiąc. — Może źle to rozegrałem. Czy pozwoli mi pan włożyć rękę do kieszeni? Nie mam przy sobie broni.

– Proszę uprzejmie — powiedziałem. — Sprawiłby mi pan niewysłowioną rozkosz, gdyby pan teraz spróbował wyjąć spluwę.

Zmarszczył się, potem bardzo powoli wyciągnął płaski portfel ze świńskiej skóry, a z niego nowiutki banknot studolarowy. Położył go na krawędzi szkła na biurku, potem wyjął jeszcze jeden, wreszcie dołożył jeszcze trzy, jeden po drugim. Ułożył je starannie w rządęk, wzdłuż biurka, od końca do końca. Alfred przestał się bujać na krześle i wpatrywał się w pieniądze z drżącymi wargami.

– Pięć setek — powiedział wielki facet. Złożył portfel i schował.

Obserwowałem każdy jego ruch.

– Za nic, tylko za to, żeby się trzymać z daleka. Zgoda?

Po prostu patrzyłem na niego.

– Nikogo pan nie szuka — powiedział wielki facet. — Nikogo pan nie może znaleźć. Nie ma pan czasu dla nikogo pracować. Nie słyszał pan o niczym i nie widział nic. Czysty pan jest. Pięć setek na czysto. Zgoda?

W biurze nie było słycać najmniejszego szmeru, tylko pociąganie nosem Alfreda. Wielki facet odwrócił się w jego stronę,

– Spokój, Alfred, Dostaniesz zastrzyk, jak wrócimy — powiedział. — Staraj się być miły. — Znowu zaczął ssać skaleczoną dłoń.

– Jeżeli ma brać wzór z pana, to mu będzie łatwo — powiedziałem.

– Możesz mi naskoczyć — odezwał się Alfred.

– Ograniczony słownik — powiedział wielki facet. — Bardzo ograniczony. Rozumiesz, o co chodzi, chłopie? — Wskazał pieniądze. Dotknąłem rękojęści Lugera. Pochylił się naprzód. — Nie bądź taki spięty, no co jest? Prosta sprawa. To jest zaliczka. Nic za to nie musisz robić. Po prostu nic. Jeżeli przez pewien rozsądny okres nie będziesz nic robił, dostaniesz drugą połowę. Proste, nie?

– A dla kogo niby mam nic nie robić? — spytałem.

– Dla mnie, Josepha P. Toada.

– A z ciebie co za jeden?

– Możesz mnie nazywać przedstawicielem firmy.

– A jak inaczej mogę cię nazywać? Poza tym, co sam wymyślę?

– Nazwij mnie na przykład facetem, który chce pomóc jednemu facetowi, który nie chce, żeby jeszcze jeden facet miał kłopoty.

– A jak mam nazywać z kolei tego czarującego dżentelmena? — spytałem.

Joseph P. Toad złożył pięć banknotów, wyrównał dokładnie brzegi i popchnął pakiecik przez biurko.

– Nazwij go kimś, kto woli przelewać pieniądze niż krew — odpowiedział. — Ale może także przelewać krew, jeżeli wyjdzie na to, że koniecznie musi.

– Jak mu leci z kolcem do lodu? — spytałem. — Bo z czterdziestką piątką kiepsko, to widzę.

Wielki facet zagryzł dolną wargę, potem wyciągnął ją na wierzch grubym wskazującym paluchem i kciukiem, i marniał coś jak krowa przeżuująca trawę.

– O kolcach do lodu nie będziemy rozmawiać — powiedział wreszcie. — Mówimy tylko o tym, że mógłbyś się paskudnie potknąć i zrobić sobie krzywdę. Ale jeżeli nie będziesz się niepotrzebnie szwendał, to się nie potkniesz, będziesz sobie spokojnie siedział, a forsa popłynie sama.

– Kto to jest ta blondynka? — spytałem.

Przemyślał to i kiwnął głową.

– Może już za daleko w to włążeś — westchnął. — Może już za późno na interes.

Po chwili pochylił się ku mnie i dodał łagodnie:

– W porządku. Porozumiem się z moim szefem i dowiem się, jak daleko chce się posunąć. Może wciąż jeszcze możemy się dogadać. Niech tak zostanie, zanim się nie zobaczymy. Dobra?

Powstrzymałem się od komentarza. Położył ręce na biurku i bardzo wolno wstał obserwując rewolwer, którym się bawiłem, przesuwając go po bibule.

– Może pan zatrzymać pieniądze — powiedział. — Idziemy, Alfred. — Odwrócił się i spokojnie wymaszerował z biura.

Oczy Alfreda odprowadziły go zezem, po czym dały susa na pieniądze. Równie czarodziejskim sposobem w jego dłoni pojawił się automat. Zręcznie jak węgorz przysunął się do biurka. Celując we mnie sięgnął lewą ręką po pieniądze. Zniknęły w jego kieszeni. Posłał mi zimny, pusty, złośliwy uśmiech, kiwnął głową i odsunął się, najwyraźniej ani przez chwilę nie zdając sobie sprawy, że ja też trzymam rewolwer.

– Idziemy, Alfred! — krzyknął ostro zza drzwi wielki facet. Alfred wymknął się przez nie i znikł. Zewnętrzne drzwi otworzyły się i zamknęły. Wzdłuż koryrza zastukały kroki. Potem cisza. Siedziałem teraz, myśląc mu! tym wszystkim, zastanawiając się, czy był to jakiś kompletny idiotyzm, czy też jakaś zupełnie nowa metoda, żeby kogoś nastraszyć.

Pięć minut później zadzwonił telefon.

Głęboki, miły głos powiedział:

– O, właśnie, panie Marlowe, myślę, że zna pan Sherry'ego Ballou, prawda?

– Nie.

– Sheridana Ballou? Tego wielkiego agenta? Powinien pan się z nim zobaczyć.

Trzymałem przez chwilę słuchawkę nic nie mówiąc. Potem powiedziałem:

– To jej agent?

– Może — powiedział Joseph P. Toad i zamilkł na chwilę. — Zdaje pan sobie chyba sprawę, że jesteśmy tylko pionkami w tej grze, panie Marlowe? To wszystko. Tylko pionkami. Ktoś chciał się czegoś o panu dowiedzieć. Wyglądało to na najprostszy sposób. Teraz nie jestem już taki pewien. Nie odpowiedziałem. Odłożył słuchawkę. Prawie natychmiast telefon zadzwonił znowu.

Uwodzicielski głos powiedział:

– Nie lubisz mnie specjalnie, co, *amigo*.

– Pewnie, że lubię. Tylko niech mnie pani nie gryzie.

– Jestem w domu, w Chateau Bercy. Jestem sama.

– Niech pani zadzwoni do telefonu zaufania.

– Proszę tak nie mówić. To bardzo ważny interes.

– Na pewno. Tylko że ja nie robię w tym interesie.

– Ta flądra... co ona o mnie nagadała? — syknęła.

– Nic. O, może tylko nazwała panią tahitańską kurwą w spodniach do konnej jazdy. Czy to pani przeszkadza?

Rozbawiło ją to. Przez chwilę brzmiał mi w uszach ten sam srebrzysty śmieszek.

– Zawsze te dowcipy. Tylko widzi pan, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest pan detektywem. To wielka różnica.

Mogłem jej powiedzieć, jak bardzo się myli. Ale powiedziałem tylko:

– Panno Gonzales, mówiła pani coś o jakimś interesie. O co chodzi, chyba że mnie pani po prostu nabiera.

– Czy chciałby pan zarobić mnóstwo pieniędzy? Bardzo, bardzo dużo?

– I obyłoby się bez kuli w brzuch? — spytałem.

Przez telefon usłyszałem, jak wciąga oddech.

– *Si* — powiedziała z namysłem. — To również trzeba wziąć pod uwagę. Ale pan jest taki dzielny, taki silny...

– Będę w biurze jutro o dziewiątej, panno Gonzales. Wtedy będę znacznie dzielniejszy. Natomiast teraz, jeżeli pani zechce wybaczyć...

– Ma pan randkę? Ładna jest? Ładniejsza ode mnie?

– Na miły Bóg — powiedziałem — czy pani zawsze myśli tylko o jednym?
– Niech cię diabli porwą, kochanie — powiedziała i rzuciła słuchawkę.
Zgasilem światło i wyszedłem. W połowie drogi spotkałem faceta, który studiował listę lokatorów. Trzymał w ręku ekspres. Musiałem więc wrócić do biura i zamknąć go w sejfie. Kiedy to robiłem, znowu zadzwonił telefon.
Pozwoliłem mu dzwonić. Jak na jeden dzień miałem dosyć. Było mi wszystko jedno. Niech by to była sama królowa Saby w przezroczyściej piżamie albo... albo i bez piżamy, byłem zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować. Zamiast mózgu miałem wiaderko mokrego piasku.
Kiedy doszedłem do drzwi, telefon ciągle dzwonił. Nie było rady. Musiałem wrócić. Instykt był silniejszy niż zmęczenie. Podniosłem słuchawkę.
Drżący głosik Orfamay Quest powiedział:
– Och, panie Marlowe, dzwonię do pana i dzwonię bez przerwy. Taka jestem zdenerwowana. Taka jestem...
– Rano — powiedziałem. Teraz biuro zamknięte.
– Proszę pana, panie Marlowe, tylko dlatego, że wtedy na chwilę wyszłam z siebie...
– Rano.
– Ale mówię panu, że koniecznie muszę się z panem zobaczyć — głos nie był jeszcze krzykiem, ale mało brakowało. – To takie strasznie ważne.
– Tak, tak.
Pociągnęła nosem.
– Pan mnie pocałował.
– Od tego czasu już się całowałem lepiej — powiedziałem. Niech idzie do diabła. Niech wszystkie idą do diabła.
– Miałam wiadomość od Orrina — powiedziała.
To mnie przyhamowało na chwilę, ale zaraz się roześmiałem.
– Rozkoszna z pani kłamczucha — powiedziałem. — Dobranoc.
– Ale naprawdę. Zadzwonił do mnie. Zatelefonował. Właśnie tu, gdzie mieszkam.
– Dobra — powiedziałem. — W takim razie detektyw pani niepotrzebny. A jeżeli tak, to ma pani w rodzinie lepszego niż ja, bo mnie się nie udało wyniuchać, gdzie pani mieszka.
Zapadła krótka cisza. Zmusiła mnie jednak, żebym z nią rozmawiał. Nie dała mi odłożyć słuchawki. Tyle musiałem jej przyznać.
– Napisałam do niego, gdzie będę — powiedziała wreszcie.
– Tak, tak, tylko że nie dostał tego listu, bo się wyprowadził i nie zostawił adresu. Pamięta pani? Niech pani spróbuje jeszcze raz, jak będę mniej zmęczony. Teraz może już pani mi zresztą nie mówić, gdzie pani mieszka, bo już dla pani nie pracuję. Dobranoc, panno Owest.
– Dobrze, panie Marlowe. To teraz już zadzwonię na policję. Ale chyba nie będzie pan z tego zadowolony. Myślę, że ani trochę.
– Dlaczego?
– Bo tu chodzi o morderstwo, panie Marlowe, a morderstwo to wyjątkowo brzydkie słowo, nie uważa pan?
– Niech pani przyjedzie — powiedziałem — czekam.
Odłożyłem słuchawkę. Wyjąłem butelkę Old Forestera. Nalałem sobie jednego, wlałem go do gardła i na pewno nie zrobiłem tego powoli.

Tym razem weszła całkiem pospiesznie. Jej ruchy były krótkie, j szybkie, zdecydowane. Na twarzy miała jeden z tych cieniutkich, jasnych uśmieszków. Stanowczym ruchem położyła przed sobą torbę, usiadła w fotelu dla klientów i uśmiechała się dalej.
– Miło z pana strony, że pan na mnie poczekał — powiedziała. — Założę się, że nawet pan nie jadł kolacji.
– Myli się pani — powiedziałem. — Jadłem kolację. Teraz piję whisky. Pani oczywiście potępia

picie whisky; prawda?

– Oczywiście, że tak.

– To cudownie — powiedziałem. — Miałem nadzieję, że nie zmieniła pani zdania. — Postawiłem butelkę na biurku i nalałem sobie jeszcze jednego. Wypiłem trochę i łypnąłem do niej znad szklanki.

– Jeżeli pan nie przestanie, nie będzie pan mógł wysłuchać tego, co mam do powiedzenia — warknęła.

– W sprawie tego morderstwa — powiedziałem. — Ktoś znajomy? W każdym razie widzę, że pani jeszcze nikt nie zamordował. Na razie.

– Niech pan nie będzie niepotrzebnie antypatyczny. To nie moja wina. Nie uwierzył mi pan przez telefon, więc musiałam pana jakoś przekonać. Orrin naprawdę do mnie zadzwonił. Nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest i co robi. Nie wiem dlaczego.

– Chciał, żeby pani sobie sama z tym poradziła — powiedziałem. — Ćwicz, pani charakter.

– To nie jest śmieszne. Ani nawet błyskotliwe.

– Ale musi pani przyznać, że za to złośliwe — powiedziałem. — Kogo zamordowano? Czy może to też tajemnica?

Pobawiła się chwilę swoją torbą, nie na tyle, by opanować zakłopotanie, bo wcale nie była zakłopotana. Na tyle jednak, by mnie skłonić do nalania sobie jeszcze jednego.

– Zamordowano tego straszego człowieka w tym hotelu. Pana, pana... zapomniałam nazwiska.

– To zapomnijmy razem — powiedziałem. — Raz przynajmniej zrobmy coś razem. — Schowałem butelkę do szuflady biurka i powiedziałem: — Posłuchaj no, Orfamay. Nie pytam skąd wiesz to wszystko. Czy raczej skąd Orrin to wszystko wie. Jeżeli wie. Znalazła go pani. Tego właśnie chciała pani ode mnie. Czy też to on znalazł panią, co na jedno wychodzi.

– To wcale na jedno nie wychodzi! — krzyknęła. — Wcale go nie znalazłam. Nie chce mi powiedzieć, gdzie mieszka.

– No, jeżeli to coś takiego jak poprzednim razem, to trudno mu się dziwić.

Zacisnęła wargi w twardą linię, pełną odrazy.

– Nie chciał mi w ogóle nic powiedzieć.

– Tylko o tych morderstwach — powiedziałem. — Takie tam drobiazgi.

Zaśmiała się serdecznie.

– Powiedziałam to, żeby pana przestraszyć. Wcale nie miałam na myśli, że naprawdę kogoś zamordowano, panie Marlowe.. Taki pan był chłodny i daleki. Pomyślałam sobie, że już mi pan nie chce pomagać. No więc... no więc to wymyśliłam.

Zrobiłem parę głębokich wdechów i spojrzałem na swoje ręce. Powoli wyprostowałem palce.

Potem wstałem. Nie odezwałem się.

– Czy pan się na mnie gniewa? — spytała nieśmiało, rysując palcem na biurku małe kółko.

– Powiniennem sprać panią po gębie — powiedziałem. — I niech pani przestanie zgrywać niewiniątko, bo spiorę panią po czymś innym.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Jak pan śmie!

– Tę replikę już pani raz wykorzystała — powiedziałem. — W ogóle za często ją pani stosuje.

Proszę się zamknąć i wynosić. Czy pani myśli, że ja lubię, kiedy się mnie straszy? A, jeszcze to — wysunąłem szufladę, wyjąłem jej dwadzieścia dolarów i rzuciłem je na biurko. — Niech pani zabiera te pieniądze. Niech pani je przekaże jakiemuś szpitalowi albo laboratorium. Nie mogę nerwowo wytrzymać ich obecności.

Jej ręka wysunęła się automatycznie po pieniądze. Oczy za okularami były okrągłe, zamyślane.

– Mój Boże — powiedziała, podnosząc torbę z pełną wdzięku godnością. — Z całą pewnością nie przypuszczałam, że tak łatwo pana przestraszyć. Sądziłam, że jest pan odporniejszy.

– Ja tylko udaję — warknąłem, obchodząc biurko. Odchyliła się w krzesło do tyłu, jak najdalej ode mnie. — Twardy jestem tylko z takimi małymi dziewczynkami jak pani, które zawsze sobie krótko obcinają paznokcie. W środku jestem galareta. — Złapałem ją za rękę i poderwałem na nogi. Odrzuciła głowę. Rozchyliła usta. Miałem dziś szatańskie powodzenie.

– Ale pan znajdzie dla mnie Orrina, prawda? — wyszeptała. — To wszystko było kłamstwo. Wszystko, co panu powiedziałam. On wcale do mnie nie dzwonił. Nnnnic nie wiem.

– Perfumy! — powiedziałem pociągając nosem. — Proszę, proszę, maleństwo! Wyperfumowała się pani za uszami i to wszystko dla mnie.

Kiwnęła główką, tak na pół cala. Jej oczy powoli złagodniały.

– Niech mi pan zdejmie okulary — wyszeptała — Philip. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan od czasu do czasu napił się whisky. Naprawdę.

Nasze twarze dzieliło kilkanaście centymetrów. Bałem się zdjąć jej te okulary. Bałem się, że jej wtedy rozwałę nos...

– Tak — powiedziałem głosem, który przypominał Orsona Wellesa z gębą pełną herbatników. — Znajdę go dla ciebie, kochanie, jeżeli jeszcze żyje. I to za darmo. Ani centa wydatków. Proszę cię tylko o jedno.

– O co, Philip? — spytała cichutko i jeszcze szerzej rozchyliła usta.

– Powiedz mi, kto był czarną owcą w waszej rodzinie?

Odskokzyła ode mnie niczym przestraszony jelonek, gdybym oczywiście miał jelonka i go przestraszył. Gapiła się we mnie z kamienną twarzą.

– Powiedziała pani, że to nie Orrin był czarną owcą w waszej rodzinie. Pamięta pani? Bardzo wyraźnie to pani podkreśliła. A potem kiedy wspomniała pani o swojej siostrze Leili, szybko zmieniła pani temat, jakby to było coś niesmacznego.

– Nie... nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówiła — powiedziała bardzo wolno.

– Więc trochę nad tym myślałam — powiedziałem. — Jakiego nazwiska pani siostra Leila używa w filmie?

– W filmie? — spytała, jakby nie wiedziała, o czym mówię. — Ach, w kinie? Jak to, przecież nigdy panu nie mówiłam, że ona pracuje w kinie. Nigdy nic takiego o niej nie mówiłam. Posłałem jej jeden z tych moich szerokich, dobrotliwych, krzywych uśmiechów. Nagle wybuchnęła wściekłością.

– Niech pan nie wtyka nosa w sprawy mojej siostry Leili! — prychnęła w moją stronę. — Niech pan oszczędzi mojej siostrze Leili swoich wstrętnych uwag!

– Jakich znowu wstrętnych uwag? — spytałem. — A może mam zgadywać?

– Myśli pan tylko o wódce i kobietach — wrzasnęła. — Nienawidzę pana! — Pognała do drzwi, otworzyła je szeroko i wybiegła. Dosłownie kłusowała korytarzem.

Wróciłem za biurko i padłem na krzesło. Bardzo dziwna dziewczynka. Bardzo, bardzo dziwna. Po chwili telefon znowu zaczął dzwonić, jasna sprawa. Po czwartym dzwonku wsparłem głowę na rękę, złapałem po omacku słuchawkę i przywlokłem ją sobie do twarzy.

– Zakład pogrzebowy McKinleya — powiedziałem.

Kobięcy głos wykrzyknął;

Cooooo?! — po czym wybuchnął histerycznym śmiechem. To był numer komiczny z jednego przedstawienia na policji, w 1921 roku. Wtedy wszyscy konali ze śmiechu. Co za dowcip. Ostry jak dziób kolibra. Zgasilem światło i poszedłem do domu.

16

Za kwadrans dziewiąta rano siedziałem w samochodzie parę domów od sklepu fotograficznego w Bay City. Byłem po śniadaniu, wypoczęty i czytałem przez ciemne okulary miejscową gazetę. Przegryzłem się już przez gazetę z Los Angeles, nic było tam jednak żadnej wzmianki o kolcach do lodu, ani w związku z Van Nuyssem, ani z jakimkolwiek innym hotelem. Nawet notki „Tajemnicza śmierć w śródmiejskim hotelu” bez podania narzędzia zbrodni czy nazwiska ofiary. W „Bay City News” mieli dość miejsca, by się porozwodzić nad morderstwem. Dali je na pierwszą stronę, zaraz koło cen mięsa.

Morderstwo kierownika hotelu na Idaho Street

Wczoraj późnym popołudniem anonimowy telefon zaalarmował policję, która udała się w wielkim pośpiechu pod pewien adres na Idaho Street, naprzeciwko składu drewna Sea-mana i

Jansinga. Po otwarciu nie zamkniętych od wewnątrz drzwi mieszkania policjanci znaleźli na tapczanie martwego Lestera B. Clausena, lat 45, kierownika hotelu. Clausen został zabity za pomocą kolca do lodu, który nadal tkwił w jego karku. Po wstępnym dochodzeniu sędzia śledczy Frank L. Crowdy oznajmił, że Clausen nadużywał alkoholu i że w chwili zgonu mógł być nieprzytomny. Policja nie znalazła żadnych śladów bójki.

Detektyw porucznik Moses Maglashan ujął energicznie sprawę w swoje ręce i przesłuchał lokatorów hotelu po ich powrocie do domu, okoliczności zbrodni nie zostały jednak do tej pory wyjaśnione. Sędzia śledczy Crowdy oświadczył reporterowi naszej gazety, że śmierć Clausena mogła być wynikiem samobójstwa, lecz że położenie rany czyni to przypuszczenie mało prawdopodobnym. Przegląd hotelowej książki meldunkowej ujawnił, że jedna kartka została ostatnio wyrwana. Po długotrwałym przesłuchaniu lokatorów porucznik MagEashan stwierdził, że w hallu hotelowym zauważono kilkakrotnie silnie zbudowanego mężczyznę w średnim wieku z ciemnymi włosami i wyrazistymi rysami twarzy, lecz że nikt z lokatorów go nie zna. Jego nazwiska ani zajęcia. Po starannym przeszukaniu wszystkich pokoi porucznik Maglashan wyraził poza tym opinię, iż jeden z gości musiał ostatnio opuścić hotel w niejakim pośpiechu. Wyrwanie kartki z książki meldunkowej, charakter okolicy i brak dokładnego rysopisu zaginionego sprawiają, iż poszukiwanie go jest szczególnie utrudnione.

„Nie wiem jeszcze, dlaczego Clausen został zabity — oświadczył Maglashan później tego samego dnia. — Od dłuższego czasu obserwowałem jednak tego człowieka. Znam wielu Jego współpracowników. To ciężka sprawa, ale rozgryziemy ją”.

Był to wcale elegancki kawałek, w którym nazwisko Maglashana pojawiało się najwyżej tuzin razy w tekście i jeszcze ze dwa w podpisach pod zdjęciami. Jedno z nich, na stronie trzeciej, przedstawiało go, jak trzyma kolec do lodu i przygląda mu się ze zmarszczonymi brwiami. Dali także zdjęcie numeru 499 na Idaho Street, ukazujące ten dom z bezlitosną dokładnością oraz zdjęcie czegoś na tapczanie przykrytego prześcieradłem, na co porucznik Maglashan wskazywał surowo palcem. Było też zbliżenie burmistrza za biurkiem: wyglądał na nim cholernie odpowiedzialnie. Obok zamieszczono wywiad z nim na temat powojennej fali przestępczości. Mówił dokładnie to, czego można się było spodziewać po burmistrzu — siedemnasta woda po Edgarze Hooverze plus dodatkowa porcja błędów gramatycznych.

Za trzy dziewiąta drzwi sklepu fotograficznego otworzyły się i starszawy Murzyn zaczął zamiatać chodnik zgarniając śmieci do rynsztoka. O dziewiątej starannie ubrany młody człowiek w okularach otworzył drzwi, wszedłem więc do środka z pomarańczowym kwitem, który dr Hambleton przykleił sobie pod peruką.

Starannie ubrany młody człowiek przyglądał mi się uważnie, gdy podawałem mu kwit i pieniądze. W zamian otrzymałem kopertę z małym negatywem i sześcioma lśniąco odbitkami, ośmiokrotnie powiększonymi. Nic powiedział nic, ale sposób, w jaki na mnie patrzył, wskazywał, że raczej pamięta, iż to nie ja oddawałem mu negatyw.

Wyszedłem, wsiałem do samochodu i obejrzałem łup. Odbitki ukazywały mężczyznę i blondynkę w zatłoczonej restauracji, z talerzami przed nosem. Właśnie podnieśli głowy, jakby coś zwróciło ich uwagę, a oni ledwo zdążyli zareagować, zanim trzasnęła migawka. Oświetlenie wskazywało, że nie użyto flesza.

Dziewczyna nazywała się Mavis Weld. Mężczyzna był raczej niewysoki, bez wyrazu i miał dosyć ciemne włosy. Nie poznałem go. Dlaczego niby miałem go poznać. Wyściełane skórzane fotele ozdobione były małymi figurkami tańczących par. Była to zatem restauracja „Tancerze”. Jeszcze bardziej komplikowało to całą sprawę. Każdy fotograf amator, który próbowałby tam robić zdjęcia bez zezwolenia kierownictwa, dostałby takiego kopa, że zatrzymałby się w San Francisco. Przyszło mi do głowy, że pewnie zrobił numer z ukrytą kamerą, podobnie jak sfotografowano Ruth Snyder na krześle elektrycznym. Zawiesił sobie pewnie jakiś mały aparat na pasku pod kołnierzem płaszczka, tak że obiektyw ledwie wyglądał mu przez rozchyloną marynarkę, a w kieszeni miał zdalny wyzwalacz. Nie musiałem długo myśleć, żeby zgadnąć, kto zrobił to zdjęcie. Pan Orrin P. Owest musiał być dobry w nogach, skoro wy dostał się stamtąd w jednym kawałku.

Wkładając fotografie do kieszeni marynarki, natknąłem i się na zgnieciony kawałek papieru.

Wyjąłem go i przeczytałem; „Dr Vincent Lagardie, Wyoming Street 965, Bay City”. Był to ów Vince, z którym rozmawiałem przez telefon, ten, do którego próbował dzwonić Lester B. Clausen. Wzdłuż zaparkowanych samochodów sunął starszawy, glina, znacząc opony żółtą kredą. Powiedział mi, gdzie jest Wyoming Street. Pojechałem tam. Była to główna ulica, z dala od centrum handlowego, równoległa do dwóch ulic numerowanych. Numer 965, dom z białą-szara fasadą, stał na rogu, Na mosiężnym szyldzie na drzwiach było napisane: „Vincent Lagardie, dr med. Przyjmuje od 10.00 do 12.00 i od 14.30 do 16.00”.

Dom wyglądał spokojnie i przyzwoicie. Po schodach wchodziła kobieta z niesfornym chłopcem. Przeczytała szyld, spojrzała na zegarek przypięty do klapy kostiumu i zagryzła wargę, niezdecydowana. Mały chłopiec rozejrzał się ostrożnie dookoła, po czym kopnął ją w kostkę.

– Johnny, nie wolno robić takich rzeczy cioci Fern — powiedziała łagodnie.

Otworzyła drzwi i wciągnęła pawiana za sobą do środka. Na ukos, po drugiej stronie skrzyżowania, znajdowała się wielka, biała rezydencja w stylu kolonialnym, z krytym portykiem, stanowczo zbyt małym jak na ten budynek. Na trawniku przed domem ustawiono reflektory. Wzdłuż chodnika kwitły trzy róże. Wielki, czarno-srebrny napis nad portykiem głosił: „Dom Pokoju pod Wieńcem”. Zastanawiałem się, czy dr Legardie lubi patrzeć ze swoich frontowych okien na zakład pogrzebowy. Może jest dzięki temu ostrożniejszy.

Na skrzyżowaniu skręciłem i pojechałem do Los Angeles, poszedłem do biura, żeby przejrzeć pocztę i zamknąć w sfatygowanym zielonym sejfie mój łup ze sklepu fotograficznego w Bay City — wszystko, z wyjątkiem jednej odbitki. Siadłem za biurkiem i zacząłem się jej przyglądać przez szkło powiększające. Nawet w ten sposób i mimo powiększenia szczegóły były absolutnie czytelne. Na stole, przed ciemnowłosym, szczupłym mężczyzną bez wyrazu, siedzącym obok Mavis Weld, leżała wieczorna gazeta, „News Chronicle”. Mogłem nawet przeczytać nagłówek: „Bokser wagi lekko-ciężkiej ofiarą obrażeń na ringu”. Tylko południowe lub wieczorne wydanie mogło mieć taki nagłówek. Przysunąłem sobie telefon. Zanim podniosłem słuchawkę, zadzwonił.

– Marlowe? Tu Christy French. Masz jakieś nowe pomysły?

– Jeżeli twój dalekopis pracuje, to nie. Widziałem gazetę z Bay City.

– Tak, mamy ją — powiedział lekko. — Wygląda, że to ten sam facet. Te same inicjały, ten sam rysopis, ta sama metoda i nawet czas się zgadza. Mam nadzieję, że to nie chłopcy Sunny'ego Moe Steina znowu ruszyli do roboty.

– Jeżeli tak, to trochę zmienili technikę — powiedziałem. — Poczytałem sobie o tym wczoraj wieczorem. Oni zostawiali podobno swoje ofiary całe podziurawione. Jedna z nich miała sto ran kłutych.

– Może podnieśli kwalifikacje — powiedział French wymijająco, jakby nie chciał o tym rozmawiać. — Dzwonię do ciebie w sprawie Flacka. Nie widziałeś go przypadkiem od wczoraj?

– Nie.

– Zniknął. Nie przyszedł do pracy. Hotel dzwonił do jego gospodyni. Spakował się i wyniósł zeszłej nocy. Nie podając adresu.

– Nie widziałem go, ani nic nie słyszałem — powiedziałem.

– Nie uderzyło cię, że ten sztywniak miał przy sobie tylko czternaście dolarów?

– Trochę tak. Ale to już sobie sam wytłumaczyłeś.

– Tak tylko gadałem. Przestałem w to wierzyć. Flack jest albo wystraszony, albo trafił jakąś forszę. Albo widział coś, czego nie powiedział, i zapłacono mu, żeby spłynął, albo dmuchnął facetowi szmal i zostawił te czternaście dolarów, żeby to trochę lepiej wyglądało.

– Może być i tak, i tak — powiedziałem. — Albo i jedno i drugie. Ale ktokolwiek przeszukiwał ten pokój, nie szukał pieniędzy.

– Czemu nie?

– Bo kiedy dr Hambleton do mnie zadzwonił, zaproponowałem mu sejf w hotelu, a on odrzucił propozycję.

– Taki facet i tak by cię nie wynajął, żebyś mu potrzywał forszę — powiedział French. — W ogóle nie wynajmowałby cię, żebyś mu coś przechowywał. Po drugie szukał ochrony albo współnika, albo może posłańca.

– Przepraszam — powiedziałem. — Powtórzyłem dokładnie, co mi powiedział.
– No, a kiedy już przyjechałeś tam i zobaczyłeś, że nie żyje — powiedział French przesadnie lekkim tonem — mało prawdopodobne, żebyś akurat wtedy dawał mu swoją wizytówkę. Zacisnąłem palce na słuchawce i pospiesznie przypomniałem sobie rozmowę z Hicksem na Idaho Street.

Zobaczyłem, jak trzyma w palcach moją wizytówkę i się jej przygląda. Potem zobaczyłem, jak mu ją szybko odbieram, zanim do niej przymarzył. Zacerpnąłem tchu i powiedziałem bardzo wolno:

– Mało prawdopodobne. I nie strasz mnie tak, bo zemdleję.
– Miał twoją wizytówkę, chłopie. Złożoną na cztery, w spodniach, w kieszonce na zegarek. Za pierwszym razem przegapiliśmy ją.
– Dałem swoją wizytówkę Flackowi — powiedziałem mężnie.

Zapadła cisza. Gdzieś w tle słyszałem głosy i stuk maszyny do pisania. Wreszcie French powiedział sucho:

– Może i tak. Do zobaczenia. — I gwałtownie odłożył słuchawkę.

Powoli położyłem słuchawkę na widełkach i rozprostowałem zeszytniałe palce. Gapilem się na zdjęcie, które leżało przede mną na biurku. Mogłem z niego wyczytać tylko jedno- ,że dwie osoby, z których jedną znam, jedzą obiad w „Tancerzach”. Gazeta na stole podawała mi datę tego wydarzenia lub mogła to zrobić.

Wykręciłem numer „News Chronicle” i poprosiłem u dział sportowy. Cztery minuty później zanotowałem: „Ritchy Beale, popularny młody bokser wagi lekko-ciężkiej, zmarł w Sisters Hospital krótko przed północą 19 lutego w wyniku obniżeń odniesionych poprzedniego wieczoru w ważnym meczu na Hollywood Legion Stadium. Popołudniowe wydanie sportowe News Chronicle z 20 lutego miało taki nagłówek”.

Wykręciłem jeszcze raz ten sam numer i poprosiłem o Kenny'ego Haste'a z działu miejskiego. Był kiedyś reporterem kryminalnym i znałem go od lat. Pogadaliśmy przez minutę., po czym go spytałem:

– Kto robił dla ciebie zabójstwo Sunny'ego Moe Steina?
– Tod Barrow. Pracuje teraz w „Post Despatch”. A bo co?
– Jeżeli są jakieś szczegóły, to chciałbym je dostać.

Powiedział, że pośle do archiwum po teczkę i zadzwoni, co też zrobił po dziesięciu minutach.

– Dostał dwa strzały w głowę, w swoim samochodzie, mniej więcej dwie ulice od Chateau Bercy, na Franklin. Koło 11.15.

– 20 lutego, tak? — spytałem. — Czy się pomyliłem?

– Zgadza się. Bez świadków, żadnych aresztowań, tylko normalny zestaw bukmacherów, bezrobotnych impresariów i tak dalej, zawodowi podejrzani. A o co chodzi?

– Podobno jakiś jego kumpel był w tym czasie w mieście.

– Na ten temat nic tu nie ma. Jak się nazywał?

– Płaksa Moyer. Jeden mój kumpel glina powiedział, że zatrzymali jakiegoś dzianego faceta z Hollywood, ale musieli go zwolnić z braku dowodów.

– Poczekaj no — powiedział Kenny. — Coś mi jakby świta... Tak! Facet nazywa się Steelgrave, to właściciel „Tancerzy”, podobno hazardzista i tak dalej. Miły facet, poznałem go. Ciężko się skompromitowali.

– Jak to skompromitowali?

– Jakiś cwaniak poinformował policję, że to on jest Płaksa Moyer, i trzymali go przez dziesięć dni pod zarzutem czegoś tam w Cleveland. Ale Cleveland go oczyściło. Nie miało to nic wspólnego z zabójstwem Steina. Trzymali Steelgrave'a pod mikroskopem cały tydzień, ale nie wykryli żadnego związku. Ten twój kumpel glina czyta za dużo kryminalów.

– Jak oni wszyscy — powiedziałem. — Dlatego są tacy mocni w gębie. Dziękuję, Kenny.

Pożegnaliśmy się, odłożyliśmy słuchawki, a ja rozsiadłem się znowu w fotelu i patrzyłem w fotografię. Po chwili wziąłem nożyczki i wyciąłem kawałek zawierający gazetę z nagłówkiem Wsadziłem obie części w dwie oddzielne koperty i włożyłem je do kieszeni razem z notatką o bokserze.

Wykręciłem numer do Mavis Weld. Po kilku dzwonekach odezwał się kobiecy głos. Był daleki i oficjalny, może go kiedyś i słyszałem, a może nie. Powiedział tylko jedno:

- Halo?
- Tu Philip Marlowe. Czy panna Weld jest w domu?
- Panna Weld wróci dzisiaj bardzo późno. Czy chce pan zostawić jakąś wiadomość?
- To bardzo ważna sprawa. Gdzie mógłbym ją znaleźć?
- Przykro mi, ale nic na ten temat nie wiem.
- Może jej agent wie?
- Może.
- Jest pani zupełnie pewna, że nie jest pani panną Weld?!
- Panna Weld nie ma w domu — odłożyła słuchawkę.

Siedziałem i przysłuchiwałem się temu głosowi. Najpierw myślałem, że tak, a potem, że nie. Im dłużej myślałem, tym mniej byłem pewien. Poszedłem na parking i wsiadłem do samochodu.

17

Na tarasie „Tancerzy” parę rannych ptaszków szykowało się do wypicia lunchu. Nad oszkloną salą na piętrze opuszczono markizę. Minałem zakręt, który prowadzi w dół na Strip, i zairzymałem się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kwadratowego, domu z jasnoczerwonej cegły z oknami o pomalowanych na biało framugach i z greckim portalem nad drzwiami wejściowymi, na których nawet z drugiej strony widać było coś w rodzaju staromodnej cynowej gałki. Nad drzwiami było półkoliste okienko i nazwa „Sheridan Ballou Inc.” wypisana czarnymi, drewnianymi, surowo stylizowanymi literami. Zamknąłem samochód i podszedłem do drzwi wejściowych. Były białe, wysokie, szerokie i miały dziurkę od klucza, przez którą mogłaby przejść spora mysz. W środku tej dziurki był prawdziwy zamek. Sięgnąłem po kołatkę, ale o tym też pomyśleli. Składała się z jednego kawałka i wcale nie pukała.

Poklepałem zatem jedną ze smukłych rowkowanych kolumn, otworzyłem drzwi i wszedłem prosto do poczekalni, klóra zajmowała całą frontową część domu. Wyposażona była w ciemne meble wyglądające na antyki oraz większy zestaw krzeseł i kanapek, wyściełanych czymś w rodzaju pikowanego perkalu. W oknach wisiały koronkowe firanki i perkalowe lambrekiny, dopasowane do mebli. Był jeszcze dywan w kwiaty i kupa ludzi czekających na spotkanie z panem Sheridanem Ballou.

Niektórzy byli uśmiechnięci, radośni i pełni nadziei. Inni wyglądali tak, jakby siedzieli tu od kilku dni. W kącie mała ciemnowłosa dziewczyna chlipała w chusteczkę. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Zostałem obdarowany kilkoma starannie upozowanymi profilami, po czym towarzystwo uznało, że niczego nic zamierzam kupić i że w ogóle tu nie pracuję.

Niebezpieczna ruda dziewczyna siedziała rozwalona przy biurku rozmawiając przez śnieżnobiały telefon. Podszedłem do niej, ona zaś strzeliła do mnie dwoma błękitnymi kulkami śrutu, które jej służyły za oczy, po czym wbiła wzrok w gzyms biegnący wokół pokoju.

– Nie — powiedziała do telefonu. — Nie, bardzo mi przykro. Obawiam się, że nawet nie warto próbować. Stanowczo jest zbyt zajęty. — Odłożyła słuchawkę, zaznaczyła coś na jakieś liście i obdarowała mnie kolejnym stalowym spojrzeniem.

– Dzień dobry. Chciałbym porozmawiać z panem Ballou — powiedziałem. Położyłem na biurku swoją zwykłą prywatną wizytówkę. Podniosła ją za róg, po czym uśmiechnęła się do niej rozbawiona.

– Dzisiaj? — spytała uprzejmie. — W tym tygodniu?

– A jak długo to zwykle trwa?

– Bywało i pół roku — odpowiedziała radośnie. — Czy może kto inny mógłby panu coś poradzić?

– Nie.

– Strasznie mi przykro. Nie ma szans. Niech pan kiedyś wpadnie. Gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia. — Miała na sobie spódniczkę z białej wełny, jedwabną bluzkę w kolorze czerwonego

wina i czarne aksamitne wdzianko z krótkimi rękawami. Jej włosy były jak gorejący zachód słońca. Miała złotą bransoletkę z topazem, topazowe kolczyki i pierścionek z topazem w kształcie tarczy. Jej paznokcie były pomalowane na kolor bluzki. Wyglądała tak, jakby ubieranie jej trwało parę tygodni.

– Muszę się z nim zobaczyć — powiedziałem.

Jeszcze raz przeczytała moją wizytówkę. Uśmiechnęła się ślicznie.

– Wszyscy muszą — powiedziała. — Panie... hm... Marlowe. Niech pan spojrzy na tych wszystkich miłych ludzi. Siedzą tu od dwóch godzin, od chwili otwarcia biura.

– To ważna sprawa.

– Nie wątpię. Ale co w niej ważnego, jeżeli wolno zapytać?

– Chciałbym opędzlować mu jedno świństwo.

Z kryształowego pudełka wyjęła papierosa i zapaliła go kryształową zapalniczką.

– Opędzlować? To znaczy — za pieniądze? W Hollywood?

– Owszem.

– Jakie świństwo? Proszę się nie bać, mnie pan nie zgorszy.

– To trochę nieprzyzwoite panno... panno..., — wykręciłem głowę, żeby przeczytać plaketkę na biurku.

– Helen Grady — powiedziała. — No cóż, jakieś eleganckie świństwko jeszcze nikomu nie zaszkodziło, prawda?

– Nie powiedziałem, że eleganckie.

Odchyliła się ostrożnie i dmuchnęła mi dymem w twarz.

– Krótko mówiąc szantaż. — Westchnęła. — Spadaj, facet. Bo cię popędzi paru krzepkich gliniarzy.

Siadłem na brzegu jej biurka, złapałem w ręce garść dymu z jej papierosa i dmuchnąłem nim w jej włosy. Odchyliła się wściekła.

– Spierdalaj, chامية — powiedziała głosem, którym można było cyklinować podłogi.

– Ho, ho! Gdzież nam się podział ten salonowy styl?

Nie odwracając głowy powiedziała ostro:

– Panno Vane!

Wysoka, szczupła, elegancka dziewczyna ze zdziwionymi brwiami podniosła głowę. Weszła właśnie przez wewnętrzne drzwi, zakamuflowane matową szybą. Podeszła do nas. Panna Grady podała jej moją wizytówkę.

– Spink.

Panna Vane przeszła z powrotem przez matową szybę z wizytówką w ręku.

– Siadaj i daj odpocząć nogom, ważniaku — powiedziała panna Grady. — Możesz tu posiedzieć z tydzień.

Siadłem w krytym perkalem fotelu, którego oparcie kończyło się gdzieś pół metra nad moją głową. Poczuję się mały. Panna Grady posłała mi znowu uśmiech, ten z naostrzoną klingą, i znowu pochyliła się nad telefonem.

Rozejrzałem się. Dziewczyna w kącie przestała płakać i ze spokojną obojętnością zaczęła poprawiać makijaż. Bardzo wysoki, dystyngowany pan uniósł z gracją rękę, by spojrzeć na swój elegancki zegarek, po czym lekko się podniósł. Włożył na głowę szaroperłowy filcowy kapelusz, z wdziękiem zsuwając go na lewą stronę, poprawił żółte giewzowe rękawiczki, sięgnął po laskę ze srebrną gałką i wolno podszedł do rudej recepcjonistki.

– Czekałem na pana Ballou dwie godziny — powiedział lodowato głosem dźwięcznym i świetnie modulowanym, nad którym najwyraźniej pracował. — Nie przywykłem czekać dwie godziny na kogokolwiek.

– Przykro mi bardzo, panie Fortescue. Pan Ballou jest dziś zbyt zajęty na rozmowę.

– Szkoda, że nie mogę mu zostawić czeku — zauważył elegancki pan z pogardliwym znużeniem.

— Byłaby to zapewne jedyna rzecz zdolna go zainteresować. Z braku czegoś podobnego jednak...

– Chwileczkę, kochanie! — Ruda podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Tak?... A poza Goldwynem kto jeszcze tak twierdzi? Nie ma pani pod ręką kogoś, kto jeszcze nie

zwariował? No, to proszę spróbować innym razem. — Trzasnęła słuchawką. Wysoki dżentelmen nawet nie drgnął.

– Z braku czegoś podobnego — ciągnął jakby w ogóle nie przerywał — chciałbym mu zostawić krótką wiadomość natury osobistej.

– Proszę uprzejmie — powiedziała panna Grady — jakoś postaram się mu ją przekazać.

– Proszę mu zatem powiedzieć, z czułymi pozdrowieniami ode mnie, że jest cuchnącym skunksem.

– Lepiej niech będzie śmierdziel, kochanie — powiedziała. — On nie zna obcych słówek.

– Niech będzie śmierdziel i jeszcze raz śmierdziel — powiedział Fortescue. — Z lekkim dodatkiem siarkowodoru i najtańszych burdelowych perfum. — Poprawił kapelusz i przyjrzał się swemu profilowi w lustrze. — Żegnam panią i niech diabli porwą Sheridana Ballou, Inc.

Wysoki aktor wymaszerował elegancko, otwierając sobie laską drzwi.

– Co mu jest? — spytałem.

Spojrzała na mnie z politowaniem;

– Billy'emu Fortescue? Nic mu nie jest. Nie może dostać roli, więc przychodzi tu codziennie i odwała za każdym razem ten sam numer. Wyobraża sobie, że może ktoś go w tym zobaczy i się zakocha.

Powoli zamknąłem usta. Można bardzo długo mieszkać w Hollywood i nigdy się nie natknąć na to, co pokazują w kinie.

Panna Vane ukazała się w drzwiach i kiwnęła brodą w moją stronę. Poszedłem za nią.

– Tędy. Drugie drzwi na prawo. — Obserwowała mnie, gdy szedłem korytarzem w stronę owych drugich drzwi, które były otwarte. Wszedłem i zamknąłem je.

Pulchny, siwy Żyd siedział za biurkiem uśmiechając się do mnie czule.

– Serdecznie witam — powiedział. — Nazywam się Moss Spink. Co masz na wątrobie? Rozsiądź się wygodnie. Papieroska? — Otworzył coś, co wyglądało jak kufer i wręczył mi papierosa, który miał najwyżej pół metra długości i tkwił w szklanej lufce.

– Dziękuję — powiedziałem. — Palę tytoń.

Westchnął.

– W porządku. Niech będzie. Pan się nazywa Marlowe. Marlowe, Marlowe. Czy słyszałem już kiedyś nazwisko Marlowe?

– Prawdopodobnie nie — powiedziałem. — Ja również nigdy nic słyszałem o kimś, kto by się nazywał Spink. Chciałem się widzieć z człowiekiem nazwiskiem Ballou. Czy to brzmi podobnie do nazwiska Spink? Nie chcę się widzieć z nikim nazwiskiem Spink. I mówiąc między nami, chrzanię wszystkich, co się nazywają Spink.

– Antysemita, co? — powiedział Spink. Machnął pulchną dłonią, na której świecił złoty diament, jak złote światło na skrzyżowaniu. — Nie bądź taki. Do licha z uprzedzeniami. Nie znasz mnie. Nie chcesz mnie znać. W porządku, nie obrażam się. W takim interesie jak ten, musi być ktoś, kto się nie obraża.

– Ballou — powiedziałem.

– Chłopie, bądź rozsądny. Sherry Ballou to szalenie zajęty facet. Pracuje dwadzieścia godzin na dobę, a i tak nie może się wyrobić. Siadaj i porozmawiaj z małym Spinky.

– A kim pan tu jest? — spytałem.

– Osłaniam go, chłopie. Muszę go osłaniać. Taki facet jak Sherry nie może się widywać ze wszystkimi. Ja gadam z ludźmi za niego. Jestem jego drugim ja, oczywiście do pewnego stopnia.

– Obawiam się, że moja sprawa sięga powyżej pańskiego stopnia.

– Może — zgodził się uprzejmie Spink. Zerwał grubą taśmę z aluminiowego opakowania cygara, wyjął je i delikatnie zaczął szukać znaków szczególnych. — Czy ja mówię, że nie? Ale może sprawdzimy to dokładniej? Wtedy będziemy wiedzieli na pewno. Bo na razie chcesz nas tylko nabrać, Tak często nam się to zdarza, że nie robi to już na nas wrażenia.

Przyglądałem mu się, gdy obcinał i zapalał swoje luksusowe cygaro.

– A skąd mam wiedzieć, czy go pan nie wykiwasz? — spytałem chytrze. Spink zamrugnął małymi oczkami, w których niemal błysnęły łzy.

– Ja miałbym wykiwać Sherry'ego Ballou? — spytał głosem tak załamany i pełnym rozpacz, jak

po grzeb za sześćset dolarów. — Ja? Prędzej bym wykiwał własną matkę.

— To mi nic nie mówi — powiedziałem. — Nigdy nie widziałem pańskiej matki.

Spink położył cygaro na popielniczce rozmiarów niewielkiej miednicy. Pomachał obydwoma rękami. Smutek przeżerał go na wylot.

— Och, bracie, jak możesz tak mówić — załkał. — Kocham Sherry'ego Ballou jak rodzzonego ojca. Bardziej niż ojca. Mój ojciec... zresztą wszystko jedno. No dalej, chłopie. Bądź człowiekiem.

Okazmy sobie trochę zaufania i życzliwości. Dawaj no to twoje świństwo Spinky'emu, co?

Wyjąłem z kieszeni kopertę i rzuciłem mu ją przez biurko. Wyciągnął fotografię i zaczął się w nią gapić. Położył ją na biurku. Spojrzał na mnie, potem na fotografię, potem znowu na mnie.

— No... — powiedział drewnianym głosem, nagle dokładnie wypranym z owego zaufania i życzliwości, o których wspominał. — I co w tym takiego nadzwyczajnego?

— Muszę mówić, co to za dziewczyna?

— A co to za facet? — warknął Spink.

Nic nie powiedziałem.

— Pytałem, co to za facet! — Spink prawie na mnie wrzasnął. — Wykrztuś to, skurwysynu, no!

Nadal nic nie mówiłem. Spink sięgnął wolno po telefon nic spuszczać ze mnie swoich twardych jasných oczu.

— Zasuważ. Dzwon do nich — powiedziałem. — Zadzwoń do komendy i poproś porucznika Christy'ego Frencha z wydziału zabójstw. To też chłopak, którego trudno przekonać.

Spink zdjął rękę z telefonu. Wstał powoli i wyszedł wraz z fotografią. Czekałem. Za oknem, na Bulwarze Zachodzącego Słońca, szemrał monotonna ruch. Minuty kapały powoli na dno studni.

Dym świeżo zapalonego cygara Spinka igrał przez chwilę w powietrzu, po czym wessał go klimatyzator. Obejrzałem wiszące na ścianach niezliczone fotografie, wszystkie miały dedykacje — z wyrazami wiecznej miłości dla Sheridana Ballou. Przyszło mi do głowy, że skoro wiszą w biurze Spinka, to pewnie drugi garnitur.

18

Po dłuższej chwili Spink wrócił i kiwnął na mnie. Ruszyłem za nim korytarzem, weszliśmy przez podwójne drzwi do pokoju z dwiema sekretarkami. Za nim było jeszcze kilkoro podwójnych drzwi z ciężkiego czarnego szkła, zdobnych w srebrne pawie. Gdy podchodziliśmy do tych drzwi, otwierały się same.

Zeszliśmy po krytych dywanem trzech stopniach do biura, gdzie było absolutnie wszystko, z wyjątkiem basenu. Miało dwa piętra, otoczone balkonikiem pełnym półek z książkami. W kącie stał koncertowy Steinway, w drugim biurko rozmiarów kortu tenisowego, a dookoła pełno było szkła i mebli z bielonego drzewa — foteli, kanapek, stołów. Na jednej z kanapek leżał mężczyzna, bez marynarki, z rozpiętą koszulą i w apasce, którą bez trudu można by znaleźć w ciemnościach, nasłuchując jej kocich pomruków. Na oczach i czole miał biały ręcznik, a gibka blondynka moczyła drugi taki ręcznik w srebrnej miednicy pełnej wody z lodem, która stała na stole obok niego. Facet był wysoki, dobrze zbudowany, miał falujące, ciemne włosy, a pod białym ręcznikiem silną, opaloną twarz. Jedną ręką opadła mu na dywan, a między jej palcami wisiał papieros, z którego unosiła się wąska strużka dymu.

Blondynka zgrabnie zmieniła ręcznik. Mężczyzna na kanapce jęknął. Spink powiedział:

— To właśnie ten chłopak, Sherry, nazywa się Marlowe.

Mężczyzna na kanapce jęknął.

— Czego chce?

— Nie chce gadać — odrzekł Spink.

— To po coś go tu przyprowadził? — powiedział mężczyzna na kanapce. — Jestem zmęczony.

— No, sam wiesz, jak to bywa, Sherry — odpowiedział Spink. — Czasami po prostu musisz.

— Jak tam brzmi to jego przepiękne nazwisko? — spytał mężczyzna na kanapce.

Spink odwrócił się do mnie.

– Teraz już możesz nam powiedzieć, czego chcesz. I to szybko, Marlowe.

Nie odezwałem się.

Po chwili mężczyzna na kanapce podniósł wolno dłoń zakończoną papierosem. Wsadził go sobie leniwie w usta i zaciągnął się z niewysłownym znużeniem zrujnowanego arystokraty, który wraz ze swoim starym zamkiem powoli rozsypuje się w gruzy.

– Mówię do ciebie, chłopie — powiedział opryskliwie Spink. Blondynka znowu zmieniła ręcznik, nie patrząc na nikogo. W pokoju wisiała cisza równie gryząca jak dym z papierosa.

– Zasuważ, skurwysynu. Gadaj.

Wyjąłem jednego ze swoich Cameli, zapaliłem go, sięgnąłem po krzesło i usiadłem. Wyciągnąłem przed siebie rękę i zacząłem ją oglądać. Co parę sekund poruszałem kciukiem, to w dół, to w górę. Głos Spinka rozciął ciszę z furją:

– Ty, Sherry nie ma dla ciebie całego dnia.

– A na co poświęci resztę dnia? — usłyszałem własny głos. — Będzie siedział na białej, aksamitnej kanapie i patrzył, jak mu malują paznokcie u nóg na złoto?

Blondynka odwróciła się nagle i spojrzała na mnie. Spinkowi opadła szczęka. Zamrugał oczami.

Mężczyzna na kanapie podniósł wolno dłoń ku ręcznikowi, który zakrywał mu twarz. Uchylił róg, tak że spojrzało na mnie jedno brązowe oko. Ręcznik powoli opadł na miejsce.

– Tu się nie mówi takim tonem — powiedział Spink twardo.

Wstałem.

– Zapomniałem swojej książeczki do nabożeństwa — powiedziałem. — Nie wiedziałem dotąd, że Pan Bóg pracuje na zlecenie.

Przez minutę nikt się nie odezwał. Blondynka znowu zmieniła ręcznik.

Mężczyzna na kanapie powiedział spokojnie:

– Wypieprzajcie stąd, kochasie, Zostaje tylko ten nowy.

Spink posłał mi jadowite spojrzenie. Blondynka wyszła cicho.

Spink zaproponował:

– A może po prostu wywalę go na zbity pysk?

Zmęczony głos spod ręcznika powiedział:

– Tak długo rozważałem tę ewentualność, że przestała mnie interesować. Spadaj.

– W porządku, szefie — powiedział Spink. Wycofał się niechętnie. Zatrzymał się przy drzwiach, jeszcze raz warknął na mnie bezgłośnie i zniknął.

Mężczyzna na kanapie poczekał, aż drzwi się zamkną, po czym powiedział:

– Ile?

– Przecież pan nie chce nic kupić.

Zdjął ręcznik z głowy, rzucił go na bok i usiadł powoli. Postawił na dywanie swoje pokazowe buciki do golfa i przesunął dłonią po czole. Wyglądał na zmęczonego, ale nie po jakiejś rozpuście.

Wygrzebał skądś kolejnego papierosa, zapalił i gapił się ponuro przez dym w podłogę.

– No — powiedział.

– Nie wiem, po co był ten cały show, jeśli chodzi o mnie, to strata czasu — powiedziałem. —

Ufam jednak na tyle pańskiej inteligencji, by mieć pewność, iż wie pan świetnie, że niczego pan ode mnie nie kupi — raz na zawsze.

Ballou wziął fotografię, którą Spink położył obok niego na długim, niskim stoliku. Wyciągnął przed siebie znużoną dłoń:

– Ważny jest ten kawałek, który pan wyciął, co? — spytał.

Wyciągnąłem z kieszeni kopertę i podałem mu wycięty kawałek; przyglądałem się, jak składa oba fragmenty.

– Przez szkło powiększające może pan przeczytać nagłówek — powiedziałem.

– Leży na biurku. Proszę mi je podać.

Podszedłem do biurka i wziąłem lupę.

– Przywykł pan do starannej obsługi, panie Ballou, co?

– Płacę za to. — Przystudiował fotografię przez lupę i westchnął. — Zdaje się, że widziałem tę walkę. Powinni lepiej dbać o tych chłopaków.

– Jak pan o swoich klientów? — zapytałem.

Odłożył lupe, odchylił się i wpatrywał się we mnie swoimi zimnymi, nieprzeniknionymi oczami.

– To właściciel „Tancerzy”. Nazywa się Steelgrave. Dziewczyna jest oczywiście moją klientką. — Zrobił nieokreślony gest w stronę krzesła. Siadłem. — Czego pan żąda, panie Marłowe?

– Za co?

– Za wszystkie odbitki i negatyw. Całość.

– Dziesięć tysięcy. — Przyglądałem się jego ustom. Uśmiechnęły się, raczej sympatycznie.

– To wymaga chyba pewnych wyjaśnień, prawda? Widzę po prostu dwoje ludzi jedzących obiad w publicznym miejscu. Nie jest to szczególnie katastrofalne dla reputacji mojej klientki. A przypuszczam, że miał pan na myśli właśnie coś takiego.

Uśmiechnąłem się.

– Nic pan nie kupi, panie Ballou. Z negatywu mógłbym zrobić pozytyw, a z pozytywu jeszcze jeden negatyw. Jeżeli to ujęcie stanowi jakikolwiek dowód, nigdy nie będzie pan miał pewności, że się go pan pozbył.

– Nie brzmi to dobrze, jak na reklamę szantażysty — powiedział, nie przestając się uśmiechać.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ludzie płacą szantażystom. I tak niczego nie mogą kupić. A jednak płacą. I znowu, i jeszcze. A na koniec lądują w punkcie wyjścia.

– Strach przed dniem dzisiejszym — powiedział — jest zawsze silniejszy niż strach przed jutrem.

To podstawa silnych wzruszeń — fakt, że część jest zawsze większa od całości. Gdy widzi pan na ekranie gwiazdę filmową w sytuacji zagrożenia, boi się pan o jej los tylko częścią umysłu, tą odpowiedzialną za uczucia. Pana rozum wie jednak doskonale, że jest ona tylko gwiazdą w filmie i tak naprawdę nic jej nie grozi. Gdyby napięcie i niebezpieczeństwo nie tryumfowały nad rozumem, nie byłoby dramatu.

– Przypuszczam, że to bardzo słuszne — powiedziałem i dmuchnąłem dookoła dymem z camela. Jego oczy zwęziły się nieco.

– Jeżeli zaś chodzi o to, czy coś kupię czy nie, to gdybym zapłacił panu poważną sumę i nie dostał za nią tego, co trzeba, zająłbym się panem w inny sposób. Zostałby pan zbity na miazgę. A gdyby pan wyszedł potem ze szpitala i nadal miał agresywne odruchy, mógłby pan spróbować mnie aresztować.

– Zdarzały mi się takie rzeczy — powiedziałem. — Jestem prywatnym detektywem. Wiem, co pan ma na myśli. W takim razie dlaczego pan w ogóle ze mną rozmawia?

Zaśmiał się. Miał głęboki, miły, swobodny śmiech.

– Jestem agentem, synu. Zawsze uważam, że ktoś, kto chce mi coś sprzedać, ma jeszcze coś w rezerwie. Ale nie będziemy rozmawiać o dziesięciu tysiącach. Ona ich nie ma. Póki co zarabia tylko tysiąc tygodniowo. Ale przyznaję, że jest bliska znacznie większych pieniędzy.

– A to by zepsuło wszystko — powiedziałem wskazując fotografię. — Żadnych pieniędzy, żadnych podświetlanych basenów, platynowych nerek, neonów z nazwiskiem, koniec. Wszystko obróciłoby się w pył.

Zaśmiał się pogardliwie.

– Czy wobec tego zgadza się pan, żebym zaniósł to na policję? — spytałem.

Przestał się śmiać. Przymrużył oczy. Bardzo spokojnie spytał:

– A co by im z tego przyszło?

Wstałem.

– Nie sądzę, byśmy mogli dobić targu, panie Ballou. Pan jest zajęty. Lepiej sobie pójdę.

Wstał z kanapy i rozprostował swoje sześć stóp i dwa cale. Był to kawał chłopca. Stanął przy mnie. Jego oczy koloru laku miały cienkie złotawe prążki.

– Pokaż no, coś ty za jeden, synu.

Wyciągnął rękę. Położyłem na niej portfel. Przeczytał fotokopię mojej licencji, wyjął jeszcze parę rzeczy i przejrzał. Podał mi portfel.

– Co by się stało, gdyby pokazał pan swój obrazek glinom?

– Przed wszystkim musiałbym powiązać go ze sprawą, nad którą teraz siedzą, z tym, co się stało

w hotelu Van Nuysa wczoraj po południu. A ogniwem łączącym jest dziewczyna, która nie chce ze mną gadać. Dlatego właśnie rozmawiam z panem.

– Mówiła mi o tym wczoraj wieczorem — westchnął.

– Ile panu powiedziała? — spytałem.

– Że prywatny detektyw nazwiskiem Marlowe próbował ją zmusić, żeby go wynajęła, ponieważ widziano ją w pewnym hotelu w mieście, niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie popełniono morderstwo.

– Jak blisko? — spytałem.

– Nie powiedziała.

– Już lecę wierzyć.

Podszedł do wysokiego, cylindrycznego dzbana w kącie. Wyjął z niego jedną z kilku krótkich, cienkich lasek z malakki, zaczął chodzić tam i z powrotem po dywanie, zrećźnie wymachując laską koło swego prawego buta.

Siadłem, zdusiłem papierosa i zaczerpnąłem powietrza.

– Coś takiego może się zdarzyć tylko w Hollywood — mruknąłem.

Obrócił się szybko, zgrabnie i spojrzał na mnie.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Że z pozoru zdrowy na umyśle mężczyzna spaceruje sobie po swoim mieszkaniu jak po Piccadilly z laską w ręku.

Kiwnął głową.

– Zaraziłem się tym od pewnego producenta z MG. Uroczy facet. To znaczy tak mi powiedziano.

— Zatrzymał się i wyciągnął laskę w moim kierunku.

– Cholernie mnie pan bawi, Marlowe. Naprawdę. Jest pan taki przejrzysty. Próbuje pan moim kosztem wygrzebać się ze swoich kłopotów.

– Jest w tym trochę prawdy. Ale moje kłopoty to nic w porównaniu z kłopotami, w jakie wpadłaby pańska klientka, gdybym nie zrobił tego wszystkiego, co mnie wpędziło w kłopoty.

Przez chwilę stał nieruchomo. Potem odrzucił laskę, podszedł do barku i otworzył obie połówki drzwiczek. Nalał czegoś do dwóch pękatych kieliszków. Jeden z nich podał mnie. Potem wrócił do barku i sięgnął po swój. Siadł z nim na kanapie.

– Armagnac — powiedział. — Gdyby pan mnie znał, wiedziałby pan, co to za komplement. To bardzo rzadka rzecz. Szkopy sprzątnęli większość. Nasi oficerowie resztę. Pana zdrowie.

Podniósł kieliszek, powąchał, po czym pociągnął maleńki łyček. Ja połknąłem swoją porcję jednym haustem. Smakowało jak dobry francuski koniak.

Ballou był oburzony.

– Boże, to się smakuje małymi łyčkami, a nie pije duszkiem.

– Ja piję duszkiem — powiedziałem. — Przepraszam. Powiedziała panu też, że jeżeli ktoś nie zamknie mi ust będzie miała poważne kłopoty.

Kiwnął głową.

– Czy sugerowała panu, w jaki sposób zamknąć mi usta?

– Odniosłem wrażenie, że najchętniej opowiedziałyby się za jakimś tępych narzędziem.

Próbowałem więc mieszaniny groźby i przekupstwa. Mamy na tej samej ulicy oddział, który specjalizuje się w ochronie ludzi z filmu. Najwyraźniej nie przestraszyli pana, a suma była niedostateczna.

– Przerazili mnie jak wszyscy diabli — powiedziałem. — o mało nie wywaliłem do nich z Lugera. Ten świrus z czterdziestką piątką zasunął niebywały numer. A jeśli chodzi o tę sumę, że za mała, to wszystko zależy od formy, w jakiej mi ją ofiarujecie.

Sącząc armagnaca wskazał leżącą przed nim fotografię z dopasowanymi połówkami.

– Doszliśmy do miejsca, w którym idzie pan z tym na policję. Co dalej?

– Nie byliśmy jeszcze aż tak daleko. Doszliśmy do pytania, dlaczego omówiła tę kwestię z panem, a nie ze swoim chłopcem. Właśnie przyszedł, kiedy ja wychodziłem. Ma własny klucz.

– Po prostu tego nie zrobiła. — Zmarszczył się i zapatrzył w swojego armagnaca.

– Niech i tak będzie — powiedziałem. — Wolałbym jednak, żeby ten facet nie miał do niej klucza.

Popatrzył na mnie smutno.

– Ja też. Wszyscy byśmy woleli. Ale przemysł rozrywkowy zawsze tak wyglądał, wszystkie jego odmiany. Gdyby ci ludzie nie żyli intensywnie i niespokojnie, gdyby nie podlegali tak gwałtownym emocjom, to po prostu nie byłoby w stanie łąpać ich w locie i utrwać na kilku metrach celulozid, albo przebić się z nimi przez rampę.

– Nie mówię o jej życiu uczuciowym — powiedziałem. — Ale nie musi przecież mieszkać z bandytą.

– Na to nie ma dowodów, panie Marlowe.

Wskazałem fotografię.

– Człowiek, który to zrobił, zniknął i nie sposób go znaleźć. Prawdopodobnie nie żyje. Dwaj inni, którzy mieszkali pod tym samym adresem, także nie żyją. Jeden z nich zginął, właśnie gdy próbował przehandlować te zdjęcia. Poszła do jego hotelu osobiście, żeby je odebrać. To samo zrobił ten ktoś, kto go zabił. Nie dostała ich i zabójca też nie. Nie wiedzieli, gdzie szukać.

– A pan wiedział?

– Miałem szczęście. Widziałem go bez peruki. To wszystko oczywiście nie są dowody, także w moich oczach. Można je łatwo podważyć. Więc dlaczego tak się tym przejmuje? Zabito dwóch ludzi, może trzech. Rzykowała strasznie. Dlaczego? Chciała dostać to zdjęcie. Było warte ogromnego ryzyka. Znowu — dlaczego? Przecież to tylko dwoje ludzi jedzących obiad pewnego dnia. Tego dnia Moe Stein został zastrzelony na Franklin Avenue. Tego samego dnia facet nazwiskiem Steelgrave poszedł jakoby do pudła, ponieważ gliny dostały przeciek, że jest on pewnym clevelandzkim rzeźmieszkim o pseudonimie Płaksa Moyer. Można to znaleźć w aktach. Ale zdjęcie dowodzi, że nie siedział w tym więzieniu. Fakt, że dzieje się to właśnie tego konkretnego dnia, stanowi zarazem dowód, kim on jest. I ona o tym wie. A on mimo to ma klucz do jej mieszkania.

Przerwałem na chwilę i przyglądaliśmy się sobie bardzo uważnie. Powiedziałem:

– Nie chce pan przecież, żeby gliny dostały to zdjęcie? Tak czy owak, bez względu na skutki, zrobią z niej marmoladę. I kiedy już będzie po wszystkim, najmniejszego znaczenia nie będzie miało, czy Steelgrave to Moyer, czy Moyer zabił Steina, czy też kazał to zrobić, czy po prostu był przypadkiem na przepustce w dniu, kiedy to się stało. Jeżeli ujdzie mu to na sucho, znajdzie się dostatecznie wielu ludzi pewnych, że wszystko było z góry ukartowane. A jej nic nie ujdzie na sucho. W oczach ludzi pozostanie dziewczyną gangstera. I wówczas w pana branży będzie całkowicie i nieodwołalnie skończona.

Ballou milczał przez chwilę, gapiąc się we mnie bez wyrazu.

– A gdzie pan będzie przez cały czas? — spytał cicho.

– Zależy to w znacznej mierze od pana, panie Ballou.

– Czego pan naprawdę chce? — Jego głos był teraz cichy i gorzki.

– Tego samego, czego chciałem od niej i nie dostałem. Czegoś, co da mi przynajmniej pozorne prawo działania w jej interesie do momentu, kiedy sam uznam, że nie mogę się posunąć dalej.

– Włącznie z ukrywaniem dowodów przestępstwa? — spytał krótko.

– O ile naprawdę czegokolwiek dowodzą. Policja nie mogłaby tego rozwikłać nie nadwyrażając przy tym reputacji panny Weld. Mnie to się może udać. Im by się nawet nie chciało próbować, jest im wszystko jedno. Mnie nie.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że właśnie w ten sposób zarabiam na życie. Mógłbym też mieć inne motywy, ale ten wystarczy.

– Ile pan kosztuje?

– Tyle, ile mi pan posłał wczoraj. Wtedy nie chciałem, Teraz wezmę. Razem z podpisanym przez pana listem, w którym angażuje mnie pan w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie próby szantażu wobec jednego z pańskich klientów.

Wstałem, podszedłem do biurka i postawiłem na nim pusty kieliszek. Gdy się pochylałem, usłyszałem słaby, cichutki warkot. Wszedłem za biurko i gwałtownie otworzyłem szufladę. Na wysuwanej półeczce stał mały magnetofon. Silnik działał i taśma przesuwała się z jednej szpuli na

drugą. Popatrzyłem na Ballou.

– Niech pan go wyłączy i weźmie sobie taśmę — powiedział. — Nie może pan mieć do mnie pretensji, że tego użyłem.

Włączyłem przewijanie do tyłu, taśma śmigła tak szybko, że prawie nic nie było widać. Wydawała przy tym wysoki, przenikliwy dźwięk, jakby para ciot walczyła o jakąś jedwabną szmatkę.

Wreszcie taśma odwinęła się i magnetoфон stanął. Wziąłem szpulę i wsadziłem ją do kieszeni.

– Może ma pan jeszcze jedną — powiedziałem. — Muszę się z tym liczyć.

– Jest pan cholernie pewny siebie, co, Marlowe?

– Wolałbym, żeby tak było.

– Proszę nacisnąć ten guzik na brzegu biurka.

Nacisnąłem. Otworzyły się drzwi z czarnego szkła i weszła ciemnowłosa dziewczyna z przyborami do pisania. Nie patrząc na nią Ballou zaczął dyktować:

– List do pana Philipa Marlowe'a z jego adresem. Szanowny Panie Marlowe, moja agencja zatrudnia pana niniejszym w celu zbadania okoliczności próby szantażu wobec jednego z naszych klientów; szczegóły zostały panu przekazane ustnie. Pańskie honorarium wyniesie sto dolarów dziennie, zaliczka pięćset dolarów. Odbiór zaliczki proszę potwierdzić na kopii niniejszego listu. Ple, ple, ple. To wszystko, Eileen. Proszę zaraz.

Dałem dziewczynie swój adres, wyszła.

Wyjąłem z kieszeni szpulę i włożyłem ją z powrotem do szuflady. Ballou założył nogę na nogę i przez chwilę patrzył, jak lśniący czubek jego buta tańczy to w górę, to w dół. Przesunął ręką po kędzierzawych, ciemnych włosach.

– Któregoś dnia — powiedział — zrobię ten błąd, którego każdy biznesmen boi się najbardziej. Będę załatwiał jakiś interes z facetem i okażę się taki cwany, że mu nie zaufam. Proszę, niech pan to lepiej weźmie, — Podał mi dwa kawałki fotografii.

Pięć minut później wyszedłem. Szklane drzwi otwierały się przede mną, gdy byłem trzy kroki od nich. Przeszedłem obok dwóch sekretarek, a potem ruszyłem korytarzem, mijając otwarte drzwi biura Spinka. Nie było stamtąd nic słyhać, ale czułem zapach jego cygara. W poczekalni dokładnie ci sami ludzie siedzieli w krytych perkalem fotelach. Panna Helen Grady posłała mi uśmiech ze specjalnej rezerwy na sobotę wieczór. Panna Vane rozpromieniła się na mój widok.

Rozmawiałem z szefem czterdzieści minut. Czyniło to ze mnie cudo, jakiego świat nie widział.

19

Strażnik studia w półkolistej, oszklonej budce odłożył słuchawkę i naskrobał coś w notatniku.

Wydarł kartkę, po czym przesunął ją przez wąską szczelinę, nie szerszą niż trzy czwarte cala, gdzie szkło nie stykało się z powierzchnią blatu. Jego głos dobywający się z mikrofonu umieszczonego w szybie brzmiał metalicznie.

– Prosto do końca korytarza — powiedział. — Znajdzie pan źródelko na samym środku patio. Tam odbierze pana George Wilson.

– Dziękuję — powiedziałem. — Czy to szkło jest kuloodporne?

– Pewnie. A bo co?

– Tak się właśnie zastanawiałem — powiedziałem. — Nie słyszałem nigdy, żeby ktoś próbował się dostać do filmu za pomocą broni palnej.

Ktoś za mną zachichotał. Obejrzałem się i zobaczyłem dziewczynę, z czerwonym goździkiem za uchem. Uśmiechała się ironicznie.

– Uh, bracie, gdyby wystarczyło mieć rewolwer...

Podszedłem do oliwkowych drzwi, w których nie było klamki. Zabrzęczały i pozwoliły mi się otworzyć. Za nimi był oliwkowy korytarz z nagimi ścianami i drzwiami u końca. Pułapka na szczury. Jeżeli w to wejdziesz i okaże się, że jednak coś jest nie w porządku, wtedy zawsze jeszcze mogą cię zatrzymać.

Drzwi na drugim końcu tak samo zabrzęczały i trzasnęły. Zastanawiałem się, jakim cudem strażnik

mógł wiedzieć, że już do nich podszedłem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że gapi się na mnie w pochylonym lustrze. Gdy dotknąłem drzwi, odbicie znikło. Pomyśleli o wszystkim.

Na zewnątrz, w gorącym południowym słońcu, szalały kwiaty na małym patio o wykładanych kafelkami alejkach, z basenem pośrodku i marmurową ławką. Źródło było przy owej ławce. Starszy, pięknie ubrany mężczyzna rozłożył się na marmurze i przyglądał się trzem brązowym bokserom, które ryły pod begoniami w kolorze herbacianych róż. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej, lecz spokojnej satysfakcji. Nie spojrzał na mnie, gdy podszedłem. Jeden z bokserów, największy, zbliżył się do niego i zrobił siusiu na marmur, tuż koło jego spodni. Mężczyzna pochylał się i poklepał psa po twardej, krótkowłosej głowie.

– Czy pan jest Wilson? — spytałem.

Spojrzał na mnie z roztargnieniem. Średni bokser przydreptał i obwąchawszy siedzenie zrobił siusiu w tym samym miejscu.

– Wilson? — Miał leniwy głos, mówił cedząc słowa. — Ach, nie. Nie nazywam się Wilson. A powinienem?

– Przepraszam. — Podszedłem do źródła i prysnąłem sobie na twarz zimną wodą. Gdy wycierałem ją chusteczką najmniejszy bokser dopełnił swego obowiązku na marmurowym siedzeniu.

Człowiek, który nie nazywał się Wilson powiedział czule:

– Zawsze robią to w tej samej kolejności. Fascynujące.

– Co robią? — spytałem.

– Siusiu — powiedział. — Przypuszczam, że to sprawa starszeństwa. Bardzo o to dbają. Najpierw Maisie. To matka. Potem Mac. O rok starszy niż Jock, ten malec. Zawsze w tej samej kolejności. Nawet w moim biurze.

– W pańskim biurze? — spytałem i pewnie nikt nigdy nie miał bardziej głupiej miny niż ja, kiedy zadawałem to pytanie.

Uniósł białe brwi, wyjął z ust zwykłe brązowe cygaro, odgryzł koniec i wypluł go do basenu.

– Rybom nie wyjdzie to pewnie na zdrowie — zauważyłem.

Popatrzył na mnie spođe łba.

– Ja hoduję boksery. Ryby mam gdzieś.

Pomyślałem sobie, że to po prostu Hollywood. Zapaliłem papierosa i siadłem na ławce.

– W pańskim biurze — powtórzyłem. — No cóż, każdy dzień przynosi nowe rewelacje.

– Na róg biurka. Zawsze to robią. Moje sekretarki dostają szału. Mówią, że to wsiąka w dywan. Co się dziś porobiło z tymi kobietami? Ja tam się tym nigdy nie przejmuję. Nawet mi się to podoba. Jak człowiek polubi psy, to lubi patrzeć nawet jak susiają.

Jeden z psów przyniósł rozkwitłą begonię prosto do jego nóg, na kafelkową alejkę. Mężczyzna podniósł kwiat i wrzucił do basenu.

– To pewnie strasznie irytuje ogrodników — zauważył, Miniując znowu. — Jak im się nie podoba, to mogą sobie... — urwał i przyjrzał się szczupłej gońcównie w żółtych spodniach, która celowo zboczyła z drogi, żeby przejść przez patio. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i odeszła, wygrywając biodrami serenady.

– Wie pan, co jest nie w porządku z tym biznesem? — spytał mnie.

– Tego nikt nie wie — powiedziałem.

– Za dużo seksu — powiedział. — Nie mam nic przeciwko temu, we właściwym miejscu i o właściwej porze. Ale teraz dowożą nam to całymi ciężarówkami. Taplamy się w tym. Brniemy po szyję. Jak lep się to klei. — Wstał. — Zresztą much też mamy za dużo. Miło mi było pana poznać, panie...

– Marlowe — powiedziałem. — Obawiam się, że mnie pan nie zna.

– Ja już nikogo nie znam — odrzekł. — Pamięć mnie zawodzi. Za dużo ludzi widuję. Nazywam się Oppenheimer.

– Jules Oppenheimer?

Kiwnął głową.

– Tak. Może cygaro? — Podał mi je, ale pokazałem mu papierosa. Wrzucił zatem cygaro do

basenu, a potem zmarszczył się. — Pamięć mnie zawodzi — rzekł ze smutkiem. — zmarnowałem pięćdziesiąt centów. Niedobrze.

– To pan prowadzi to studio — powiedziałem.

Kiwnął głową z roztargnieniem.

– Trzeba było zostawić to cygaro. Oszczędzisz pięćdziesiąt centów i co z tego masz?

– Pięćdziesiąt centów — odpowiedziałem, zastanawiając się, o czym on, do cholery, gada.

– Nie w tym biznesie. Jak w tym biznesie oszczędzisz pięćdziesiąt centów, to będziesz z tego miał tylko księgowości za pięć dolarów. — Zamilkł i zrobił gest w stronę trzech bokserów. Przeszali ryc i zaczęły go obserwować. — Ja rządę tylko finansową stroną tego wszystkiego. To łatwe.

Chodźcie, dzieci, wracamy do burdelu. — Westchnął. — Tysiąc pięćset sal kinowych — dorzucił.

Zdaje się, że znowu miałem ten sam idiotyczny wyraz twarzy. Machnął dłonią wokół patio.

– Wystarczy tylko tysiąc pięćset kin. To bez porównania łatwiejsze niż hodowla czystej rasy bokserów. Film to jedyny biznes na świecie, gdzie można popełnić wszystkie błędy, jakie przyjdą człowiekowi do głowy, i mimo to tłuc pieniądze.

– To pewnie także jedyny biznes na świecie, gdzie można mieć trzy psy, które siusiąją na biurko — powiedziałem.

– Trzeba mieć tysiąc pięćset kin.

– Z tego wynika, że początek nie jest łatwy — powiedziałem.

Wydawał się zadowolony.

– Tak, to, owszem jest pewna trudność. — Spojrzał przez zielony strzyżony trawnik na czteropiętrowy budynek, zamykający patio z jednej strony. — Wszystkie biura są tam — powiedział. — Nigdy tam nie chodzę. Bez przerwy zmieniają wystrój. Rzygać mi się chce, jak patrzę na to wszystko, co niektórzy ludzie ładują sobie do pokoi. To najdroższy talent świata. A ty dawaj im wszystko, czego sobie życzą, każde pieniądze. I po co? Niby dlaczego właściwie? Po prostu przyzwyczajenie. To, co robią i jak to robią, nie ma najmniejszego znaczenia. Żeby tylko mieć te tysiąc pięćset kin.

– Pewnie by pan wołał, żeby tego nie cytować, co, panie Oppenheimer?

– A pan jesteś z prasy?

– Nie.

– Szkoda. Czasami mam ochotę, żeby tak dla czystej rozróby ktoś spróbował wcisnąć ten najprostszy fakt do gazet — Zamilkł i parsknął — Nikt by tego nie wydrukował. Baliby się.-- Chodźcie, dzieci.

Duża, Maisie, podeszła i stanęła przy nim. Średni zatrzymał się, żeby zmasakrować jeszcze jedną begonię, po czym przydreptał za Maisie. Mały, Jock, ustawił się porządnie w kolejce, potem zaś, pod wpływem nagłego natchnienia, podniósł tylną nogę nad mankietem spodni Oppenheimera. Maisie odepchnęła go lekceważąco.

– Widział pan? — promieniał Oppenheimer. — Jock próbował ominąć kolejkę. Maisie nigdy na to nie pozwoli, — Pochylił się i poklepał Maisie po głowie. Spojrzała na niego z uwielbieniem.

– Oczy psa — zadumał się Oppenheimer. — Jedyna rzecz na świecie, jakiej nie sposób zapomnieć. Ruszył kafelkową alejką w stronę biurowca, a trzy bokserzy dreptały posłusznie koło niego,

– Panie Marlowe?

Obejrzałem się i zobaczyłem wysokiego, płowowłosego mężczyznę z nosem potrójnej wielkości. Zaszedł mnie od tyłu.

– Jestem George Wilson. Miło mi pana poznać. Widzę, że pan zna pana Oppenheimera.

– Rozmawialiśmy tylko. Powiedział mi, jak trzeba prowadzić interesy w filmie. Podobno wystarczy mieć tysiąc pięćset kin.

– Pracuję tu pięć lat, a nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Po prostu siusiąją na pana niewłaściwe psy.

– Może ma pan rację. Co mogę dla pana zrobić, panie Marlowe?

– Chcę się zobaczyć z Mavis Weld.

– Jest teraz na planie. Gra właśnie w naszym nowym filmie.

– Czy mógłbym się na chwilę zobaczyć z nią na planie?

Popatrzył z powątpiewaniem.

– Jaka przepustkę panu dali?

– Chyba po prosta przepustkę — podałem mu ją. Obejrzał.

– Przysłał pana Ballou. To jej agent. Myślę, że możemy pójść na stanowisko 12. Chce pan iść tam teraz?

– Jeżeli ma pan czas.

– Jestem tutaj od reklamy. Za to mi płacą.

Poszliśmy kafelkową alejką do sąsiadujących rogów dwóch budynków. Między nimi sunęła betonowa uliczka, w stronę zaplecza i planów.

– Pracuje pan w biurze Ballou? — spytał Wilson.

– Przysłali mnie stamtąd.

– Podobno prowadzi świetny biznes. Sam kiedyś chciałem popробować tego interesu. Bo w tym tutaj to istna rozpacz.

Przeszliśmy obok dwóch mundurowych policjantów, po czym skręciliśmy w wąską alejkę między dwoma planami. Na środku alejki wisiało czerwone światło sygnalizacyjne, a na drzwiach z numerem 12 też było zapalone czerwone światło; nad nim równomiernie dzwonił dzwonek. Wilson zatrzymał się przy drzwiach. Jeszcze jeden glina kiwnął na niego i przyjrzał mi się z tym martwym wyrazem uczu, który osiada na nich jak kamień w czajniku.

Zamilkł dzwonek i zgasło czerwone światło. Wilson popchnął ciężkie drzwi, a ja wszedłem za nim. W środku były jeszcze jedne drzwi. Dalej coś, co po świetle słonecznego dnia wydało mi się całkowita ciemność. Dopiero po chwili dostrzegłem lampy skupione w jednym rogu. Reszta ogromnego studia wydawała się pusta.

Poszliśmy w stronę światła. Gdy się zbliżyliśmy, zauważyłem, że podłoga pokryta jest grubymi, czarnymi kablami. Wokół stały rzędy składanych krzeseł i rządów przenośnych, składanych garderób z nazwiskami na drzwiach. Byliśmy po niewłaściwej stronie planu, więc widziałem tylko drewniane kulisy i po obu stronach wielki ekran. Para kamer do tylnej projekcji szemrała z boku, Jakiś głos krzyknął:

– Puszczaj! — Zadzwoił głośno dzwonek. Ekran pokryły się nagle spienionymi falami.

Następny, spokojniejszy, głos powiedział:

– Uważajcie na swoje pozycje, może wreszcie skończymy to ujęcie. W porządku, kamera.

Wilson zatrzymał się w miejscu i dotknął mojego ramienia. Głosy aktorów dotarły do mnie znikąd, były przytłumione i niewyraźne, nic nie znaczący pomruk.

Jeden z ekranów zgasł nagle. Łagodny głos powiedział nie zmieniając tonu:

– Stop.

Dzwonek rozdzwoił się znowu i dało się zauważyć ogólne poruszenie. Podeszliśmy bliżej. Wilson szepnął mi do ucha:

– Jeżeli Ned Gammon nie skończy tego ujęcia przed lunchem, da Torrance'owi po nosie.

– O, Torrance w tym gra? — Dick Torrance był w tym okresie panującą gwiazdą drugiej kategorii, dość pospolitym typem hollywoodzkiego aktora, którego nikt tak naprawdę nie chce, ale wielu musi ostatecznie brać z braku czegoś lepszego.

– Może przelecimy tę scenę raz jeszcze, jak myślisz, Dick? — spytał spokojny głos, gdy już obeszlśmy dekorację dookoła i zobaczyliśmy, co to jest: pokład luksusowego jachtu od strony rufy. W scenie grały dwie dziewczyny i trzech mężczyzn. Jeden z nich, w średnim wieku, miał na sobie sportowe ubranie i leżał wyciągnięty na leżaku. Drugi, rudy, był ubrany na białe i wyglądał na kapitana statku. Trzeci był żeglarzem amatorem, miał zgrabną czapkę, niebieską marynarkę ze złotymi guzikami, białe buty i spodnie oraz pełen wyższości urok osobisty. To właśnie był Torrance. Jedną z dziewczyn była ciemnowłosa piękność, która bywała już w życiu młodsza, Susan Crawley. Druga nazywała się Mavis Weld. Miała na sobie mokry, biały, błyszczący kostium kąpielowy i najwyraźniej właśnie weszła na pokład. Charakteryzator spryskiwał ją wodą: twarz, ramiona i kosmyki jasnych włosów.

Torrance nie odpowiedział. Odwrócił się nagle i spojrział w kamerę.

– Myślisz, że nie znam swojego tekstu?

Siwy mężczyzna w szarym ubraniu wyszedł z cienia i stanął w pełnym świetle. Oczy miał czarne i płomienne, ale głos chłodny. — Chyba że zmieniłeś go celowo — powiedział nie spuszczać oka z Torrance'a.

– A może po prostu nie przywykłem grać przed taką tylną projekcją, która zawsze wysiada w samym środku ujęcia.

– Bardzo rzeczowa uwaga — powiedział Ned Gammon. — Niestety film ma tylko dwieście dwanaście stóp i to moja wina. Gdybyście mogli rozegrać tę scenę nieco szybciej...

– Szybciej! — warknął Torrance. — Może ja, co? A może dałoby się namówić pannę Weld, żeby weszła na pokład w nieco krótszym czasie, niż było trzeba, żeby zbudować cały ten cholerny jacht? Mavis Weld rzuciła mu szybkie spojrzenie pełne pogardy.

– Panna Weld robi to dokładnie tak szybko, jak trzeba — powiedział Gammon. — Jej interpretacja też jest najzupełniej w porządku.

Susan Crawley wzruszyła ramionami elegancko.

– Miałam wrażenie, że mogłaby to zrobić odrobinę szybciej, Ned. Jest niezłe, ale mogłoby być lepiej.

– Gdyby było choć trochę lepiej, kochanie — powiedziała gładko Mavis Weld — ktoś mógłby to nazwać aktorstwem. A nie chciałabyś chyba, żeby coś takiego przytrafiło się akurat w twoim filmie, prawda?

Torrance roześmiał się. Susan Crawley odwróciła się i wbiła w niego wzrok.

– Co w tym takiego śmiesznego, Panie Trzynastka?

Twarz Torrance'a zmieniła się w lodowatą maskę.

– Jak powiedziałaś? — syknął prawie.

– Wielkie nieba, to znaczy, że ty nie wiesz? — zawołała Susan Crawley ze zdumieniem w głosie. — Nazywają cię Trzynastka, bo ile razy dostajesz jakąś rolę, oznacza to, że dwunastu odmówiło.

– Rozumiem — powiedział zimno Torrance i znowu wybuchnął śmiechem. Odwrócił się do Neda Gammona. — W porządku, Ned. Skoro już wszyscy usunęliśmy toksyny z organizmu, może zrobimy ci to teraz tak, jak chcesz.

Ned Gammon kiwnął głową.

– Nic tak nie oczyszcza atmosfery, jak trochę kabotyńskich dowcipów. W porządku, jedziemy. Poszliśmy obydwaj za kamerę. Asystent wrzasnął: „Puszczaj!” i scena przeszła bez oporów.

– Stop — powiedział Gammon. — Bierzymy tego dubla. Przerwa na lunch dla wszystkich.

Aktorzy zbiegli po drewnianych schodach, kłaniając się Wilsonowi. Mavis Weld zeszła ostatnia, zatrzymawszy się na chwilę, żeby włożyć szlafrok i plażowe sandały. Gdy mnie zobaczyła, stanęła jak wryta. Wilson zrobił krok naprzód.

– Cześć, George — powiedziała, gapiąc się na mnie. — Chcesz czegoś ode mnie?

– Pan Marlowe chciałby z tobą chwilę porozmawiać. Okay?

– Pan Marlowe?

Wilson spojrzał na mnie szybko.

– Z biura Ballou, Sądziłem, że go znasz.

– Może kiedyś go widziałam. — Wciąż wpatrywała się we mnie. — O co chodzi?

Milczałem.

Po chwili powiedziała:

– Dziękuję, George. Chodźmy lepiej do mojej garderoby, panie Marlowe.

Odwróciła się i obesła dekorację dookoła. Pod ścianą stała biało-zielona garderoba. Na drzwiach było jej nazwisko. Odwróciła się do mnie i rozejrzała ostrożnie. Później wbiła swoje piękne niebieskie oczy w moją twarz.

– A więc, panie Marlowe?

– Przypomina mnie pani sobie, prawda?

– Tak sędzę...

– Zaczynamy od miejsca, w którym przerwaliśmy, czy zupełnie od nowa, z czystym kontem?

- Ktoś tu pana wpuścił. Kto? Dlaczego? To wymaga wyjaśnień.
- Pracuję dla pani. Wypłacono mi zaliczkę, a Ballou ma pokwitowanie.
- Jak to miło z pańskiej strony. A jeżeli ja nie życzę sobie, żeby pan dla mnie pracował? Bez względu na to, na czym miałyby polegać owa praca?
- W porządku, niech pani sobie kaprysi — powiedziałem. Wyjąłem z kieszeni zdjęcie z „Tancerzy” i wyciągnąłem je ku niej. Patrzyła na mnie przez chwilę nieruchomo, po czym spuściła oczy. Dopiero wówczas spojrzała na fotografię przedstawiającą ją i Steelgrave'a w gabinecie. Patrzyła poważnie, bez ruchu. Później bardzo wolno podniosła dłoń i dotknęła wilgotnych kosmyków przy twarzy. Zadrżała, choć nieznacznie. Wyciągnęła dłoń i wzięła fotografię. Gapiła się na nią. Znowu podniosła oczy, wolno, bardzo wolno.
- I cóż? — spytała.
- Mam negatyw i jeszcze parę odbitek. Pani by je miała, gdyby pani miała więcej czasu i wiedziała, gdzie szukać. Albo gdyby on żył i sprzedał je pani.
- Trochę mi zimno — powiedziała. — A poza tym muszę coś zjeść. — Oddała mi fotografię.
- Jest pani trochę zimno i musi pani coś zjeść — powiedziałem. Wydawało mi się, że nagle napęczniała jej żyła na szyi. Ale światło było zbyt słabe. Uśmiechnęła się blado - - znudzona arystokratka.
- Znaczenie tego wszystkiego nie jest dla mnie zupełnie jasne — powiedziała.
- Zbyt wiele czasu spędza pani na jachtach. Chodzi o to, że przecież znam panią i znam Steelgrave'a. Cóż zatem takiego nadzwyczajnego jest w tym zdjęciu, że wystarczy je komuś pokazać, by natychmiast fundował mi diamentową obrozę?
- W porządku — rzekła. — Więc co?
- Nie wiem — powiedziałem. — Ale jeżeli odkrycie tej tajemnicy zedrze z pani wreszcie te cholerne hrabiowskie maniery, to zrobię, co się da. Tymczasem jednak jest pani nadal zimno i nadal chce pani coś zjeść.
- A pan czekał zbyt długo — powiedziała spokojnie. — Nie ma pan już nic do sprzedania. Najwyżej własne życie.
- To sprzedam tanio. Z miłości do pary ciemnych okularów, niebieskiego kapelusza i pęknięcia czaszki od uderzenia pantoflem na wysokim obcasie. Jej usta drgnęły, jakby się chciała roześmiać. Ale w oczach nie miała uśmiechu.
- Jeżeli nie liczyć trzech policzków — powiedziała. — Do widzenia, panie Marlowe. Przyszedł pan za późno. Stanowczo o wiele za późno.
- Dla mnie czy dla pani? — Sięgnęła ręką do tyłu i otworzyła drzwi garderoby.
- Myślę, że dla nas obojga — weszła tam szybko i zostawiła drzwi otwarte. — Niech pan wejdzie i zamknie drzwi — powiedziała z głębi garderoby. Wszedłem i zamknąłem drzwi. Nie była to bogato urządzona garderoba gwiazdy. Znalazły się w niej tylko rzeczy niezbędne. Wytarta kanapa, wygodny fotel, mała toaleta z lustrem i dwiema lampami, przed nią proste krzesło i taca, na której była kawa. Mavis Weld pochyliła się i włączyła okrągły elektryczny grzejnik. Potem złapała ręcznik i wytarła wilgotne włosy przy twarzy. Siadłem na kanapie i czekałem.
- Daj mi papierosa — powiedziała odrzucając ręcznik. Gdy zapalałem dla niej papierosa, jej oczy bardzo się do mnie zbliżyły, — Jak się panu podobała ta mała scenka, która_ zaimprovizowaliśmy na jachcie?
- Kurewska.
- Wszyscy jesteśmy kurwy. Niektórzy potrafią się lepiej uśmiechać, to wszystko. Show business. Jest w tym coś bardzo pospolitego. Zawsze było. Bywały czasy, kiedy aktorów wpuszczano się kuchennymi drzwiami. Niektórzy powinni nadal tamtędy wchodzić. Wielkie napięcie, wielki pośpiech, wielka nienawiść — wszystko to wybucha w takich małych, paskudnych scenkach. Ale one nic nie znaczą.
- Tanie złościwości - powiedziałem. Podniosła rękę i przesunęła czubkiem palca po moim policzku. Był jak rozgrzane żelazo.
- Ile pan zarabia, panie Marlowe?

– Czterdzieści dziennie plus wydatki. To cena wywoławcza. Brałem i dwadzieścia pięć. Brałem i mniej. — Pomyślałem o zniszczonej dwudziestce Orfamay.

Jeszcze raz zrobiła ten sam numer z palcem, a ja zdołałem jakoś nie dobrać się do niej łapami. Odsunęła się ode mnie i siadła na krześle owijając się szlafrokiem, W garderobie pocieplało od elektrycznego grzejnika.

– Dwadzieścia pięć dolarów dziennie — powiedziała z zastanowieniem.

– Małe samotne dolarki.

– Bardzo samotne?

– Jak latarnie morskie.

Założyła nogę na nogę i nagle wydawało się, że blada poświata jej skóry wypełnia cały pokój.

– Niecił pan zadaje te swoje pytania — powiedziała, nie próbując zakrywać ud.

– Kto to jest Steelgrave?

– Mężczyzna, którego znam od lat. I lubię go. Ma wiele różnych rzeczy. Parę restauracji. Jeżeli chodzi o to, skąd się wziął, to nie wiem.

– Ale zna go pani bardzo dobrze.

– Dlaczego pan nie pyta, czy z nim śpię?

– Nie zadaję tego rodzaju pytań.

Roześmiała się i strząsnęła popiół z papierosa.

– Panna Gonzales z rozkoszą by panu odpowiedziała.

– Do diabła z panną Gonzales.

– Jest czarnowłosa, ładna, namiętna. Bardzo, bardzo miła.

– I przebiera w klientach jak skrzynka pocztowa — powiedziałem. — Pies ją trącał. Dalej o Steelgrave'ie. Czy bywał w kłopotach?

– A kto nie bywał?

– Z policją?

Jej oczy rozszerzyły się trochę zbyt niewinnie. Śmiech zabrzmiał troszeczkę zanadto srebrzyście.

– Niech pan nie będzie śmieszny. Facet jest wart parę milionów.

– Jak je zdobył?

– Skąd mam wiedzieć?

– W porządku. Nie wie pani. Ten papieros zaraz panią poparzy. — Pochyliłem się i wyjąłem jej peta z palców. Trzymała otwartą dłoń na nagim udzie. Dotknąłem jej czubkiem palca. Odsunęła się i zacisnęła dłoń w pięść.

– Niech pan tego nie robi — powiedziała ostro.

– Dlaczego? Robiłem to z dziewczynami, kiedy byłem mały.

– Wiem — jej oddech był teraz trochę zbyt szybki. — Czuję się od tego bardzo młoda, niewinna i trochę niegrzeczna. A już od bardzo dawna nie jestem ani młoda, ani niewinna.

– Więc naprawdę nie wie pani nic o Steelgrave'ie?

– Mógłby pan się wreszcie zdecydować, czy to przesłuchanie trzeciego stopnia, czy randka.

– To nie zależy ode mnie — powiedziałem.

Po chwili powiedziała;

– Naprawdę muszę coś zjeść. Marlowe. Musze, dziś jeszcze pracować. Nie chce pan chyba, żebym zemdląła na planie, co?

– To się zdarza tylko gwiazdom — wstałem. — Dobra, idę. Niech pani nie zapomina, że pracuję dla pani. Nie podjąłbym się tego, gdybym myślał, że pani kogokolwiek zabiła. Ale pani tam była. To wielkie ryzyko. Chciała pani coś odzyskać i bardzo pani na tym zależało.

Wyjęła skądś tę fotografię i patrzyła na nią gryząc wargę. Podniosła oczy nie poruszając głową.

– Nie mogło przecież chodzić o to — powiedziała.

– A jednak właśnie to schował tak starannie, żeby nikt nie znalazł. Ale co komu z tego? To tylko pani i facet nazwiskiem Steelgrave w gabineciku w „Tancerzach”. Nic specjalnego.

– Zupełnie nic — powiedziała.

– Musi to być zatem coś związanego ze Steelgrave'em albo coś związanego z datą.

Jej oczy rzuciły się z powrotem ku fotografii.

– Nie ma tu nic, co pozwoliłoby ustalić datę — powiedziała szybko. — Nawet gdyby miała ona cokolwiek znaczyć. Chyba że ten wycięty kawałek...

– Proszę — podałem go. — Ale potrzebna będzie lupa. Niech pani to pokaże Steelgrave'owi. Niech pani jego spyta, czy to cokolwiek znaczy. Albo Ballou.

Ruszyłem w stronę wyjścia.

– Niech się pani nie oszukuje, datę można ustalić — powiedziałem przez ramię. — Steelgrave nie będzie taki naiwny.

– Buduje pan zamki z piasku, panie Marlowe.

– Naprawdę? — popatrzyłem na nią bez uśmiechu. — Naprawdę tak pani sądzi? O, nie. Poszła pani tam. Zamordowano go. Miała pani broń. Był znanym oszustem. A ja coś znalazłem. I policja będzie mnie na pewno kochać za to, że to przed nią ukryłem. Bo to jest tak pełne różnych motywów, że aż się przelewa. Dopóki gliny tego nie znajdą, zachowam licencję. A dopóki kto inny tego nie znajdzie, nic dostanę w kark kolcem do lodu. Czy nadal uważa pani, że w moim zawodzie zarobki są przesadnie wysokie?

Siedziała i patrzyła na mnie, jedna dłonią ściskając kolano. Druga sunęła niespokojnie, palec po palcu, wzdłuż oparcia.

Nie pozostało mi nic innego, jak przekręcić gałkę drzwi i wyjść. Sam nie wiem, dlaczego było to aż takie trudne.

20

Na korytarzu przed moim biurem panował zwyczajny ruch, kiedy zaś otworzyłem drzwi i wszedłem do zatęchłej ciszy poczekalni, poczułem, jak zwykle, że wrzucono mnie do bardzo głębokiej i wyschniętej przed dwudziestu laty studni, do której już nikt nigdy nie przyjdzie po wodę. Zapach starego kurzu, który wisiał w powietrzu, był mdły i zwietrzały jak wywiad ze sławnym piłkarzem.

Otworzyłem wewnętrzne drzwi, za którymi było to samo: martwe, zdechłe powietrze, ten sam kurz na fornirowanych meblach, te same niedotrzymane obietnice wygodnego życia. Pootwieriałem okna i włączyłem radio. Kiedy się nagrzało, zaczęło grać zbyt głośno, a jak je nieco ściszyłem, telefon zabrzmiał tak, jakby dzwonił od dłuższego czasu. Zdjąłem z niego kapelusz i podniosłem słuchawkę.

Był już najwyższy czas, żeby się znowu objawiła. Jej zimny, skupiony głos powiedział:

- Tym razem to naprawdę.
 - Dalej.
 - Przedtem kłamałam. Teraz nie. Naprawdę odezwał się Orrin.
 - Dalej.
 - Pan mi nie wierzy. Poznają to po głosie.
 - Niczego pani nie pozna po moim głosie. Jestem detektywem. Jak się odezwał?
 - Zadzwoił z Bay City.
 - Niech pani poczeka. — Położyłem słuchawkę na poplamionym, brązowym bibularzu i zapaliłem fajkę. Nie było pośpiechu. Kłamstwo jest cierpliwe. Podniosłem słuchawkę.
 - Już to raz braliśmy — powiedziałem. — Jak na ten wiek, ma pani krótką pamięć. Doktor Zugsmith byłby na pewno niezadowolony.
 - Niech się pan ze mną nie drażni. To poważna sprawa. Dostał mój list. Poszedł na pocztę i spytał, czy czegoś nie ma do niego. Wiedział, gdzie się zatrzymam. I kiedy się zjawię. Więc zadzwonił. Mieszka u jednego doktora, którego tam poznał. Coś dla niego robi. Powiedziałam panu, że ma dwa lata medycyny.
 - Doktor się jakoś nazywa?
 - Tak. Dziwnie. Vincent Lagardie.
 - Chwileczkę. Ktoś puka do drzwi.
- Odłożyłem słuchawkę z największą ostrożnością. Jeszcze by się potłukła. Może jest ze szklanej

waty. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem sobie zagłębienie dłoni, tej, w której ją trzymałem. Wstałem, podszedłem do szafy w ścianie i przejrzałem się w zniszczonym lustrze. Tak, to byłem ja. Miałem w oczach napięcie. Coś za szybko ostatnio żyłem.

Dr Vincent Lagardie. Wyoming Street 965. Naprzeciwko Domu Pokoju pod Wieńcem. Drewniany budynek na rogu. Spokojnie. Miła okolica. Przyjaciół zmarłego Clausena. Może. On twierdzi, że nie. Niemniej — może.

Podszedłem z powrotem do telefonu i zdobyłem się na parę spokojnych słów:

– Jak się to pisze?

Przeliterowała, szybko i dokładnie.

– To znaczy, że nie ma już nic do roboty? — powiedziałem. — Wszystko nam wisi, czy jak tam powiadają w Manhattan, Kansas.

– Niech pan przestanie ze mnie kpić. Orrin jest w strasznych kłopotach. Jacyś... — głos zadrżał jej lekko i szybko wypuściła oddech. — Jacyś gangsterzy go szukają.

– Niech pani nie będzie śmieszna, Orfamay. W Bay City nie ma gangsterów. Wszyscy poszli do filmu. Jaki jest telefon doktora Lagardie?

Podawała mi numer. Zgadzał się. Nie powiem, żeby kawałki zaczęły się składać w całość, ale przynajmniej zaczęły wyglądać jak części tej samej łamigłówki. A to wszystko, o co proszę i co zwykle dostaję.

– Niech pan tam pojedzie, zobaczy się z nim i pomoże mu. Boi się wyjść z domu. W końcu zapłaciłam panu.

– Oddałem pani pieniądze.

– Ale ja zaproponowałam je panu z powrolem.

– W mniejszym lub większym stopniu zaproponowała mi pani także inne rzeczy, których wolałbym raczej nie brać.

Zapadła cisza.

– W porządku — powiedziałem. — W porządku. Jeżeli sam zostanę dostatecznie długo na wolności. Też mam cholerne kłopoty.

– Dlaczego?

– Bo kłamię, zamiast mówić prawdę. Zawsze się to na mnie skupia. Nie mam takiego szczęścia jak niektórzy.

– Ale ja nie kłamię Philip. Nie kłamię. Jestem przerażona.

– Niech pani nabierze tchu i poprzeraża się trochę, chciałbym posłuchać.

– Mogą go zabić — powiedziała spokojnie.

– A co na to wszystko doktor Lagardie?

– On nic o tym nie wie, oczywiście. Proszę, niech pan tam zaraz jedzie. Mam tu ten adres.

Chwileczkę.

Wtedy właśnie zadzwonił dzwonek, ten z samego końca korytarza; dzwoni zwykle niezbyt głośno, ale kiedy już zadzwoni, lepiej, żebyś go usłyszał. Cokolwiek dzieje się dookoła, lepiej, żebyś go dobrze słyszał.

– Będzie w książce telefonicznej — powiedziałem. — Przez zdumiewający zbieg okoliczności mam tu książkę telefoniczną Bay City. Niech pani zadzwoni koło czwartej. Albo piątej. Lepiej niech będzie piąta.

Szybko odłożyłem słuchawkę. Wstałem, zgasilem radio, nie usłyszawszy ani słowa. Znowu pozamykałem okna. Otworzyłem szufladę, wyjąłem Lugera i przypiąłem go. Włożyłem kapelusz. Wychodząc, jeszcze raz spojrzałem na siebie w lustrze.

Wyglądałem tak, jakbym się właśnie zdecydował skoczyć w przepaść.

W Domu Pokoju pod Wieńcem właśnie kończono obrządek. Wielki szary karawan stał u bocznego wejścia. Samochody parkowały w ścisku po obu stronach ulicy, a trzy czarne limuzyny pod domem

doktora Lagardie. Ludzie powoli nadchodzili alejką z kaplicy i wsiadali do swoich samochodów. Zatrzymałem się w połowie drogi do przecznicy i czekałem. Samochody nie poruszyły się. Później wyszło trzech mężczyzn i kobieta, byli w czerni, kobieta miała na twarzy grubą woalkę. Niemal ją zanieśli do wielkiej limuzyny. Przedsiębiorca pogrzebowy fruwał dookoła wykonując różne eleganckie gesty i ruchy równie wdzięczne, jak szopenowska kadencja. Jego opanowana szara twarz była tak długa, że mógł się nią owinać dwa razy dookoła szyi.

Pogrzebowi amatorzy wynieśli trumnę bocznymi drzwiami, a zawodowcy ulżyli im wsuwając ją w lylne drzwi karawanu tak gładko, jakby to był koszyk maślanych bułek. Na trumnie wyrósł istny kopiec kwiatów. Oszklone drzwi zamknięto i dookoła ożyły wszystkie silniki.

Po chwili został już tylko jeden samochód po drugiej stronie ulicy i przedsiębiorca pogrzebowy, który wachając różę, szedł przeliczyć łup. Z promiennym uśmiechem zniknął w swoich zgrabnych kolonialnych drzwiach i świat znowu był cichy i pusty. Samochód, który pozostał, nie poruszył się. Przejechałem obok niego, zawróciłem i zaparkowałem z tyłu. Szofer miał na sobie błękitną marynarkę i miękką czapkę z błyszczącym daszkiem. Rozwiązywał krzyżówkę w porannej gazecie. Wsadziłem na nos parę lustrzanych okularów słonecznych i, mijając go, poszedłem w stronę domu doktora Lagardie. Nie spojrzał na mnie. Kiedy zostawiłem go już kilka metrów z tyłu, zatrzymałem się i udałem, że czyszczę okulary chusteczką. Złapałem go w jednym z lusterek. Nadal nie podnosił głowy. Był po prostu zwykłym facetem, co rozwiązuje krzyżówkę. Włożyłem okulary z powrotem na nos i podszedłem do drzwi doktora Lagardie.

Napis na drzwiach głosił: „Zadzwoń i wejdź”, Zadzwoniłem, ale drzwi nie dały mi wejść.

Poczekalem. Zadzwoniłem znowu. Znowu poczekałem. W środku panowała cisza. Potem drzwi otworzyły się bardzo powoli i w szczelinie ukazała się wąska twarz bez wyrazu i biały uniform pielęgniarki.

– Przykro mi, doktor dziś nie przyjmuje — zamrugła na widok lustrzanek. Nie podobały się jej. Język poruszał się niespokojnie między wargami.

– Szukam pana Questa. Orrina P. Questa.

– Kogo? – W jej oczach zauważyłem błysk strachu.

– Quest. Q jak znak jakości. U jak uniformizacja. F, jak ekstraordynaryjny, S jak sublimacja., T jak tuptuś. Złóż je teraz razem, a odczytasz imię brata twego.

Popatrzyła na mnie. Jakbym właśnie wynurzył się z samego dna oceanu z utopioną syreną pod pachą.

– Bardzo pana przepraszam. Doktor Lagardie...

Niewidzialne ręce odsunęły ją i wysoki, ciemny, nawiedzony mężczyzna stanął w półotwartych drzwiach.

– Jestem doktor Lagardie. O co chodzi?

Podał mi wizytówkę. Przeczytał. Spojrzał na mnie. Miał białą udreconą twarz człowieka, który czeka na kataklizm.

– Rozmawialiśmy przez telefon — powiedziałem. — O człowieku nazwiskiem Clausen.

– Proszę wejść — powiedział szybko. — Nie przypominam sobie, ale proszę wejść.

Wszedłem. Pokój był ciemny, rolety opuszczone, okna zamknięte. Było ciemno i zimno.

Pielęgniarka wycofała się i siadła za małym biurkiem. Był to zwykły salon z lekkimi, malowanymi boazeriami, które zapewne kiedyś były ciemne, sądząc po wieku tego domu. Salon oddzielało od jadalni kwadratowe przejście. Były tam fotele i stół pokryty ilustrowanymi pismami. Pomieszczenie wyglądało na to, czym było w istocie: na poczekalnię lekarza, który ma praktykę w zwykłym prywatnym domu.

Na biurku przed pielęgniarką zadzwonił telefon. Wyciągnęła rękę, ale zatrzymała się w pół gestu. Gapiała się w telefon. Po chwili przestał dzwonić.

– Jak brzmi to nazwisko, o które pan pytał? – rzekł cicho doktor Lagardie.

– Orrin Owest. Jego siostra poinformowała mnie, że zatrudnia go pan w jakimś charakterze.

Szukam go już od paru dni. Wczoraj wieczorem zadzwonił do niej. Powiedziała mi, że stąd.

– Nie ma tu nikogo o takim nazwisku — powiedział uprzejmie doktor Lagardie. — I nigdy nie było.

– Nie zna go pan zupełnie?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie rozumiem w takim razie, dlaczego powiedział coś takiego swojej siostrze.

Pielęgniarka przetarła ukradkiem oczy. Telefon na jej biurku zadzwonił i znowu podskoczyła.

– Proszę nie podnosić — powiedział doktor, nie odwracając głowy.

Odczekaliśmy, aż przestanie dzwonić. Wszyscy czekają, kiedy telefon dzwoni. Po chwili przestał.

– Czemu nie pójdzie pani do domu, panno Watson? Nie ma już pani nic do roboty.

– Dziękuję, doktorze. — Siedziała nieporuszona, patrząc na biurko. Zaciśnęła oczy, a potem otworzyła. Potrząsnęła beznadziejnie głową.

Doktor Lagardie odwrócił się do mnie.

– Może pójdziemy do mojego gabinetu?

Poszliśmy, mijając jeszcze jedne drzwi, i weszliśmy do hallu. Szedłem niemal na palcach.

Atmosfera tego domu naładowana była przecuciem nieszczęścia. Otworzył drzwi i wprowadził mnie do czegoś, co kiedyś musiało być sypialnią, choć teraz nic już na to nie wskazywało. Był to mały, oszczędnie urządzone gabinet lekarski. Otwarte drzwi ukazywały kawałek sali zabiegowej. W rogu bulgotał sterylizator. Gotowało się w nim mnóstwo igieł.

– Pełno tam igieł — powiedziałem, jak zwykle błyskotliwie.

– Niech pan siądzie, panie Marlowe.

Obszedł biurko dookoła, siadł i wziął do ręki długi, cienki nóż do papieru.

Popatrzył na mnie spokojnie swymi zbolalymi oczami.

– Nie, nie znam nikogo nazwiskiem Owest, panie Marlowe. Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś o tym nazwisku miałby utrzymywać, że przebywa u mnie w domu.

– Że się ukrywa — powiedziałem.

Podniósł brwi.

– Przed czym?

– Przed paroma facetami, co mieliby ochotę wbić mu w kark kolec do lodu. Za to, że trochę za szybko trzaska Leicą. Że robi ludziom zdjęcia, kiedy chcą mieć święty spokój i trochę poczucia intymności. A może chodzi o co innego, o trawkę — że za dużo wiedział. Czy mówię zagadkami?

– To pan przysłał tutaj policję — powiedział zimno.

Nie odezwałem się.

– To pan zadzwonił i zgłosił śmierć Clausena.

Powiedziałem to samo, co przed chwilą.

– To pan do mnie zadzwonił i spytał, czy znam Clausena. A ja powiedziałem, że nie.

– Ale to była nieprawda.

– Nie miałem obowiązku pana informować, panie Marlowe.

Kiwnąłem głową, wyjąłem papierosa i zapaliłem go, Doktor Lagardie spojrział na zegarek. Obrócił się wraz z krzesłem i wyłączył sterylizator. Popatrzyłem na igły. Mnóstwo igieł. Kiedyś w Bay City miałem straszne kłopoty z facetem, co gotował igły.

– Z czego to się bierze? — spytałem go. — Może to ta przystań jachtowa?

Podniósł swój perwersyjny nóż do papieru ze srebrną rączką w kształcie nagiej kobiety. Ukłął się w opuszek palca. Pojawiła się na nim perła ciemnej krwi. Podniósł palec do ust i zlizął krew.

– Lubię smak krwi — powiedział cicho.

Z dala doszedł nas odgłos otwierania i zamykania drzwi. Słuchaliśmy go uważnie. Słuchaliśmy oddalających się kroków na schodkach przed domem. Słuchaliśmy jak wszyscy diabli.

– Panna Watson poszła do domu — powiedział doktor Lagardie. — Jesteśmy teraz sami. —

Przeżuł tę myśl i znowu oblizal palec. Położył nóż ostrożnie na bibularzu. — Ach, chodzi panu o tę przystań jachtową — dodał. — Myśli pan o sąsiedztwie Meksyku, niewątpliwie. Łatwość, z jaką marihuana...

– Nie myślałem już nawet o marihuanie — spojrzałem znowu na igły. Poszedł za moim wzrokiem.

Wzruszył ramionami.

– Dlaczego ich tak dużo? — spytałem.

– Czy to pański interes?

- Nic nie jest moim interesem.
- Ale najwyraźniej spodziewa się pan odpowiedzi na swoje pytania.
- Po prostu mówię — powiedziałem. — Czekam, co się stanie. Coś się musi stać w tym domu. To wyziera z każdego kąta.

Doktor Lagardie zlizął następną kroplę krwi z palca.

Spojrzałem na niego twardo. Nie wdarłem się jednak tym sposobem do jego duszy. Był spokojny, mroczny, rozbity i miał w oczach całe nieszczęście świata. Ale nie przestał być miły.

- Pan pozwoli, że coś panu opowiem o tych igłach — powiedziałem.
- Ależ jak najbardziej — znowu podniósł swój długi nóż.
- Proszę tego nie robić — powiedziałem ostro. — Dreszcze mam od tego. Jakbym głąskał węża. Odłożył łagodnie nóż i uśmiechnął się.

– Zdaje się, że krążymy wokół tematu — zasugerował.

– Dojdziemy do niego. Teraz o igłach. Kilka lat temu miałem sprawę, która ściągnęła mnie tutaj. Zetknąłem się wtedy z pewnym lekarzem nazwiskiem Almore. Mieszkał na Altair Street. Miał dziwną praktykę. Wychodził nocami z wielką torbą pełną strzykawek, gotowych do użytku. Był nimi dosłownie obładowany. Bardzo szczególną miał praktykę. Pijacy, bogaci narkomani, których jest znacznie więcej, niż się przypuszcza, ludzie żyjący w takim napięciu, że w końcu nie są już w stanie wrócić do normy. Ludzie cierpiący na bezsenność, cała plejada neurasteników, którzy nie potrafią brać życia zwyczajnie. Muszą mieć swoje pigułki i zastrzyki. Trzeba im pomagać w ciężkich chwilach. Po pewnym czasie zostają już same ciężkie chwile. Świetny interes dla lekarza. Almore był dla nich stworzony. Teraz; już wolno o tym mówić. Umarł rok temu czy coś koło tego. Od własnego lekarstwa.

- I pan przypuszcza, że odziedziczyłem po nim praktykę?
- Ktoś przecież musiał. Dopóki istnieją pacjenci, muszą być lekarze.

Wyglądał teraz na jeszcze bardziej wyczerpanego niż przedtem.

– Myślę, że jest pan głupcem, przyjacielu. Nie znałem doktora Almore. I nic mam praktyki, którą pan jemu przypisuje. Jeśli zaś chodzi o igły, żeby załatwić przynajmniej ten drobiazg, to w dzisiejszej medycynie są one w starym użyciu, bodaj i w tak niewinnych kwestiach jak zastrzyki i witamin. A igły tępieją. A kiedy są tępe, sprawiają ból. Dlatego idzie tuzin dziennie i więcej. I ani jedna z nich nie służy do narkotyków.

Podniósł powoli głowę i spojrzał na mnie z głęboka pogarda.

– Mogę się mylić — powiedziałem. — Kiedy poczułem zapach trawki, tam w domu Clausena, a potem on zadzwonił pod pana numer i odezwał się do pana po imieniu, wszystko to skłoniło mnie ku całkiem fałszywym wnioskom.

– Stykałem się z nałogowcami — powiedział. — Któryż lekarz tego nic widział? To całkowita strata czasu.

– Czasami da się ich wyleczyć.

– Można ich pozbawić narkotyku. Po dłuższym czasie, po wielkich cierpieniach, mogą się bez niego obejść. Ale to nie oznacza wyleczenia, przyjacielu. Nie usuwa to psychicznej czy emocjonalnej skazy, która popchnęła ich do nałogu. Czyni z ich po prostu otepiałych, pustych ludzi, którzy siedzą w słońcu i kręcą młynka palcami, umierając z nudów i beczynności.

– To dosyć ponura teoria, doktorze.

– Sam pan poruszył ten temat. A ja go tylko podsumowałem. Poruszę teraz inny- Być może zauważył pan atmosferę napięcia w tym domu. Nawet w tych swoich głupich lustrzanych okularach, które teraz może pan już zdjąć. Wcale pan w nich nie jest podobny do Cary'ego Granta. Zdjąłem okulary.

– Zupełnie o nich zapomniałem.

– Była tu policja, panie Mariowe. Pewien porucznik nazwiskiem Maglashan, który prowadzi śledztwo w sprawie Clausena. Z pewnością chętnie by się z panem spotkał. Czy mam do niego zadzwonić? Jestem pewien, że wróciłby tu natychmiast.

– Proszę, niech pan dzwoni — powiedziałem. — Wpadłem tu tylko po drodze, właśnie biegłem popełnić samobójstwo.

Jego ręce ruszyły w stronę telefonu, ale przyciągnął je magnetycznie nóż do papieru. Podniósł go znowu. Najwyraźniej nie mógł się bez niego obejść.

– Można by tym zabić człowieka — powiedziałem.

– Bardzo łatwo — uśmiechnął się lekko.

– Półtora cala w kark, prosto w środek, pod potylicę.

– Lepszy byłby kolec do lodu — powiedział. -- Szczególnie krótki, spiłowany na ostro. Nie zgina się. Jeżeli nie trafi pan w rdzeń pacierzowy, nie zrobi pan wiele szkody.

– Wymaga to trochę wiedzy medycznej? — Wyjąłem z kieszeni nieszczęsną starą paczkę cameli i wyplątałem jednego z celofanu.

Po prostu dalej się uśmiechał. Bardzo słabo, raczej smutno. Nie był to uśmiech człowieka, który się boi.

– Przydałoby się — powiedział cicho. — Ale każdy w miarę zręczny człowiek mógłby osiąść tę technikę w dziesięć minut.

– Orrin Owest miał dwa lata medycyny — powiedziałem.

– Mówiłem już panu, że nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Tak, wiem, że pan mówił. Tylko że nie bardzo panu uwierzyłem.

Wzruszył ramionami. Aie jego oczy spoczęły jak zwykle na nożu.

– Rozkoszna z nas para pieszczoszków — powiedziałem.— Siedzimy tu sobie i prowadzimy ten stary, klasyczny dialog przez biurko. Jak gdyby nic nas nie obchodziło na tym bożym świecie. I tak przed zachodem słońca obydwaj pójdziemy dopudła.

Znowu uniósł brwi. Ciągnąłem:

– Pan, ponieważ Clausen znał pana po imieniu. I mógł pan być ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiał. Ja, ponieważ zrobiłem parę rzeczy, które prywatnemu detektywowi nigdy nie uchodzą na sucho. Ukrywałem dowody, ukrywałem informacje, znajdowałem zwłoki i nie szedłem grzecznie z kapelusikiem w garści meldować o tym dzielnym, nieprzekupnym glinom z Bay City, Tak, tak, już po mnie. Jestem załatwiony. Ale dziś wisi w powietrzu jakiś taki szalony zapach, Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Albo się zakochałem. Po prostu zupełnie nic mnie to nie obchodzi.

– Pił pan — powiedział wolno.

– Tylko Chanel nr 5, parę pocałunków i bladą poświatę ładnych nóg, i drwiące zaproszenie w głębokich, błękitnych oczach. Takie tam niewinne rzeczy.

Zrobił się jeszcze smutniejszy.

– Kobieta potrafi straszliwie obezwładnić mężczyznę, prawda? — zauważył.

– Clausen.

– Beznadziejny alkoholik. Sam pan wie, jacy oni są. Piją, piją i nic nie jedzą. I powoli brak witamin powoduje objawy delirium. Wtedy można już dla nich zrobić tylko jedno. — Odwrócił się i spojrzął na sterylizator. — Igły i znowu igły. Paskudnie się od tego czuje. Skończyłem Sorbonę. A jednak praktykuję wśród wstrętnych, małych ludzi, we wstrętnym, małym miasteczku.

– Dlaczego?

– Z powodu czegoś, co stało się wiele lat temu w innym mieście. Niech pan nie wymaga ode mnie zbyt dużo, panie Marlowe.

– Zwrócił się do pana po imieniu.

– To normalna rzecz u ludzi pewnego pokroju. Zwłaszcza u byłych aktorów. I u byłych przestępców.

– O! — powiedziałem. — I to wszystko, co się za tym kryje?

– Wszystko.

– W takim razie nie przejmował się pan z pewnością, że gliny pytały pana o Clausena. Boi się pan tylko tego czegoś, co stało się gdzie indziej dawno temu. Może była to nawet miłość.

– Miłość? — Strząsnął to słowo powoli z samego czubka języka, smakując je do ostatniej chwili.

Pozostał po nim tylko drobny gorzki uśmiech jak zapach prochu, który unosi się w powietrzu po wystrzale z rewolweru. Wzruszył ramionami, wyciągnął zza segregatora duże pudełko papierosów i popchnął w moją stronę.

– Czyli nie miłość — powiedziałem. — Próbuję czytać w pana myślach. Absolwent Sorbony i

nędzna praktyka w podłym, nędznym miasteczku. Dobrze to znam. Więc co pan tu właściwie robi? Co pan robi wśród takich ludzi jak Clausen? O co poszło, doktorze? Narkotyki, skrobanki czy może przypadkiem był pan lekarzem któregoś z gangów w jakimś niebezpiecznym wschodnim mieście?

– Takim jak...? — uśmiechnął się blado.

– Takim jak na przykład Cleveland.

– Szalona sugestia, przyjacielu — jego głos był teraz jak lód.

– Szalona jak wszyscy diabli — powiedziałem. — Ale taki bardzo ograniczony facet jak ja stara się zwykle, żeby to, co wie, układało się w jakąś całość. Czasami się myślę, ale to u mnie choroba zawodowa. Jeżeli ma pan ochotę posłuchać, to panu opowiem.

– Słucham.— Znowu podniósł nóż i dziobnął nim lekko bibułę na biurku.

– Znał pan Clausena. Clausena zabito bardzo fachowo za pomocą kolca do lodu, zabito go, gdy ja byłem w tym domu, na górze. Rozmawiałem akurat z ciemnym typkiem nazwiskiem Hicks. Hicks wyprowadził się szybko, zabierając ze sobą kartkę z książki meldunkowej z nazwiskiem Orrina P. Questa. Później, tego samego dnia, w Los Angeles zabiło Hicksa, również kolcem do lodu. Jego pokój został przeszukany. Była tam kobieta, która przyszła coś od niego kupić. Nic znalazła tego czegoś. Ja miałem więcej czasu i znalazłem. Przypuszczenie A: Clausena i Hicksa zabiła ta sama osoba, choć niekoniecznie z tego samego powodu. Hicks zginął, ponieważ wymanewrował kogoś z interesu. Clausen zginął, ponieważ za dużo paplał po pijaku i mógł się domyślać, kto chciał zabić Hicksa. Trzyma się kupy na razie?

– Nic mnie to wszystko nie obchodzi -- powiedział doktor Lagardie.

– Ale jednak pan słucha. Jedynie z dobrego wychowania, jak sądzę. Dobra. No więc co ja tam znalazłem? Fotografii gwiazdy filmowej i być może eks-gangstera z Cleveland, który jest teraz właścicielem restauracji w Hollywood itd., zrobioną, kiedy jedli razem lunch pewnego dnia. Dnia, gdy ów eks-gangster był rzekomo pod kluczem w więzieniu okręgowym, oraz inny eks-gangster, były kumpel tamtego, został zastrzelony na Franklin Avenue w Los Angeles. A dlaczego siedział pod kluczem? Bo był donosik, że jest tym, czym jest, i niech pan mówi, co chce, przeciwko glinom z L. A., ale jednak próbują oni pędzić z miasta wszystkich gangsterów ze Wschodu. Kto zrobił donosik? Facet, którego zgarnęli, zrobił go sam na siebie, ponieważ jego były wspólnik zaczął być niewygodny i musiał zostać sprzątnięty, a trudno sobie wymarzyć lepsze alibi na tę okoliczność niż pobyt w więzieniu.

– Fantastyczne - uśmiechnął się doktor Lagardie ze znużeniem. — Zupełna fantazja.

– Pewnie. Zaraz będzie jeszcze gorzej. Gliny nie mogą nic udowodnić eks-gangsterowi. Policja w Cleveland umywa ręce. Gliny w L. A. ostatecznie go uwalniają. Ale nie zwolniliby go, gdyby zobaczyli to zdjęcie. Czyli że fotografia jest doskonałym materiałem do szantażu, przede wszystkim przeciwko eks-gangsterowi z Cleveland, o ile to rzeczywiście ten facet. Po drugie przeciwko gwiazdzie filmowej, która pokazuje się z nim publicznie. Ktoś dobry mógłby zrobić na tym majątek. Hicks nie był dostatecznie dobry. Od nowego wiersza. Przypuszczenie B: Orrin Quest, chłopak, którego próbuję znaleźć, zrobił zdjęcie bez wiedzy fotografowanych. Posłużył się Contaxem lub Leicą, bez flesza. Owest miał Leicę i lubił robić takie rzeczy. W tym wypadku miał oczywiście nieco bardziej handlowe motywy. Pytanie: w jaki sposób udało mu się zrobić to zdjęcie? Odpowiedź; gwiazda filmowa jest jego siostrą. Pozwoliła mu podejść do siebie i porozmawiać. Stracił pracę, potrzebował pieniędzy. Najprawdopodobniej dała mu je pod warunkiem, że będzie się od niej trzymał z daleka. Nie chce się zadawać z nikim ze swojej rodziny. Czy to nadal zupełna fantazja, doktorze?

Patrzył na mnie melancholijnie.

– Nie wiem — powiedział. — Są w tym pewne elementy prawdopodobne. Dlaczego jednak właśnie mnie opowiada pan tę raczej niebezpieczną historię?

Wyjął z pudełka papierosa i rzucił mi od niechcienia. Złapałem go i obejrzałem. Egipski, gruby, spłaszczony, jak na moje zdrowie trochę za mocny. Nie zapaliłem, tylko siedziałem trzymając go w palcach, przyglądając się tamtym ciemnym, smutnym oczom. Zapalił swojego papierosa i nerwowo się zaciągnął.

– Teraz powiążę z tym pana — powiedziałem. — Znał pan Clausena. Twierdzi pan, że zawodowo.

Pokazałem mu, że jestem glina, Od razu spróbował do pana dzwonić. Był zbyt zalany, żeby z panem rozmawiać. Zanotowałem numer i zadzwoniłem potem do pana, żeby pana zawiadomić o jego śmierci. Dlaczego? Gdyby pan był czysty, zadzwoniłby pan do glin. Nie zadzwonił pan. Dlaczego? Znał pan Clausena, mógł pan leż znać jego lokatorów. Niczego się tu nie da dowieść. Od nowego wiersza. Przypuszczenie C: znał pan Hicksa albo Orrina Ouesia, albo zgoła obu. Gliny z L. A. nie mogły zidentyfikować tego faceta z Cleveland albo po prostu nie zrobiły tego — zresztą dajmy mu jakieś nazwisko, powiedzmy Steelgrave. Ktoś jednak był w stanie to zrobić. Skoro zdjęcie było warte śmierci paru ludzi. Czy kiedykolwiek miał pan praktykę w C!eveland, panie doktorze?

– Nigdy, — Jego głos dochodził jakby z daleka. Oczy też były odległe. Usta otworzyły się tylko na tyle, by wpuścić do środka papierosa. Był bardzo spokojny.

– W urzędzie telefonicznym mają pełen pokój książek z całego kraju — powiedziałem. — Sprawdziłem pana. Najpierw apartament w biurowcu w centrum miasta — ciągnąłem. — A teraz to, niemal ukradkowa praktyka w małym nadmorskim miasteczku. Miał pan pewnie ochotę zmienić również nazwisko, ale nie zrobił pan tego, bo nie mógłby pan wówczas zachować uprawnień. Ktoś musiał przecież wykombinować to wszystko, doktorze. Clausen to pijaczek. Hicks — głupi bęcwał, Orrin Oucst — złośliwe ścierwo. Ale można ich było do czegoś użyć. Nie mógł pan zaatakować Steelgrave'a wprost. Nie pożyłby pan nawet tyle, żeby zdążyć umyć zęby. Musiał pan działać przez pośredników — takich, których można się szybko pozbyć. Czy teraz dochodzimy już do czegoś? Uśmiechnął się słabo i odchylił się w krzesło z westchnieniem.

– Przypuszczenie D, panie Marlowe — wyszeptał prawie. — Jest pan nieopisanym idiotą. — Roześmiałem się i sięgnąłem po zapalną, żeby zapalić jego grubego egipskiego papierosa.

– Dodajmy do tego wszystkiego — powiedziałem — że siostra Orrina zadzwoniła do mnie i oświadczyła, że on jest u pana. Oczywiście, przyznaję, że każdy z tych argumentów z osobna jest bardzo słaby. Tak się jednak zabawnie składa, że wszystkie wskazują na pana. — Zaciągnąłem się spokojnie papierosem.

Przyglądał mi się. Jego twarz zafalowała nagle, rozmyła się nieco, oddaliła i znowu zbliżyła się do mnie. Poczulem jakiś ucisk w piersi. Mój umysł przyhamował nagle do żółwiego galopu.

– Co się tu dzieje? — usłyszałem własny bełkot.

Położyłem dłonie na poręczach fotela i próbowałem się podnieść.

– Ale ze mnie dureń, co? — powiedziałem, ciągle z papierosem w ustach, nie przestając się nim zaciągać. Dureń to niezbyt dobre słowo. Trzeba by wymyślić jakieś nowe.

Podniosłem się z krzesła, ale nogi miałem zatopione w cemencie. Kiedy zacząłem mówić, mój głos dochodził skądś jak przez grubą watę.

Puściłem poręcz fotela i sięgnąłem do papierosa. Kilka razy bezskutecznie weń celowałem, wreszcie udało mi się wziąć go do ręki. To nie był papieros. Raczej zadnia noga słonia. Miała ostre pazury. Wpiły się w moją dłoń. Potrząsnąłem ręką i słon zabrał nogę. Mglista, lecz ogromna postać pojawiła się nagle przede mną i koń kopnął mnie w pierś. Przysiadłem na podłodze.

– Troszeczkę cyjanku potasu — powiedział głos przez telefon, rozmowa transatlantycka. — Dawka nie śmiertelna, nawet nie niebezpieczna, chodzi o relaks...

Zacząłem wstawać z podłogi. Sami kiedyś spróbujcie. Tylko najpierw niech wam ją ktoś przybije gwoździami. Bo moja kręciła pętlę za pętlą. Wreszcie po chwili uspokoiła się trochę. Stała pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zebrałem się w sobie i ruszyłem. Na horyzoncie było coś, co mogło być grobem Napoleona. Całkiem niezły punkt orientacyjny. Poszedłem w tamtą stronę. Serce mi łomotało i miałem kłopoty z oddychaniem. Jak wtedy, kiedy człowiek się zadyszy po grze w piłkę. Myślisz, że nigdy już nie złapiesz tchu. Nigdy, nigdy, nigdy.

Polem nie było już grobu Napoleona. Była tratwa na wzniesionej fali. A na niej człowiek. Gdzieś go już widziałem. Miły facet, fajnieśmy się dogadali. Ruszyłem w jego stronę i wałnąłem ramieniem w ścianę. To mnie wybiło z kursu. Zacząłem machać rękami, żeby się czegoś złapać. Był tylko dywan. Jak ja się tu znalazłem? Nic ma co pytać. To tajemnica. Za każdym razem, kiedy o coś pytasz, po prostu wałną cię w pysk podłogą. Dobra, zacząłem się czołgać po dywanie. Opierałem się na czymś, co swego czasu służyło mi za ręce i nogi. Teraz przeczyły temu wszystkie zmysły. Podczołgałem się

do czarnej, drewnianej ściany. A może to był czarny marmur. Znowu grób Napoleona. Co ja takiego zrobiłem Napoleonowi? Dlaczego bez przerwy wali mnie swoim grobem?

– Napiłbym się wody — powiedziałem.

Nasłuchiwałem echa. Nie było echa. Nikt nic nie powiedział. Może ja też nie. Może tylko pomyślałem, a potem się rozmyśliłem. Cyjanek potasu. To strasznie długie słowa, za długie, żeby się nimi przejmować akurat wtedy, kiedy czołgasz się długimi tunelami. Niegroźne dla życia, powiedział. Pewnie, tylko dla zabawy. Takie półgroźne. Philip Marlowe, lat 38, prywatny detektyw z licencją i wątpliwą reputacją, został wczoraj wieczorem aresztowany przez policję podczas czołgania się pod Mont Blanc z koncertowym Steinwayem na plecach. Przesłuchany na posterunku Marlowe oświadczył, że fortepian jest prezentem dla Maharadży Kuku-na-Muniu. Zapytany, dlaczego ma na nogach ostrogi, Marlowe oświadczył, że zaufanie klienta to dla niego rzecz święta. Marlowe'a zatrzymano do dalszego śledztwa. Szeryf Hornside oświadczył, że policja nie może jeszcze ujawnić nic więcej. Zapytany, czy fortepian był nastrojony, szeryf Hornside oznajmił, że odegrał na nim Minutowego Walca w trzydzieści pięć sekund i że o ile może cokolwiek na ten temat powiedzieć, to w fortepianie nie było strun. Zasugerował jednocześnie, że były tam natomiast inne rzeczy. Kompletne oświadczenie dla prasy zostanie przygotowane w ciągu dwunastu godzin — powiedział krótko szeryf Hornside. Istnieje poważne podejrzenie, iż Marlowe próbował pozbyć się zwłok. Z ciemności wypłynęła na mnie twarz. Zmieniłem kierunek i ruszyłem w jej stronę. Ale było już za późno, słońce zaczęło zachodzić. Coraz szybciej zapadał zmrok. Nie było twarzy. Nic było ścian, biurka. Potem nie było podłogi. Nie było nic. Nawet mnie nie było.

22

Wielki czarny goryl z wielką czarną łapą położył swoją wielką czarną łapę, na mojej twarzy i próbował mi ja wypchnąć na drugą stronę. Odpychałem go. Zawsze staję na przegranej pozycji, to moja specjalność. Później połapałem się, że chodzi mu o to, żebym nie otworzył oczu.

Mimo to postanowiłem je otworzyć. Innym się udało, może mnie też? Zebrałem wszystkie siły i bardzo wolno, prostując plecy, napinając uda i kolana, ramiona używając jako sznurów, podniosłem nieopisany ciężar powiek.

Patrzyłem na sufit leżąc na plecach na podłodze; wiedziony mim powołaniem, nieraz już znajdowałem się w tym położeniu. Obróciłem głowę. Płuca miałem sztywne, a usta suche. Byłem po prostu w gabinecie doktora Lagardie. Ten sam fotel, to samo biurko, te same ściany i okno. Dookoła wisiała zaryglowana cisza.

Uniosłem się na biodrach, zaparłem się o podłogę i potrząsnąłem głową. Wpadła w płaską spiralę. Poszła w dół może pięć tysięcy stóp, a potem wyłowilem ją i wyrównałem. Zamrugalem. Ta sama podłoga, to samo biurko, te same ściany. Tylko doktora Lagardie nie było.

Zwilżyłem wargi i wydałem jakiś nieokreślony pomruk, na który nikt nie zwrócił uwagi. Wstałem. Byłem oszołomiony jak derwisz, słaby jak stary silnik, bezbronny jak brzusek bobra, cichy jak ćma i równie pewien sukcesu, co baletmistrz z drewnianą nogą.

Przywlokłem się jakoś za biurko i opadłem w fotel Lagardiego, po czym zacząłem grzebać gorączkowo w poszukiwaniu jakiegoś płynnego paliwa w odpowiednio wyglądającej bulelce. Nic z tego. Wstałem. Ważyłem tyle, co padły słoń. Słaniając się na nogach, zaglądałem do kolejnych na biało lakierowanych szafek, zawierających wszystko, czego szalenie potrzebowali inni ludzie.

Wreszcie po czterech latach marszu przez pustynię moja ręka zacisnęła się na sześciu uncjach alkoholu etylowego. Tak było napisane na nalepce. Potrzeba mi było teraz szklanki i wody. Twardy facet powinien sobie z tym poradzić. Ruszyłem przez drzwi do gabinetu zabiegowego. W powietrzu wciąż wisiał aromat przejrzałych brzoskwiń. Walnąłem w drzwi po obu stronach i przystanąłem, żeby się znowu rozejrzeć.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że w hallu słychać kroki. Oparłem się ciężko o ścianę i słuchałem.

Powolne, szurające kroki z długą pauzą między jednym a drugim. Najpierw wydawały się

ukradkowe. Potem już tylko bardzo, bardzo zmęczone. Starsuszek próbuje się dostać do swego ostatniego w życiu fotela, Zatem było nas dwóch. A potem, zupełnie bez powodu, pomyślałem sobie o ojcu Orfamay. tam, na werandzie w Manhattan, Kansas, jak idzie powoli do swojego bujanego fotela z zimną fajką w rękę, siada, patrzy na trawnik i pali sobie, oszczędnie, bez zapalek i tytoniu, zupełnie nie niszcząc dywanu w salonie. Poprawiłem mu fotel. Pomogłem mu usiąść w cieniu, w kącie werandy, gdzie gęsto rosły bougainville. Podniósł głowę i podziękował mi lepszą stroną twarzy. Kiedy się oparł w fotelu, paznokcie zaskrobały o poręczę.

Paznokcie drapały rzeczywiście, ale nic po poręczy żadnego fotela. To było naprawdę. Blisko, po drugiej stronie zamkniętych drzwi wiodących do hallu. Słabe, ciche skrobanie, jakby mały kotek chciał wejść do środka. No, Marlowe, przecież kochasz zwierzątko, idź i wpuść kotka. Ruszyłem. Udało mi się to z pomocą eleganckiej leżanki dla pacjentów, z uchwytami po jednej stronie oraz kilkoma czyściutkimi ręcznikami. Drapanie ustało. Biedny mały kotek koniecznie chce się dostać do środka. W moim oku pojawiła się łza i spłynęła wolno po poranym policzku. Puściłem stół i przeszedłem gładko cztery metry do drzwi. Gdzieś w środku waliło mi serce. A płuca wciąż jeszcze zachowywały się tak, jakby przez parę lat leżały w magazynie. Wziąłem głęboki oddech i chwyciłem za gałkę. Otworzyłem drzwi. Zupełnie w ostatniej chwili przyszło mi do głowy, żeby złapać za rewolwer. Przyszło mi do głowy i na tym koniec. Taki już ze mnie facet, że każdemu pomysłowi wolę się dokładnie przyjrzeć przy świetle dziennym. Tylko że w tym celu musiałbym puścić gałkę. A to było zbyt trudne. Zamiast tego przekręciłem ją i otworzyłem drzwi.

Uczepił się framugi czterema szponami z białego wosku. Oczy miał zapadnięte w głąb na ćwierć cała, szaroniebieskie i szeroko otwarte. Patrzyły na mnie, ale mnie nie widziały. Nasze twarze były o parę centymetrów od siebie. Nasze oddechy spotykały się w pół drogi. Mój był szybki i chrapliwy, jego był odległym szeptem, który jeszcze nie zdążył się zmienić w rżenie. Krew bulgotała mu w ustach i spływała po brodzie. Jakiś impuls kazał mi spojrzeć w dół. Sączyła się wolno po wewnętrznej stronie nogawki spodni, spływała na but, a z buta niespiesznie na podłogę. Była tam już mała kałuża.

Nie było widać, gdzie dostał. Zaszczekał zębami i pomyślałem, że zaraz coś powie albo choćby spróbuje. Ale nie wydał innego odgłosu. Przestał oddychać. Opadła mu szczeka. Potem zaczęło się rżenie. Oczywiście, to wcale nie jest rżenie, to brzmi zupełnie inaczej.

Gumowe obcasy zgrzytnęły po linoleum między dywanem a progiem. Białe palce ześlizgnęły się z framugi. Ciało mężczyzny zaczęło się powoli zwijać i łamać w pół. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Skrzyżowały się. Jego tors obrócił się w powietrzu, jak pływak na fali, i padł na mnie.

W tym samym momencie jego drugie ramię, to, którego nic było widać, podniosło się i zatoczyło łuk niczym galwanizowane, bo nie krył się za tym już żaden żywy odruch. Gdy sięgałem po niego, opadło na moje lewe ramię. Pszczoła ukłuła mnie między łopatki. Poza butelką alkoholu, którą trzymałem, coś jeszcze rąbnęło w podłogę i potoczyło się pod ścianę.

Zacisnąłem mocno zęby, rozstawiłem nogi i złapałem go pod rękę. Ważył tyle co pięciu ludzi. Zrobiłem krok do tyłu i próbowałem go utrzymać. Jakbym podnosił zrąbane drzewo. Przewróciłem się razem z nim. Jego głowa walnęła o ziemię. Nic nic mogłem na to poradzić, mnie też niewiele brakowało. Wyprostowałem go trochę i wydostałem się spod niego. Podniosłem się na kolana, pochyliłem się i słuchałem. Rżenie ustało. Zapadła długa cisza. Potem usłyszałem stłumione westchnienie, bardzo spokojne, słabe, niespieszne. Znowu cisza. Jeszcze jedno, jeszcze wolniejsze westchnienie, leniwe i spokojne, jak letni wietrzyk wśród kiwających się róż.

Coś stało się z jego twarzą, i za nią, ta nieokreślona rzecz, która zdarza się zawsze w tej zdumiewającej i nieuchwytnej chwili, gdy wszystko się wygładza, gdy wracamy przez wszystkie lata do czasów niewinności. W twarzy było teraz niejasne, skryte rozbawienie, prawie łobuzerski uśmieszek w kącikach warg. Wszystko to zresztą było zupełnie głupie, ponieważ doskonale wiedziałem, i to lepiej niż cokolwiek w życiu, że Orrin P. Quest nie był tego rodzaju chłopcem.

W oddali zawyła syrena. Wciąż klęcząc, nasłuchiwałem. Wyła ciągle, oddalając się. Wstałem, podszedłem do okna i wyjrzałem. Przed Domem Pokoju pod Wieńcem formował się następny kondukt. Na ulicy znowu było pełno samochodów. Ludzie szli powoli alejką wzdłuż różanych krzewów. Bardzo wolno — mężczyźni z kapeluszami w dłoniach na długo przedtem,

zanim doszli do małego ganku w stylu kolonialnym.

Opuściłem zasłonę, podszedłem i podniosłem z ziemi butelkę alkoholu etylowego, wytarłem ją chusteczką i odłożyłem na bok. Alkohol już mnie nie interesował. Znowu pochyliłem się, a ukąszenie pszczoły między łopatkami przypomniało mi, że mam podnieść z ziemi coś jeszcze. To coś z okrągłą, białą drewnianą rączką, co leżało pod ścianą. Kolec do lodu, bardzo ostro spiłowany, najwyżej trzy cale długości. Podniosłem go do światła i obejrzałem sobie ostry koniec. Był na nim — albo nie — ślad mojej krwi. Przesunąłem lekko palcem po czubku. Nie było krwi. Czubek był bardzo ostry.

Popracowałem jeszcze trochę chusteczką, po czym pochyliłem się i wetknąłem kolec do lodu w prawą rękę, białą i woskową na tle matowego, puszystego dywanu. Robiło to zbyt sztuczne wrażenie. Potrząsnąłem ręką, żeby kolec potoczył się po podłodze. Pomyślałem, żeby mu przeszukać kieszenie, ale bardziej bezwzględna ręka już to pewnie zrobiła.

W nagłym porywie paniki przeszukałem natomiast własne. Niczego mi nie zabrano. Nawet Luger pod ramieniem został na swoim miejscu. Wyciągnąłem go i powąchałem. Nie wystrzelono z niego, czego mogłem się domyślić i bez sprawdzania. Kiedy wypalą do ciebie z Lugera, nie idziesz potem na spacer,

Przestąpiłem ciemną, czerwoną kałużę za progiem i rozejrzałem się po korytarzu. Dom był w dalszym ciągu cichy, czekał. Po śladach krwi doszedłem do pokoju na tyłach domu. Kanapa, biurko, parę książek medycznych i pism, popielniczka, a w niej pięć grubych, spłaszczonych petów. Metaliczny błysk pod nogą tapczanu okazał się łuską od naboju z automatu kaliber 32. Pod biurkiem znalazłem drugą. Wsadziłem je do kieszeni.

Poszedłem schodami na górę. Były tam dwie sypialnie, obie w użyciu, z tego jedna dość dokładnie oczyszczona z ubrań. W popielniczce leżało jeszcze kilka płaskich petów doktora Lagardie. W drugiej sypialni była skromna garderoba Orrina Questa — jego drugi garnitur i płaszcz wisiały porządnie w szafie, koszule, skarpetki i bielizna również porządnie w szufladach komody. Pod koszulami z tyłu znalazłem Leicę i obiektyw F 0,2.

Zostawiłem to wszystko na miejscu, po czym zszedłem z powrotem schodami do pokoju, gdzie leżał martwy mężczyzna, całkowicie obojętny wobec tych drobiazgów. Wytarłem jeszcze kilka gałek od drzwi, z najczystszej perwersji, zawahałem się nad telefonem w poczekalni, ale wyszedłem, nie dotykając go. Fakt, że nadal chodziłem na własnych nogach, dowodził niezbicie, że dobry doktor Lagardie nikogo nie zabił.

Ludzie wciąż jeszcze drapali się w górę alejką ku przedziwnie małemu gankowi zakładu pogrzebowego naprzeciwko. W środku stękały organy.

Obszedłem róg domu, wsiadłem do samochodu i odjechałem. Jechałem wolno i oddychałem ciężko, z samego dna płuc, ale ciągle nie mogłem się nawdychać dość tlenu.

Bay City kończy się mniej więcej cztery mile od oceanu. Zatrzymałem się przed ostatnim drugstorem. Czas na jeszcze jeden z moich anonimowych telefonów. Wpadnijcie i zabierzcie sobie zwłoki, chłopcy. Kto ja jestem? A taki jeden szczęściarz, który ciągle je dla was znajduje. I do tego skromny. Nie chcę nawet, żeby wymieniano moje nazwisko.

Popatrzyłem na drugstore i zajrzałem do środka przez frontowe okno. Dziewczyna w skośnych okularach czytała pismo ilustrowane. Wyglądała trochę jak Orfamay Ouest. Coś złapało mnie za gardło.

Wcisnąłem sprzęgło i pojechałem dalej. W końcu miała prawo wiedzieć pierwsza — w zgodzie z prawem czy nie. I tak byłem już daleko poza granicami prawa.

Zatrzymałem się przed drzwiami biura z kluczem w ręku. Potem podszedłem bezgłośnie korytarzem do drugich drzwi, tych, które są zawsze otwarte, i nasłuchiwałem. Mogła tu już być, może czekała — oczy błyszczące za skośnymi okularami i małe, wilgotne usteczka, które chcą być całowane. Będę musiał powiedzieć jej coś gorszego, niż mogło jej się przyśnić, a potem pójdzie

sobie i nigdy więcej jej nie zobaczę.

Nie słyszałem nic. Wróciłem, otworzyłem drugie drzwi, pozbierałem pocztę, zaniósłem ją i rzuciłem na biurko. Nie było tam nic, co pozwoliłoby mi urosnąć we własnych oczach. Zostawiłem więc listy i poszedłem przekręcić zatrzask w drugich drzwiach; po długiej chwili otworzyłem je i wyjrzałem. Cisza i pustka. U moich stóp leżała poskładana kartka papieru. Ktoś wsunął ją pod drzwi. Podniosłem ją i rozłożyłem.

„Proszę do mnie zadzwonić, do domu. Bardzo pilne. Muszę się z panem zobaczyć”. Podpisane było „D”.

Wykręciłem numer Chatcau Bercy i poprosiłem pannę Gonzales. Kto dzwoni, przepraszam? Chwileczkę, panie Marlowe. Dryń, dryń, dryń.

– Słucham?

– Trochę dziś ciężko brzmi ten południowy akcent...

– Ach, to pan, *amigo*. Czekałam tak długo w tym pana śmiesznym biurze. Czy może pan tu przyjechać i porozmawiać ze mną?

– To niemożliwe, czekam na telefon.

– No to czy ja mogę przyjechać do pana?

– A o co chodzi?

– Nie mogę przez telefon, *amigo*.

– Dobra, niech pani przyjeżdża.

Siedziałem i czekałem na dzwonek telefonu. Ale telefon nie dzwonił. Wyjrzałem przez okno. Na bulwarze kłębił się tłum, kuchnia w kawiarni naprzeciwko wydychała przez wentylator zapachy swoich specjalności. Czas mijał, a ja siedziałem zgarbiony nad biurkiem, z brodą w dłoni, gapiąc się na musztardowożółtą ścianę naprzeciwko; na jej tle widziałem niewyraźny kształt umierającego człowieka, z kolcem do lodu w rękę, i czułem jego żądło między łopatkami. To niebawem, co Hollywood jest w stanie zrobić z byle kim. Z pospolitej flądry, która powinna prasować koszule mężowi szoferakowi, robi promienną gwiazdę ekranu, a z przerośniętego gówniarza, który nadaje się najwyżej na kelnera, robi supermena z błyskiem w oku i jasnym uśmiechem, aż cuchnącym od seksu. Z kelnerki z Teksasu, inteligentnej i wykształconej jak postaci z komiksów, czyni międzynarodową kurtyzanę, sześciokrotnie zameżną z milionerami, tak zblazowaną i zepsutą, że szukając nowych wrażeń, uwiedzie w końcu tragarza w przeupoconym podkoszulku.

Można także wziąć sobie małomiasteczkowego świrusa, jak Orrin Owest, i zdalnie nim sterując, zrobić z niego w parę miesięcy specjalistę od kolca do lodu, wynosząc jego pospolitą podłość na wyżyny klasycznego sadyzmu, godnego wielokrotnego mordercy.

Dotarcie tutaj zajęło jej niewiele ponad dziesięć minut. Usłyszałem, jak się drzwi otwierają i zamykają, wszedłem do poczekalni i znalazłem ja tam, Panamerykańską Gardenię. Dostałem nią prosto między oczy. Jej oczy były głębokie, ciemne i nie uśmiechały się.

Była cała na czarno, jak poprzedniego wieczora, tym razem jednak w kostiumie uszytym na zamówienie, w szerokim, czarnym słomkowym kapeluszu zsuniętym zawadiacko na jedną stronę, z kołnierzykiem białej jedwabnej bluzki wyłożonym na kołnierz kostiumu, z szyją brązową i smukłą, z ustami tak czerwonymi jak nowiutki wóz strażacki.

– Czekałam długo — odezwała się. — Nie jadłam lunchu.

– Ja już jadłem — powiedziałem. — Cyjanek. Bardzo pożywne. Dopiero co zeszło ze mnie trochę tego niebieskiego odcienia.

– Nie jestem dziś w nastroju do żartów, *amigo*.

– Nie musi mnie pani bawić — powiedziałem. — Sam się świetnie bawię. Mam taki numer „Mały braciszek”, aż się sam tarzam ze śmiechu. Wejdźmy.

Weszliśmy do mojej świątyni dumania i usiedliśmy.

– Zawsze się pani ubiera na czarno? — spytałem.

– Ależ tak. To bardziej podniecające, kiedy się rozbieram.

– Czy musi pani mówić jak kurwa?

– Niewiele wiesz o kurwach, *amigo*. Są to zawsze damy otoczone głębokim szacunkiem.

Oczywiście z wyjątkiem tych najtańszych.

– Tak... — powiedziałem. — Dziękuję za informację. Co to za taka pilna sprawa, o której natychmiast musimy porozmawiać? Chyba nie chodzi o to, żeby pójść z panią do łóżka. To da się zrobić zawsze.

– W podłym jest pan nastroju.

– Zgoda, jestem w podłym nastroju.

Wyciągnęła z torebki jednego ze swoich długich, brązowych papierosów i wsunęła go starannie do złotych szczypczyków. Poczekała, aż podam jej ogień. Nie zrobiłem tego, więc zapaliła sobie sama złotą zapalniczką.

Trzymała papierosa w dłoni w czarnej rękawiczce i gapiała się na mnie bezdennymi, czarnymi oczami, w których nie było teraz ani cienia uśmiechu.

– Czy pan ma ochotę pójść ze mną do łóżka?

– Każdy by miał. Ale seks na razie zostawmy.

– Nie oddzielam tak stanowczo seksu od interesów — powiedziała spokojnie. — I nie zdoła mnie pan upokorzyć. Seks to siatka, w którą łapię durniów. Niektórzy są użyteczni i hojni. Czasami zdarzy się także ktoś niebezpieczny.

Przerwała i zamyśliła się.

– Jeżeli czeka pani, aż powiem coś, co będzie wskazywało, że wiem, kim jest jeden taki facet, to dobra, wiem, kto to jest.

– Może pan tego dowieść?

– Chyba nie. Gliny nie umiały.

– Gliny — powiedziała z pogardą. — Gliny nie zawsze mówią wszystko, co wiedzą. I nie zawsze dowodzą wszystkiego, czego mogą dowieść. Wie pan zapewne, że w lutym siedział przez dziesięć dni w więzieniu.

– Wiem.

– Czy nie wydało się to panu dziwne, że nie wyszedł za kaucją?

– Nie wiem, co na niego mieli. Jeżeli był im potrzebny jako świadek koronny...

– Nie sądzi pan, że gdyby chciał, mógł spowodować zmianę kwalifikacji na coś, przy czym działa kaucja?

– Nie myślałem o tym zbyt wiele — skłamałem. — Nie znam człowieka

– Nigdy pan z nim nie rozmawiał? — spytała mimochodem. Trochę zanadto mimochodem.

Nie odpowiedziałem, Roześmiała się krótko.

– Wczoraj wieczorem, amigo. Przed mieszkaniem Mavis Weld. Siedziałam w samochodzie po drugiej stronie ulicy.

– Może wpadłem na niego przypadkiem. To był ten facet?

– Niech mnie pan nie nabiera.

– W porządku. Panna Weld była dla mnie bardzo surowa. Wyszedłem wściekły. I nagle spotykam tego typka z kluczem w ręku, wrywam mu go i rzucam w krzaki, potem przepraszam i podnoszę. Wydał mi się całkiem sympatyczny.

– Barrrrdzo sympatyczny — powiedziała przeciągle. — Był kiedyś i moim chłopcem.

Odchrząknąłem.

– To może dziwne, ale zupełnie nie interesuje mnie pani życie uczuciowe, panno Gonzales.

Przyjąłem jedynie do wiadomości, że ma ono ogromny zasięg, od Steina do Steelgrave'a.

– Stein? — spytała cicho. — Kto to jest Stein?

– Gangster z Cleveland, którego zastrzelono w lutym przed pani domem. Miał tam mieszkanie.

Myślałem, że go pani poznała.

Zaśmiała się srebrzyście.

– *Amigo*, są jeszcze tacy mężczyźni, których nie znam. Nawet w Chateau Bercy.

– Akta podają, że oberwał dwie ulice stamtąd — powiedziałem. — Ja wołałbym, żeby to się stało dokładnie naprzeciwko. A pani patrzyła przez okno i widziała to. Widziała pani zabójcę, jak ucieka i pod latarnią odwraca się, światło oświetla mu twarz i niech mnie szlag trafi, jeżeli to nie nasz stary kumpel Steelgrave. Poznała go pani po sztucznym nosie i po tym jego wysokim kapeluszu z

gołabkami.

Nie roześmiała się.

– Tak by pan wołał — zamruczała.

– Gdyby tak było, moglibyśmy zrobić jeszcze większą forszę.

– Ale Steelgrave siedział w więzieniu — uśmiechnęła się. — A nawet jeśli nie siedział w więzieniu, nawet jeżeli przypadkiem znam dobrze doktora Chalmersa, który był wówczas lekarzem więziennym i który mi powiedział w chwili intymnej, że dał Steelgrave'owi przepustkę do dentysty — oczywiście ze strażnikiem, ale strażnik był rozsądny — właśnie tego dnia, kiedy zastrzelono Steina... Nawet gdyby to była prawda, to czy nie szkoda takiej informacji tylko na szantażowanie Steelgrave'a?

– Nie cierpię zadawać szyku — powiedziałem — ale nie boję się Steelgrave'a ani nawet tuzina Steelgrave'ów razem wziętych.

– Ale ja się boję, *amigo*. Świadek porachunków gangsterskich nie jest w tym kraju bezpieczny, Nie, nie będziemy szantażować Steelgrave'a. I nie będziemy mówić o panu Steinie, wszystko jedno, czy go znaleźmy, czy nie. Wystarczy, że Mavis Weld jest bliską przyjaciółką znanego gangstera i pokazuje się z nim publicznie.

– Musielibyśmy najpierw udowodnić, że on jest tym znanym gangsterem.

– A czy nie możemy?

– Jak?

Zrobiła rozczarowaną minę.

– Ależ ja byłam pewna, że właśnie tym się pan ostatnio zajmował.

– Dlaczego?

– Mam swoje osobiste powody.

– Póki pozostają osobiste, nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Wyrzuciła brązowy niedopałek do mojej popielniczki. Pochyliłem się i zdusiłem go końcem ołówka. Dotknęła lekko mojej dłoni ręką w rękawiczce. Jej uśmiech był dokładnym przeciwieństwem środka zniczulającego. Odchyliła się do tyłu i założyła nogę na nogę. W jej oczach zaczęły tańczyć małe światełka. Stanowczo czas jej się dłużył pomiędzy jednym a drugim atakiem.

– Miłość to takie nudne słowo — snuła rozmyślenia. — Zawsze mnie to zdumiewało, że angielski, tak bogaty w poezję miłosną, może się zadowolić tak słabym słowem. Nie ma w nim życia, nie brzmi. Kojarzy mi się z małymi dziewczynkami w pogniecionych letnich sukienkach, z ich małymi, różowymi uśmiezkami, cichutkim, nieśmiałym głosikiem i na pewno w wyjątkowo niezgrabnej bieliźnie.

Nie odezwałem się. Zmieniając ton bez najmniejszego wysiłku znowu stała się rzeczowa.

– Mavis będzie odtąd dostawać siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za film, a potem sto pięćdziesiąt tysięcy. Zaczęła się wspinać i nic jej nie powstrzyma. Najwyżej jakiś fatalny skandal.

– W takim razie ktoś powinien jej powiedzieć, kim jest Steelgrave — odrzekłem. — Czemu pani tego nie zrobi? Przypuśćmy jednak, że mamy te wszystkie dowody. Jeżeli przyprzemy pannę Weld do muru, co wówczas pocznie Steelgrave?

– Czy musi o tym wiedzieć? Wątpię, by ona mu powiedziała. Właściwie jestem prawie pewna, że dosyć szybko by z nim zerwała. Dla nas nie miałyby to jednak najmniejszego znaczenia gdybyśmy mieli nasz dowód. I gdyby ona o tym wiedziała.

Jej czarna dłoń posunęła się w stronę czarnej torebki, zatrzymała się, lekko zabębniła palcami o brzeg biurka, po czym wróciła i opadła swobodnie na kolana. Panna Gonzales nie spojrzała nawet na torebkę. Ja też nie.

Wstałem.

– A jeżeli przypadkiem mam jakieś zobowiązania wobec panny Weld? Czy zastanowiła się pani nad tym?

Po prostu się uśmiechnęła.

– No więc gdyby tak było — powiedziałem — to nie sądzi pani przypadkiem, że już najwyższy czas, żeby się pani zabierała do jasnej cholery z mojego biura?

Położyła ręce na oparciu fotela i zaczęła bardzo wolno wstawać, nie przestając się uśmiechać.

Zgarnąłem torebkę, zanim zdążyła zmienić kierunek. Jej oczy wypełniły się nagłym blaskiem.

Wydała z siebie jakiś jadowy odgłos.

Otworzyłem torebkę, przeszukałem ją i znalazłem białą kopertę, która wyglądała dziwnie znajomo. Wyjąłem z niej zdjęcie z „Tancerzy”, dwa kawałki były do siebie dopasowane i naklejone na kartkę papieru.

Zamknąłem torebkę i rzuciłem jej z powrotem.

Stała już, jej usta były rozchylone i ukazywały zęby. Było bardzo cicho.

– Interesujące — powiedziałem i stuknąłem palcem w lśniącą powierzchnię odbitki. — Jeżeli to nie fotomontaż. Czy to Steelgrave?

Jej srebrzysty śmiech zadźwięczał znowu.

– Śmieszna z ciebie postać, amigo. Naprawdę. Nie wiedziałam, że jeszcze się zdarzają tacy faceci.

– To przedwojenne rezerwy — powiedziałem. — Z każdym dniem nas ubywa. Skąd pani to ma?

– Z torebki Mavis Weld z garderoby. Kiedy Mavis Weld była na planie.

– Wie?

– Nie wie.

– Ciekawe, skąd ona to ma.

– Od pana.

– Bzdura. — Podniosłem brwi na parę cali. — Skąd ja miałbym to mieć?

Wyciągnęła przez biurko rękę w rękawiczce. Jej głos był lodowaty.

– Proszę mi to oddać.

– Oddam to Mavis Weld. I strasznie mi przykro, ale muszę to pani powiedzieć, panno Gonzales, nigdy nie zrobię kariery jako szantażysta. Po prostu nie mam dostatecznie pociągającej osobowości.

– Oddaj mi to! — powiedziała ostro. — Jeżeli nie...

Ucieła. Poczekalem, aż skończy. Na jej gładkim obliczu ukazał się wyraz pogardy.

– Doskonale — powiedziała. — Mój błąd. Myślałam, że z ciebie spryciarz. A ty po prostu jesteś zwyczajnym głupim szpiclem. Ten nędzny lokalik — machnęła czarną ręką — i to nędzne życie, które tu prowadzisz, powinny mi być od razu powiedzieć, co z ciebie za idiota.

– I mówią — powiedziałem.

Odwróciła się wolno i ruszyła w stronę drzwi. Obszedłem biurko. Pozwoliła, żebym jej otworzył.

Wyszła powoli, Zrobiła to w sposób, którego nie można się nauczyć na wyższych studiach.

Poszła korytarzem nie oglądając się za siebie. Miała piękny chód.

Drzwi odbiły się od pneumatycznej instalacji i bardzo cicho stuknął zamek. Jakoś strasznie długo to trwało. Stałem tak i patrzyłem, jakbym nigdy tego dotąd nie widział. Potem odwróciłem się i podszedłem do biurka i właśnie wtedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i odezwałem się. To był Christy French.

– Marlowe? Chcielibyśmy zobaczyć cię tu w komendzie.

– Zaraz?

– Albo jeszcze szybciej — powiedział i odłożył słuchawkę.

Wyciągnąłem spod bibularza sklejoną odbitkę i wsadziłem ją do sejfów razem z tamtymi. Włożyłem kapelusz i zamknąłem okno. Nie było na co czekać. Spojrzałem na zielony punkcik na wskazówce zegarka. Do piątej było dużo czasu. Wskazówka sunęła dookoła tarczy, jak komiwojażer od drzwi do drzwi. Było dziesięć po czwartej. Pomyśleć, że już by do tej pory zadzwoniła. Zdjąłem z siebie płaszcz, odpiąłem kaburę z ramienia i zamknąłem ją razem z Lugerem w szufladzie biurka. Gliny nie lubią, kiedy nosisz broń na ich terytorium. Nawet jeżeli masz na to pozwolenie. Lubią, kiedy przychodzisz do nich pokorny, z kapeluszem w garści, kiedy mówisz cicho i grzecznie, a w oczach masz pełno niczego.

Znowu spojrzałem na zegarek. Nasłuchiwałem. Budynek wydawał się spokojny tego popołudnia. Za chwilę zapadnie zupełna cisza i wówczas nadejdzie Madonna mokrej szmaty, będzie szurała po korytarzu i sprawdzała klamki.

Znowu włożyłem płaszcz, zamknąłem wewnętrzne drzwi, wyłączyłem brzęczyk i wyszedłem na korytarz. Wtedy zadzwonił telefon. Biegając do niego o mało nie wyważyłem drzwi. To był jej głos, ale był w nim ton, którego dotąd jeszcze nie słyszałem. Zimny, zrównoważony, nie beznamiętny,

pusty ani martwy, ani nawet dziecinny. Po prostu głos dziewczyny, której nie znałem, choć znałem. Co to było, w tym głosie, dowiedziałem się, zanim zdążyła wypowiedzieć trzy słowa.

– Zadzwońłam, bo mi pan tak polecił — powiedziała, — Ale nie musi mi pan nic mówić.

Pojechałam tam.

Trzymałem słuchawkę obydwoma rękami.

– Pojechała pani tam — powiedziałem. — Tak. Słyszę, I co?

– Pożyczyłam samochód — powiedziała. — Zaparkowałam po drugiej stronie. Było tam tyle samochodów, że nigdy by mnie pan nie zauważył. Tam jest zakład pogrzebowy. Nie śledziłam pana. Spróbowałam pojechać za panem, kiedy pan wyszedł, ale nie znam zupełnie tych ulic. Zgubiłam pana. Więc wróciłam.

– Po co pani wróciła?

– Sama nie wiem. Pomyślałam sobie, że jakoś tak dziwnie pan wyglądał, kiedy pan stamtąd wychodził. A może po prostu miałam przecucie. Przecież to mój brat i w ogóle. Więc wróciłam i zadzwoniłam. I nikt nie otwierał. Pomyślałam sobie, że to też dziwne. Może mam jakiś zmysł albo co. Ale nagle poczułam, że koniecznie muszę tam wejść. Nie wiedziałam jak, ale musiałam.

– Zdarzało mi się to — powiedziałem, i to nawet był mój głos, ale ktoś chyba używał mojego języka jako papieru ściernego.

– Zadzwońłam na policję i powiedziałam, że słyszałam strzały — ciągnęła. — Przyjechali i jeden z nich wszedł do domu przez okno. Potem wpuścił tego drugiego. Za chwilę wpuścili mnie. Nie pozwalali mi odejść. Musiałam im wszystko opowiedzieć, kim był, i że skłamałam o tych strzałach, ale się bałam, że coś się stało Orrinowi. I musiałam opowiedzieć o panu też.

– W porządku — powiedziałem. — Sam bym im powiedział, kiedy tylko powiedziałbym o tym pani.

– To chyba trochę niewygodne dla pana, prawda?

– Tak.

– Aresztują pana czy coś w tym rodzaju?

– Mogą.

– Zostawił go pan tam, na podłodze. Martwego. Pewnie pan musiał, co?

– Miałem powody — powiedziałem. — Nie brzmi to zbyt dobrze, ale miałem. Jemu i tak już było wszystko jedno.

– O tak, na pewno miał pan powody — powiedziała. — Pan jest sprytny. Zawsze ma pan powody, żeby robić różne rzeczy. No cóż, myślę, że policji będzie pan musiał podać te swoje powody.

– Niekoniecznie.

– O tak, na pewno — powiedział głos i był w nim akcent satysfakcji, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć. — Będzie pan musiał. Zmuszą pana.

– Nie będziemy dyskutować na ten temat — powiedziałem. — W moim zawodzie robimy wszystko, żeby osłaniać klienta. Czasami trzeba się posunąć za daleko. Właśnie to zrobiłem. Postawiłem się w takiej sytuacji, że mogą mi za to dołożyć. Ale nie chodziło tu wyłącznie o panią.

– Zostawił go pan tam, na podłodze, martwego — powiedziała. — I wszystko mi jedno, co panu za to zrobią. Jeżeli wsadzą pana do więzienia, to myślę, że mi się to nawet spodoba. Założę się, że będzie pan okropnie dzielny.

– Pewnie — powiedziałem. — Zawsze ten sam czarujący uśmiech. Widziała pani, co miał w ręku?

– Nic nie miał w ręku.

– No, niech będzie obok ręki, na podłodze.

– Nic tam nie było. Nie było zupełnie nic. A co miało być?

– Doskonale — powiedziałem. — Bardzo się z tego cieszę. No, do widzenia. Jadę teraz na komendę. Chcą się ze mną zobaczyć. Życzę szczęścia, jeżeli się już nie spotkamy.

– Niech pan to szczęście zatrzyma dla siebie — powiedziała. — Może się panu przydać. A mnie i tak nic po pańskich życzeniach.

– Zrobiłem dla pani, co mogłem — powiedziałem. — Może gdyby dała mi pani od początku trochę więcej informacji...

Odłożyła słuchawkę, kiedy to mówiłem.

I ja odłożyłem, tak delikatnie, jakby to było niemowlę. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem dłonie. Podszedłem do umywalki i obmyłem sobie twarz i ręce. Prysnałem sobie zimną wodą w twarz, wytarłem ją mocno ręcznikiem i spojrzałem na siebie w lustrze.

– Zdaje się, że naprawdę skoczyłeś w tę przepaść — powiedziałem do twarzy.

24

W samym środku pokoju stał długi, żółty dębowy stół. Miał krawędzie rzeźbione nierówno śladami po papierosach. Za nim było okno z groszkowanego szkła, osłonięte drucianą siatką.

Za stołem, z kupą porzucanych bezładnie papierów przed nosem, siedział detektyw Fred Beifus. Na końcu stołu, na odchylonym do tyłu krześle, wspartym na dwóch nogach, siedział wysoki, krzepki mężczyzna, którego twarz była mi jakby znajoma; widziałem ją na zdjęciu w gazecie. Szczękę miał jak ławka w parku. Trzymał między zębami koniec grubego, ciesielskiego ołówka. Zdaje się, że nie spał i oddychał, poza tym jednak wyłącznie siedział.

Po przeciwnej stronie były dwa biurka z opuszczonymi żaluzjami i drugie okno. Jedno z biurek stało tyłem do okna. Przy stoliku obok siedziała kobieta z pomarańczowymi włosami i pisała na maszynie raport. Przy drugim biurku, bokiem do okna, na obrotowym fotelu z ukośnym oparciem siedział Christy French, trzymając nogi na rogu biurka. Wyglądał przez otwarte okno, które ukazywało fascynujący widok na parking policyjny i tyły wielkiej tablicy ogłoszeniowej.

– Siadaj tutaj — powiedział Beifus, pokazując palcem.

Siadłem naprzeciwko niego w prostym, dębowym krześle bez poręczy. Nie było nowe, a kiedy jeszcze było, nie było piękne.

– To jest porucznik Moses Maglashan z policji Bay City — powiedział Beifus. — Nie kocha cię ani trochę bardziej niż my.

Porucznik Moses Maglashan wyjął z ust ołówek i spojrzał na ślady zębów na grubym, ośmiokątnym kawałku drewna. Potem popatrzył na mnie. Jego oczy przesunęły się po mnie wolno, badawczo, zanotowały, co trzeba, skatalogowały wszystko. Nie odezwał się. Włożył ołówek z powrotem do ust.

– Może jestem nienormalny — powiedział Beifus — ale według mnie nie masz więcej seksapilu niż stary żółw. — Obrócił się do maszynistki siedzącej w rogu. — Millie.

Wstała od maszyny i wzięła do ręki notes do stenografowania.

– Nazywa się Philip Marlowe — powiedział Beifus. — Na końcu „e”, jeżeli jesteś drobiazgowy. Numer licencji?

Spojrzał na mnie. Powiedziałem mu. Pomarańczowa gwiazda napisała to nie podnosząc wzroku. Gdybym powiedział, że miała twarz, na widok której nawet zegar by stanął, mogłaby się poczuć obrażona. Na jej widok koń w galopie stanąłby jak wryty.

– A teraz, jeśli jesteś w nastroju — powiedział Beifus — mógłbyś ewentualnie zacząć od początku i powiedzieć to wszystko, co opuściłeś wczoraj. Nic nie sortuj. Po prostu naturalny potok słów.

Dość mamy materiału, żeby to sprawdzić po drodze.

– Chcecie, żebym złożył wyjaśnienie?

– Kompletnie i pełne wyjaśnienie — powiedział Beifus. — Skonać można, co?

– Ma to być wyjaśnienie dobrowolne i bez przymusu?

– Pewnie. Jak zawsze. — uśmiechnął się Beifus.

Maglashan przyglądał mi się, nieruchomo przez chwilę.

Pomarańczowa gwiazda wróciła do maszyny. Na razie nie miała jeszcze nic do roboty. Trzydzieści lat tej pracy nauczyło ją gospodarować czasem.

Maglashan wyjął z kieszeni zniszczoną rękawiczkę, ze świńskiej skóry, włożył ją na prawą rękę i rozprostował palce.

– Po co to? — spytał Beifus.

– Czasami obgryzam paznokcie — powiedział Maglashan. — Zabawne. Tylko u prawej ręki. —

Podniósł wolno oczy i utkwił je we mnie. — Niektórzy faceci są bardzo dobrowolni — powiedział mimochodem. — Podobno to sprawa nerek. Znałem takich, co nic byli zanadto dobrowolni, a potem, kiedy już się zrobili dobrowolni, musieli tygodniami latać do kibla co piętnaście minut. Jakoś nie mogli się powstrzymać.

— Proszę, proszę — powiedział Beifus, zamyślony.

— Są jeszcze tacy, co nie mogą mówić głośno, tylko szeptem — ciągnął Maglashan. — Jak ci bokserzy, co tyle oberwali, że im się bez przerwy w głowie kręci.

Maglashan spojrział na mnie. Zdaje się, że była moja kolej.

— A są jeszcze tacy, co w ogóle nie chodzą do kibla — powiedziałem. — Za bardzo się starają. Siedzą na takim krześle przez trzydzieści godzin bez przerwy. Potem spadają z niego i pęka im od tego śledziona albo pęcherz. Przesadzają z tą współpracą. A o wschodzie słońca, kiedy się wypróżnia kibla, znajdują ich martwych w jakimś ciemnym kącie. Może powinni byli pójść do doktora, ale przecież wszystkiego nie może pan przewidzieć, prawda, poruczniku?

— My, w Bay City nieźle przewidujemy — powiedział. — Kiedy mamy materiał do przewidywania.

Po obu stronach jego szczęki pojawiły się twarde guzy. W oczach czerwony blask.

— Ślicznie bym się z tobą zabawił — powiedział, gapiąc się na mnie. — Prześlicznie.

— Jestem tego pewien, poruczniku. Zawsze doskonale się bawiłem w Bay City, oczywiście póki byłem przytomny.

— O, u mnie długo byłbyś przytomny, kochasiu. Zatoszczyłbym się o to. Dołożyłbym wszelkich starań.

Christy French odwrócił powoli głowę i ziewnął.

— Skąd wy z Bay City jesteście tacy twardzi? — spytał. — Peklujecie sobie jaja w słonej wodzie czy co?

Beifus wystawił czubek języka i przesunął nim po wargach.

— Zawsze byliśmy twardzi — powiedział Maglashan, nie patrząc na niego. — Lubimy być twardzi. Tacy figlarze, jak ten tutaj, nie dają nam wypaść z formy. — Zwrócił się w moją stronę. — To ty jesteś ten kochaś, co zadzwonił w sprawie Clausena. Nieźle sobie poczynasz z telefonem, co, kochasiu!

Nie odpowiedziałem.

— Mówię do ciebie, kochasiu — powiedział Maglashan. — Zapytałem cię o coś, kochasiu. Kiedy ja o coś pytam, to się odpowiada, dotarło do ciebie, kochasiu?

— Gadaj tak dalej, a sam sobie będziesz odpowiadał — powiedział Christy French. — A jak ci się nie spodoba odpowiedź, to będziesz taki twardziel, że sam sobie dasz po ryju tą rękawiczką. Tylko żeby dowieść swego.

Maglashan wyprostował się. Czerwone plamy jak półdolarówki wyszły mu na policzki.

— Przyszedłem tutaj po pomoc i współpracę — powiedział wolno do Frencha. — Opierdalanie mam u siebie w domu, od żony. Tutaj nikt mnie nie będzie pouczał.

— Będziesz miał pomoc i współpracę — odparł French. — Tylko nie próbuj rznąć gwiazdy z tym twoim filmowym dialogiem. — Obrócił się na krześle i spojrział na mnie. — Weźmy teraz czystą kartkę i zabawimy się tak, jakbyśmy właśnie zaczęli śledztwo. Znam wszystkie twoje argumenty. Nie mnie o nich sądzić. Chodzi tylko o to, czy wolisz gadać, czy mam cię zatrzymać jako koronnego świadka?

— Pytajcie — powiedziałem. — Jeżeli moje odpowiedzi nie przypadną wam do gustu, zawsze możecie mnie zatrzymać. A kiedy mnie zatrzymacie, to ja mogę jeszcze wykonać telefon.

— Zgadza się — powiedział French. — O ile cię zatrzymamy. Ale możemy się też pobawić w formalności. A to potrwa parę dni.

— Parę dni na wywołanie z puszkki — wetknął radośnie Beifus.

— Mówiąc ściśle, nie byłoby to zupełnie legalne — powiedział French. — Ale robimy to bez przerwy. Zupełnie jak ty zrobiłeś parę rzeczy, których nie powinieneś. Czy twoim zdaniem wszystko to było legalne?

— Nie.

Maglashan wydał gardłowy okrzyk:

– Ha!

Spojrzałem na pomarańczową gwiazdę, która wróciła do swojego notatnika, milcząca i obojętna.

– Miałeś klienta, którego musiałeś chronić — powiedział French.

– Może.

– To znaczy, że miałeś klienta. Ale ona cię sypnęła.

Nie odpowiedziałem.

– Nazywa się Orfamay Quest — powiedział French, patrząc na mnie.

– Pytaj — powiedziałem.

– Co się stało tam na Idaho Street?

– Poszedłem tam szukać jej brata. Powiedziała, że się stamtąd wyprowadził, a ona właśnie przyjechała, żeby się z nim zobaczyć. Była zdenerwowana. Clausen był zbyt pijany, żeby się można było z nim dogadać. Przejrzałem książkę meldunkową i stwierdziłem, że kto inny wprowadził się do pokoju Questa. Porozmawiałem z tym facetem. Nie powiedział mi nic istotnego.

French sięgnął i wziął do ręki ołówek, a następnie postukał się nim w zęby.

– Widziałeś kiedy znowu tego faceta?

– Tak. Powiedziałem mu, kim jestem. A kiedy zszedłem na dół, Clausen nie żył. Ktoś także wyrwał kartkę z książki meldunkowej. Tę kartkę z nazwiskiem Questa, zadzwoniłem na policję.

– Ale nie zostałeś na miejscu.

– Nie miałem żadnych informacji na temat śmierci Clausena.

– Ale nie zostałeś na miejscu — powtórzył French. Maglashan wydał jakiś dziki bulgot i rzucił swoim ołówkiem przez cały pokój. Patrzyłem, jak ołówek odbija się od ściany, od podłogi i wreszcie nieruchomieje.

– Zgadza się — powiedziałem.

– W Bay City — rzekł Maglashan — moglibyśmy cię za to zamordować.

– W Bay City moglibyście mnie zamordować za kolor krawata — powiedziałem.

Zaczął wstawać. Beifus spojrzał na niego z ukosa i powiedział:

– Niech Christy się tym zajmie. Zawsze jeszcze będziesz miał okazję.

– Moglibyśmy cię za to załatwić — powiedział French beznamiętnie.

– Uznajmy zatem, że jestem załatwiony — powiedziałem. — I tak nigdy nie lubiłem specjalnie tego biznesu.

– No więc wróciłeś do biura. Co potem?

– Zameldowałem o wszystkim klientce. Potem zadzwonił do mnie jakiś facet i kazał mi przyjechać do .hotelu Van Nuysa. To był ten sam facet, z którym rozmawiałem na Idaho Street, ale miał inne nazwisko.

– Mogłeś nam to wtedy powiedzieć, nie?

– Gdybym to zrobił, musiałbym powiedzieć wszystko. A to naruszyłoby warunki, na jakich zostałem wynajęty.

French kiwnął głową i postukał w ołówek. Powiedział wolno:

– Morderstwo unieważnia takie warunki. Dwa morderstwa powinny to zrobić podwójnie. A dwa morderstwa tą samą techniką to już w ogóle potrójnie. Fatalnie wyglądasz, Marlowe. Naprawdę bardzo niedobrze.

– Po tym, co się stało dzisiaj — powiedziałem — nawet wobec klientki wyglądam fatalnie.

– Co się dzisiaj stało?

– Powiedziała mi, że brat zadzwonił do niej z domu tego lekarza, doktora Lagardie. Że brat jest w niebezpieczeństwie. Miałem tam szybko pojechać i się nim zająć. Pojechałem. Doktor Lagardie i pielęgniarka zamknęli już gabinet. Zachowywali się, jakby byli czymś przerażeni. Była u nich policja. — Spojrzałem na Maglashana.

– Jeszcze jeden jego telefon — warknął Maglashan.

– Tym razem to nie ja — powiedziałem.

– W porządku, dalej — powiedział French po przerwie.

– Lagardie zaprzeczył, jakoby wiedział cokolwiek o Orrinie Quescie. Odesłał pielęgniarkę do

domu. Potem podrzucił mi narkotyzowanego papierosa i przez jakiś czas mnie tam nie było, Kiedy przyszedłem do siebie, byłem w mieszkaniu sam. A potem już nie. Orrin Quest, czy co tam z niego zostało, drapał w drzwi. Kiedy je otworzyłem, przeleciał przez nie i padł martwy. Ostatnim wysiłkiem próbował mnie dziabnąć kolcem do lodu. — Poruszyłem ramionami. Miejsce między łopatkami było jeszcze sztywne i obolałe, ale nic więcej.

French spojrział twardo na Maglashana. Maglashan potrząsnął głową, ale French nie spuścił z niego oka. Beifus zaczął coś gwizdać cicho. Nie mogłem poznać melodii, ale potem poznałem. „Stary Mojżesz nie żyje”.

French odwrócił głowę i powiedział wolno:

– Przy ciele nie znaleziono kolca do lodu.

– Zostawiłem go tam, gdzie upadł — odparłem.

– Zdaje się, że znowu będę musiał włożyć tę rękawiczkę — powiedział Maglashan. Rozciągnął ją między palcami. — Ktoś tu jest cholerny łgarz, i to na pewno nie ja.

– W porządku — powiedział French. — W porządku. Starczy tego teatru. Powiedzmy, że chłopak nawet miał w ręku ten kolec do lodu, ale to jeszcze nie znaczy, że się z nim urodził.

– Spiłowany — powiedziałem. — Krótki. Trzy cale od rączki do czubka ostrza. Takiego się w sklepie nie kupi.

– Dlaczego właściwie miałby cię dziabnąć? — spytał Beifus z kpiącym uśmiechem. — Dla niego byłeś ten dobry. Pojechałeś tam, żeby go uratować dla siostrzyczki.

– Dla niego byłem po prostu czymś, co mu zasłaniało światło — powiedziałem. — Czymś, co się ruszało i mogło być człowiekiem, tym człowiekiem, który go skrzywdził. Umierał stojąc. Nigdy go przedtem nie widziałem. Jeżeli on mnie widział, to nic mi o tyrn nie wiadomo.

– Piękna to mogła być przyjaźń — powiedział Beifus wzdychając. — Jeżeli pominąć ten kolec, oczywiście.

– Fakt, że miał go w ręku i próbował mnie dziabnąć, mógłby coś oznaczać.

– Na przykład co?

– Człowiek w jego położeniu działa instynktownie. Nie wymyśla nowych sposobów. Trafił mnie między łopatki, jak żądłem, słabutki, ostatni wysiłek umierającego. Może, gdyby był w pełni sił, trafiłby gdzie indziej i wbił kolec znacznie głębiej.

– Długo jeszcze będziecie się tak bawić z tym pajacem? — spytał Maglashan. — Rozmawiacie z nim jak z człowiekiem. Pozwólcie mi z nim pogadać, na mój sposób.

– Kapitan tego nie lubi — powiedział lekko French.

– Mam gdzieś kapitana.

– Kapitan nie lubi, kiedy małomiasteczkowe gliny mówią, że mają go gdzieś — powiedział French.

Maglashan zacisnął zęby i szczeka mu zbiełała. Przymrużył oczy, w których pojawił się błysk. Odetchnął głęboko przez nos.

– Dziękuję za współpracę — powiedział i wstał. — To ja już sobie pójdę. — Obszedł stół dookoła i stanął przy mnie.

Wyciągnął rękę i podniósł mi brodę do góry.

– Do zobaczenia, kochasiu. W moim mieście.

Trzepnął mnie dwa razy po twarzy rękawiczką. Guziki drapnęły mnie ostro. Podniosłem rękę i roztarłem dolną wargę. French powiedział:

– Na miłość boską, Maglashan, siądź i pozwól się facetowi wygadać. A łapy trzymaj od niego z daleka.

Maglashan odwrócił się do niego i powiedział:

– Myślisz, że możesz mnie zmusić?

French po prostu wzruszył ramionami. Po chwili Maglashan potarł usta wielką, łapą i ruszył z powrotem do swego krzesła. French rzekł:

– Posłuchajmy teraz, co ty o tym wszystkim sądzisz, Marlowe.

– Między innymi Clausen prawdopodobnie handlował trawką — powiedziałem. — W mieszkaniu było czuć dym z marihuany. Kiedy tam wszedłem, jakiś mały cwaniaczek liczył w kuchni

pieniądze. Miał rewolwer i specjalnie ostrzony sprężynowiec i obydwoma próbował mnie załatwić. Odebrałem mu je i sobie poszedł. On pewnie zajmuje się dystrybucją. Ale Clausen chodził taki zalany, że nie można mu już było ufać. W tych organizacjach nie tolerują podobnych rzeczy. Ten mały myślał, że jestem gliną. Nie chcieli, żeby ktoś zgarnął Clausena. Za łatwo byłoby wszystko z niego wyciągnąć. Można się było domyślić, że kiedy tylko wyczują glinę w pobliżu, Clausen zniknie z powierzchni ziemi.

French spojrział na Maglashana.

– Jak ci się to podoba?

– Mogło być i tak — powiedział Maglashan niechętnie.

– Powiedzmy, że tak właśnie było — rzekł French. — Ale co to wszystko ma wspólnego z Orrinem Questem?

– Każdy może palić trawkę — powiedziałem. — Kiedy ci nudno, jesteś sam, w depresji, straciłeś pracę, marihuana może być bardzo pociągająca. A kiedy ją palisz, twoje życie uczuciowe zaczyna się degenerować. A marihuana na różnych ludzi różnic działa. Niektórzy się od tego robią cholernie twardzi, a innym wszystko zaczyna zwisać. Przypuśćmy, że Orrin zaczął kogoś szantażować i groził, że pójdzie na policję. Bardzo prawdopodobne, że wszystkie morderstwa są powiązane z gangiem od trawki.

– Ale to jakoś nie pasuje do tego, że Quest miał ten spiłowany kolec — powiedział Beifus.

– Zgodnie z tym, co mówi porucznik — odpowiedziałem — nie miał żadnego kolca. Może mi się przywidziało. Mógł go przecież po prostu znaleźć i podnieść. Może to typowe wyposażenie domu doktora Lagardie. Macie coś na niego?

Potrząsnął głową.

– Na razie nie.

– Nie zabił mnie i prawdopodobnie nie zabił nikogo — ciągnąłem. — Quest powiedział siostrze, zgodnie z tym, co mówiła, że pracuje dla doktora Lagardie, ale że jacyś gangsterzy go ścigają.

– A ten Lagardie — powiedział French, dziabiąc stalówką w bibularzu. — Co z nim?

– Kiedyś miał dużą praktykę w Cleveland, w samym centrum. Musiał mieć jakieś powody, żeby się zaszyć w Bay City.

– W Cleveland, powiadasz? — wycedził French i spojrział w kąt sufitu. Beifus spuścił oczy na swoje papiery. Maglashan powiedział:

– Prawdopodobnie robi skrobanki. Miałem na niego oko od dłuższego czasu.

– Które oko? — spytał łagodnie Beifus.

Maglashan poczerwieniał.

– Pewnie to, którego nie miał na Idaho Street — rzekł French.

Maglashan wstał gwałtownie.

– Uważacie chłopcy, że jesteście tacy cholernie cwani, więc może zainteresuje was jedna rzecz. My jesteśmy tylko małym oddziałem policji w małym mieście. Czasami musimy odwalić podwójną robotę. Ale ten numer z trawką mi się podoba. Mogłoby mi to znacznie ułatwić życie. Zaraz się tym dokładnie zajmę.

Twardo pomaszerował do drzwi i wyszedł. French popatrzył za nim, Beifus też. Kiedy drzwi się zamknęły, spojrzeli na siebie nawzajem.

– Założę się, że znowu zrobią tę swoją obławę i to jeszcze dziś w nocy — powiedział Beifus.

French kiwnął głową. Beifus ciągnął:

– W jednym takim mieszkaniu nad pralnią. Pojadą na plażę, zgarną trzech czy czterech włóczęgów, wsadzą ich do tego mieszkania, a potem ustawią ich w szeregu do fotografii.

French powiedział:

– Za dużo gadasz, Fred.

Beifus uśmiechnął się i zamilkł. French odezwał się do mnie:

– Gdybyś tak miał zgadywać, czego szukali w tym pokoju u Van Nuysa, to co byś powiedział?

– Kwitu bagażowego na walizkę z trawką.

– Nieźle — powiedział French. — A dalej: gdzie on mógł być?.

– Myślałem o tym. Kiedy rozmawiałem z Hicksem w Bay City, nie miał na głowie peruki. W domu

się tego nie nosi. Ale tam na łóżku u Van Nuysa miał. Może nie włożył jej sobie sam.

French powiedział:

– I co?

– Nie byłoby to złe miejsce, żeby schować taki kwit — odparłem.

– Można by go przykleić kawałkiem plastra — rzekł French. — Niezły pomysł.

Zapadła cisza. Pomarańczowa gwiazda wróciła do maszyny. Zacząłem sobie oglądać paznokcie.

Nie były tak czyste, jak powinny. Po chwili French powiedział wolno;

– Tylko niech ci się nie zacznie wydawać, Marlow, że jesteś czysty. Zgadujemy dalej, jakim sposobem doktor Lagardie wymienił przy tobie Cleveland.

– Zadałem sobie trochę trudu, żeby go sprawdzić. Lekarz nie może zmienić nazwiska, jeśli chce zachować praktykę. Numer z kolcem do lodu kojarzył wam się z Płaksa Moyerem. Płaksa Moyer działał w Cleveland. Sunny Moe Stein działał w Cleveland. To prawda, że technika była inna, ale też kolec. Samiście powiedzieli, że chłopcy mogli się wiele nauczyć. A przy każdym gangu zawsze kręci się jakiś lekarz.

– To trochę śmiało — powiedział French. — Za luźne skojarzenie.

– Czy będzie ze mną trochę lepiej, jeżeli mi się da je przybliżyć?

– A możesz?

– Mogę spróbować.

French westchnął.

– Ta mała Quest jest w porządku. Rozmawiałem z jej matką w Kansas. Naprawdę przyjechała tutaj szukać brata. I naprawdę cię do tego wynajęła. Mówi o tobie dobrze. Do pewnego stopnia.

Naprawdę podejrzewała, że brat zaplątał się w coś niedobrego. Zarobiłeś coś na tym interesie?

– Niewiele — powiedziałem. — Oddałem jej honorarium. Wiele i tak nie miała.

– W ten sposób nie będziesz musiał płacić podatku — powiedział Beifus.

– Skończmy na tym — rzekł French. — Teraz kolej na prokuratora okręgowego. I jeżeli dobrze znam Endicotta, to zdecyduje, co z tym zrobić, mniej więcej za tydzień od przyszłego wtorku. — Zrobił ruch w stronę drzwi.

Wstałem.

– Wystarczy, że nie będę wyjeżdżał z miasta? — spytałem.

Nawet im się nie chciało odpowiadać.

Stałem więc w miejscu i patrzyłem na nich. Skaleczenie od kolca zaschło i uwierało mnie, a jego okolica zeszytniała. Ta strona twarzy i ust, w którą Maglashan trzepnął mnie swoją zużytą rękawiczką, paliła. Znalazłem się na głębokiej wodzie. Była ciemna, mętna i w ustach miałem smak soli.

Siedzieli tak po prostu i patrzyli na mnie. Pomarańczowa gwiazda waliła w maszynę. Gliniarskie gadanie podniecało ją akurat tyle, co choreografa kolejna para nóg. Mieli spokojne, ogorzałe twarze zdrowych mężczyzn zaprawionych w bojach. Oczy mieli te same, co zawsze, zachmurzone, szare, jak zamarzająca woda. Wyraziste, stanowcze usta, drobne zmarszczki w kącikach oczu, twarde, puste, nic nie znaczące spojrzenie, może niezupełnie okrutne, ale tysiące mil od jakichkolwiek ciepłych uczuć. Banalne, gotowe ubrania, noszone bez stylu, jak gdyby z pogardą. Robią wrażenie ludzi biednych, a jednak dumnych ze swej władzy, zawsze są gotowi dać ją odczuć — nigdy nie przegapią okazji, żeby ci ją wbić w brzuch, przekręcić dwa razy i patrzeć, jak się zwijasz, bezwzględni bez podłości, okrutni, a jednak czasem mili. A czego się właściwie po nich spodziewać? Cywilizacja nic dla nich nie znaczy. Widzieli tylko jej porażki, brudy, męty, zboczenia i ohydę.

– Czego tu jeszcze stoisz? — spytał ostro Beifus. – Chcesz buzi z języczkiem na pożegnanie? Nic na to nie powiesz śmiesznego? Szkoda. — Jego głos rozplątał się nagle w jednostajnym dudnieniu. Zmarszczył się i wziął z biurka ołówek. Szybkim ruchem palców złamał go na pół i trzymał obie połówki na dłoni.

– Tak będziesz wyglądał, jak nie będziesz grzeczny — powiedział cicho, zupełnie bez uśmiechu .

– Idź teraz i spróbuj naprawić, coś narozrabiał. Myślisz, że dlaczego cię wypuszczamy? Maglashan załatwił ci odroczenie. Nie zmarnuj go.

Podniosłem rękę i potarłem wargi. Miałem w ustach za dużo zębów.

Beifus spuścił oczy na biurko, wziął jakiś papier i zaczął go czytać. Christy French obrócił się na krześle, położył nogi na biurku i zagapił się przez otwarte okno na parking. Pomarańczowa gwiazda przestała pisać na maszynie. Pokój wypełnił się nagle ciężką ciszą, jak zakalec.

Wyszedłem stamtąd, prując tę ciszę, jakbym brnął przez wodę.

25

Biuro znowu było puste. Nie było długonogich brunetek, nie było dziewczynek w skośnych okularach, nie było wytwornych, mrocznych dżentelmenów z gangsterskim wejrzeniem. Siadłem za biurkiem i patrzyłem, jak zachodzi słońce. Odgłosy powrotów do domu przycichły. Na ulicy neony łypały na siebie przez bulwar. Coś trzeba było zrobić, tylko sam nie wiedziałem co. Cokolwiek wymyślę, to i tak będzie bez sensu. Posprzątałem biurko, nasłuchując skrzypienia wiadra o posadzkę korytarza. Schowałem papiery do szuflady, wyprostowałem podstawkę na pióra, wyjąłem ścierkę do kurzu i wytarłem szybę, a potem telefon. W błędnym świetle był ciemny i lśniący. Dziś już nie będzie dzwonił, I nikt już do mnie nie zadzwoni. Nie teraz, nie tym razem. Może już nigdy.

Odłożyłem ścierkę, zwinąwszy ją z całym zebraniem kurzem, oparłem się i po prostu siedziałem, nie paląc, nie myśląc nawet. Byłem nikim. Nie miałem twarzy, osobowości, prawie nie miałem nazwiska, nic nie znaczyłem. Nie chciało mi się jeść. Nie chciało mi się nawet pić. Byłem wczorajszą zmiętą kartką z kalendarza, na dzień kosza na śmieci.

Przyciągnąłem telefon i wykręciłem numer Mavis Weld. Dzwonił, dzwonił i dzwonił. Dziewięć razy. Strasznie dużo tego dzwonięcia, Marlowe. Pewnie nikogo nie ma w domu. Dla ciebie nikogo. Odłożyłem słuchawkę. Do kogo byś sobie teraz zadzwonił? Może jest gdzieś przyjaciel, co ucieszy się na dźwięk twojego głosu? Nie. Nie ma.

Niech zadzwoni telefon, proszę. Niech ktoś do mnie zadzwoni i podłączy mnie z powrotem do ludzkości. Choćby glina. Choćby nawet coś takiego jak Maglashan. Nikt nie musi mnie kochać. Tylko chcę już zejść z tej zamrożonej gwiazdy.

Telefon zadzwonił.

– *Amigo* — powiedział głos. — Są kłopoty. Fatalne kłopoty. Ona chce się z tobą zobaczyć. Lubi cię. Uważa, że jesteś uczciwym człowiekiem.

– Gdzie? — spytałem. To nie jest właściwe pytanie, tylko jakiś taki dźwięk, który wydałem.

Ssałem zimną fajkę, położyłem głowę na ramieniu, gapiąc się w telefon. Był to przynajmniej jakiś głos, z którym można było porozmawiać.

– Przyjedziesz?

– Dziś mógłbym nawet czuwać u wezglowia chorej papugi. Gdzie?

– Przyjadę po ciebie. Będę przed twoim domem za piętnaście minut. Niełatwo się dostać tam, gdzie jedziemy.

– A jak z powrotem? — spytałem. — Czy to już nie ma znaczenia?

Ale ona zdążyła odłożyć słuchawkę.

W barze, w drugistorze na dole, zdążyłem wrzucić w siebie dwie filiżanki kawy i kanapkę z topionym serem i z dwoma plasterkami oszukanego bekonu, wciśniętymi weń niczym zdechła ryba w muł na samym dnie osuszonego stawu.

Chyba zwariowałem. Smakowało mi to.

26

Był to czarny Mercury, kabriolet z lekkim dachem. Dach był otwarty. Kiedy pochyliłem się ku

drzwiom, Dolores Gonzales przysunęła się w moją stronę na skórzanym siedzeniu.

– Ty prowadź, amigo. Tak naprawdę to nie lubię tego robić.

Światło z drugostoru padło jej na twarz. Znowu się przebrała, ale nadal była na czarno, z wyjątkiem bluzki w kolorze płomienia. Spodnie i coś w rodzaju luźnej kurtki, jakby męska sportowa marynarka.

Oparłem się o drzwi samochodu.

– Dlaczego sama do mnie nie zadzwoniła?

– Nie mogła. Nie знаła numeru i miała bardzo mało czasu.

– Dlaczego?

– Zdaje się, że ktoś wyszedł z pokoju tylko na chwilę.

– A skąd dzwoniła do pani?

– Nie wiem, jak się nazywa ta ulica. Ale dom potrafię znaleźć. Dlatego przyjechałam. Wsiadaj do samochodu i pośpieszmy się.

– Może — powiedziałem. — A może wcale nie wsiądę do samochodu. Wiek i artretyzm nauczyły mnie ostrożności.

– Zawsze te dowcipy — powiedziała. — Bardzo dziwny gość.

– Zawsze te dowcipy, gdzie się tylko da — powiedziałem — ale poza tym bardzo zwyczajny gość, tylko że ma jedną głowę, której niekiedy trochę nadużywano. I te niekiedy zaczynały się zwykle właśnie tak.

– Będziemy się kochać?

– Pytanie otwarte. Prawdopodobnie nie.

– Nie zmarnowałbyś czasu. Nie jestem z tych syntetycznych blondynek ze skórą, o którą można by zapalić zapalniczkę. Ani z tych byłych praczek z wielkimi, kościstymi łapami, spiczastymi kolanami i beznadziejnym biustem.

– Bodaj na pół godziny — powiedziałem — zostawmy na boku seks. To naprawdę świetna rzecz, jak melba z owocami. Ale bywają takie chwile, że człowiek wolałby raczej poderżnąć sobie gardło. I dlatego myślę, że sobie poderżnę.

Obszedłem samochód, wsunąłem się za kierownicę i ruszyłem.

– Jedziemy na zachód — powiedziała — przez Beverly Hills, a potem dalej.

Wcisnąłem sprzęgło i skręciłem za róg, na południe, w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Dolores wyjęła jednego ze swoich długich, brązowych papierosów.

– Czy wzięłeś rewolwer? — spytała.

– Nie. A po co mi rewolwer? — Wewnętrzną stroną lewego ramienia przycisnąłem do siebie Luger w kaburze.

– Może to i lepiej, że nie. — Włożyła papierosa w swoje złote szczypczyki i zapaliła go złotą zapalniczką. Światło, które rozbłysło na jej twarzy, ukazało nagle jej bezdenne czarne oczy.

Skręciłem na zachód w Bulwar Zachodzącego Słońca i dałem nura w trzy szeregi rajdowców, którzy spinali swoje rumaki, żeby zdążyć donikąd i nie robić nic.

– W jakie to kłopoty wpadła panna Weld?

– Nie wiem. Powiedziała tylko, że są kłopoty, że się boi, i że bardzo cię potrzebuje.

– Chyba umie pani wymyślić jakąś lepszą historyjkę.

Nie odpowiedziała. Zatrzymałem się pod czerwonym światłem i spojrzałem na nią. Cicho płakała w ciemności.

– Ja bym nigdy nie skrzywdziła Mavis Weld — powiedziała. — Choć nie łudzę się, że mi uwierzysz.

– Z drugiej strony — powiedziałem — może to nawet lepiej, że nic nie wymyśliłaś.

Zacząła się przesuwac wzdłuż siedzenia w moją stronę.

– Niech się pani trzyma swojej strony samochodu — powiedziałem. — Muszę jakoś prowadzić to pudło.

– Nie chcesz, żebym ci położyła głowę na ramieniu?

– Nie w takim ruchu.

Zatrzymałem się w Fairfax pod zielonym światłem, żeby pozwolić komuś skręcić w lewo. Za mną

rozkrzyczały się klaksony. Kiedy ruszyłem, samochód, który był zaraz za mną, wyskoczył do przodu, zrównał się ze mną i tłusty facet w podkoszulku wrzasnął:

– Lepiej się przesiądź na hamak!

Przyspieszył, zajeżdżając mi drogę tak ostro, że musiałem przyhamować.

– Kiedyś lubiłem to miasto — powiedziałem, ot tak, żeby coś powiedzieć i zanadto nie myśleć. —

Ale to było dawno temu. Wzdłuż Wilshire Boulevard rosły drzewa. Beverly Hills było prawie na wsi. Westwood to były nagie wzgórza i działki po tysiąc sto dolarów, których nikt nie chciał.

Hollywood stanowiło grupę drewnianych domów u wyjazdu z miasta. Los Angeles było po prostu wielkim, suchym, słonecznym miastem, pełnym brzydkich domów i zupełnie bez stylu, ale za to dobrotliwym i spokojnym. Naprawdę miało ten klimat, o którym się teraz tylko pieprzy. Ludzie sypiali na werandach. Różne grupki, które się uważały za intelektualistów, nazywały to miasto Atenami Ameryki. Aż tak dobrze nie było, ale za to nie było tego neonowego slumsu, jak teraz.

Przecieliśmy La Cienega i wjechaliśmy na Strip. „Tańcerze” tonęli w światłach. Na tarasie było pełno. Parking wyglądał jak przejrzały owoc, który oblaży mrówki.

– Teraz typy w rodzaju Steelgrave'a mają restauracje. Pełno takich tłuściochów jak ten, co mnie zwymyślał. Wielka forsa, pełno ostrych strzelców, robotników na procent, facetów od szybkiego szmału, oprychów z Nowego Jorku, Chicago, Detroit... i Cleveland. Mamy luksusowe restauracje i nocne kluby, które oni prowadzą, i hotele, i domy, które też są ich własnością, a w nich szulerów, naciągaczy i bandziorów w spódnicach. Handel luksusowym towarem, dekoratorzy pedały, lesbijki projektantki mody, męty wielkiego miasta, które ma teraz tyle indywidualności co papierowy kubek. A tam, na eleganckim przedmieściu, kochany, dobry tata siedzi przed frontowym oknem i czyta sport w gazecie: zdjął buty i ma się za coś lepszego, bo dochrapał się garażu na trzy samochody. Mama siedzi przed toaletką i próbuje zakamufłować wory pod oczami. A potomek wisi na telefonie i wydzwania do niezliczonych licealistek, które mówią koszmarną angielszczyznę i noszą w kosmetyczkach środki antykoncepcyjne.

– Tak jest we wszystkich wielkich miastach, *amigo*.

– Prawdziwe miasta mają coś jeszcze, jakiś kościec pod tym gnojem. Los Angeles ma Hollywood i nienawidzi go. Ale powinno uważać, że ma szczęście. Bez Hollywood zostałyby z tego miasta katalog wysyłkowy. Niby jest tu wszystko, ale nie ma nic, co gdzie indziej nie byłoby w lepszym gatunku.

– Masz dziś wieczór goryczy, *amigo*.

– Miałem trochę kłopotów. I siedzę tu przy pani w tym samochodzie tylko dlatego, że jeszcze trochę kłopotów może już najwyżej dopełnić efektu.

– Zrobiłeś coś złego? — spytała i przysunęła się do mnie.

– Nic takiego, po prostu znalazłem kilka trupów — powiedziałem, — Wszystko zależy od punktu widzenia. Gliny nie lubią naszej amatorskiej roboty. Mają własną obsługę.

– Co ci zrobią?

– Mogą mnie wygrzyźć z miasta i kompletnie mi to zwisa. Nie pchaj się tak na mnie. Tą ręką muszę zmieniać biegi.

Odsunęła się ode mnie z fuknięciem.

– Strasznie trudno się z tobą dogadać — powiedziała. — Skręć w prawo przy Lost Canyon Road.

Po chwili minęliśmy Uniwersytet. Wszystkie światła miasta paliły się teraz i opadały szerokim dywanem w dół stoku, na południe, a potem dalej, prawie bez końca. Nad naszymi głowami zamruczał samolot, wytracił wysokość, a jego dwa światła sygnalizacyjne mrugały, zapalając się i gasnąc na przemian. Przy Lost Canyon skręciłem w prawo, mijając wielką bramę wiodącą do Bel Air. Droga zaczęła się wić i wznosić. Za dużo było samochodów, ich światła błyskały gniewnie, zjeżdżając po krętym, białym betonie. Nad przełęczą wiał słaby wietrzyk. Pachniało dziką szalwią, cierpkim, gryzącym eukaliptusem, w powietrzu wisiła spokojna woń kurzu. Na zboczu wzgórza jaśniały okna. Minęliśmy wielki, piętrowy dom w stylu Monterey, który musiał kosztować z siedemdziesiąt kawałków, i miał na froncie oświetlony napis „Rasowe teriery”.

– Następną w prawo — powiedziała Dolores.

Skręciłem. Droga zrobiła się bardziej stroma i węższa. Za murami i krzakami stały domy, ale nie było widać. Dojechaliśmy do rozwidlenia i wówczas zobaczyliśmy wóz policyjny z czerwonym światłem, a po prawej stronie rozjazdu dwa samochody, zaparkowane pod kątem prostym. Ktoś pomachał latarką. Zwolniłem i stanąłem obok policyjnego samochodu. Siedziało w nim dwóch policjantów. Palili papierosy. Nie ruszyli się nawet.

– Co się dzieje?

– *Amigo*, nie mam najmniejszego pojęcia. — Jej głos był stłumiony, nieśmiały. Robiła wrażenie przestraszonej. Nie wiedziałem dlaczego.

Wysoki mężczyzna, ten który trzymał latarkę, obszedł samochód dookoła, skierował na mnie światło, po czym je opuścił.

– Dziś nie ma tędy przejazdu — powiedział. — Jedźcie w jakieś konkretne miejsce?

Wcisnąłem ręczny hamulec i sięgnąłem po latarkę, którą Dolores wyjęła ze schowka. Zapaliłem ją i oświetliłem wysokiego faceta. Miał na sobie eleganckie spodnie, sportową koszulę z inicjałami na kieszonce, a na szyi chustkę w kropki. Miał też okulary w rogowej oprawie i gęste falujące, lśniące włosy. Hollywood jak jasna cholera.

– Może coś pan nam wyjaśni? — spytałem. — Czy też pan tutaj reprezentuje prawo?

– Prawo siedzi tam, jeżeli chcesz pan z nimi pogadać — w jego głosie był lekko wzgardliwy ton. — My jesteśmy tylko zwykli obywatele. Mieszkamy tutaj. To dzielnica mieszkalna. I chcemy, żeby tak zostało.

Mężczyzna ze sportową wiatrówką wyszedł z cienia i stanął obok wysokiego faceta. Trzymał broń w zgięciu lewej ręki, lufą w dół. Ale nie wyglądało na to, że nosi ją tylko jako balast.

– Nie mam nic przeciwko temu — powiedziałem. — Nie mamy żadnych innych zamiarów. Po prostu chcemy gdzieś dojechać.

– Dokąd? — spytał zimno mężczyzna.

Odwróciłem głowę do Dolores.

– Dokąd?

– Biały dom. na wzgórzu, wysoko — powiedziała.

– A co zamierzacie tam robić? — spytał wysoki.

– Ktoś, kto tam mieszka, jest moim przyjacielem — odrzekła krótko.

Błysnął jej światłem w twarz.

– Jesteś bomba — powiedział. — Tylko twój kumpel nam się nie podoba. Nie lubimy takich, co próbują tu organizować domy gry.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym domu gry — powiedziała ostro Dolores.

– Glinom też nie — rzekł wysoki. — Nawet nie próbują, się dowiedzieć. Jak się nazywa twój kumpel, kochanie?

– To nie pański interes — warknęła Dolores.

– W takim razie jedź do domu i rób skarpetki na drutach — powiedział wysoki i odwrócił się do mnie: — Droga jest dzisiaj zamknięta. Teraz już wiesz, dlaczego.

– Myślisz, że ci to ujdzie na sucho? — spytałem.

– Taki jak ty nie zmusi nas, żebyśmy zmienili zdanie. Szkoda, że nie widziałeś naszych deklaracji podatkowych. A te gnojki w samochodzie, ta cała zgraja w ratuszu, pierdzą w stołek, kiedy my żądamy, żeby bronili naszych interesów.

Otworzyłem szeroko drzwi samochodu. Cofnął się i pozwolił mi wysiąść. Podeszedłem do samochodu patrolowego. Dwaj policjanci siedzieli rozwaleni. Nadajnik był ściszony, ledwo mruczał. Jeden żuł rytmicznie gumę.

– A jakby tak przerwać tę blokadę i przepuścić porządnymi obywateli? — spytałem go.

– Nie mam rozkazów, chłopie. Kazali nam pilnować spokoju. A jak ktoś zacznie rozrabiać, to mamy go uciszyć.

– Powiedzieli, że gdzieś tam jest dom gry.

– Powiedzieli — odpowiedział glina.

– Nie wierzycie im?

– Nawet nie próbujemy — powiedział i plunął mi przez ramię.

– A jeżeli mam jakiś pilny interes do załatwienia?

Spojrzał na mnie bez wyrazu i ziewnął.

– Cholernie ci dziękuję, chłopcze — powiedziałem.

Wróciłem do Mercury'ego, wyjąłem portfel i podałem wysokiemu wizytówkę. Oświetlił ją latarką i powiedział:

– No i?

Zgasił światło i stał w milczeniu. Jego twarz zaczęła się powoli wyłaniać z ciemności.

– Mam tu sprawę do załatwienia. To dla mnie bardzo ważna sprawa. Przepuście mnie, to może jutro nie będziecie musieli robić tej blokady.

– Strasznie jesteś pewny siebie, przyjacielu.

– Myślicie, że mam taką forszę, żeby sobie pozwolić na prywatny dom gry?

– Ona mogłaby mieć — mrugnął okiem w stronę Dolores. — Może przywiozła cię tutaj jako swoją ochronę.

Odwrócił się do faceta ze strzelbą.

– Jak myślisz?

– Zaryzykuj. Jest ich tylko dwoje i oboje trzeźwi.

Wysoki zapalił latarkę i pomachał nią w lewo i prawo.

Wystartował silnik. Jeden z blokujących drogę samochodów zjechał na pobocze. Wsiadłem i ruszyłem Mercurym, przejechałem przez otwarty przejazd i popatrzyłem w lusterku, jak blokujący samochód zajął z powrotem swoje miejsce, po czym zgasił długie światła.

– To jest jedyny dojazd?

– Oni myślą, że tak, *amigo*. Ale jest jeszcze inna droga, prywatna, przez prywatny teren.

Musielibyśmy jechać dookoła, od strony doliny.

– Ledwo nam się udało — powiedziałem. — Te kłopoty, w których ktoś tam jest, nie są chyba szczególnie poważne.

– Wiedziałam, że sobie poradzisz, *amigo*.

– Coś tu śmierdzi — powiedziałem ze złością. — I to nie dziki bez.

– Co za podejrzliwy człowiek. Nie chcesz mnie nawet pocałować?

– Trzeba było tego popробować tam, przy blokadzie. Ten wysoki wyglądał na samotnego. Trzeba go było zaciągnąć w krzaki.

Dała mi po twarzy grzbietem dłoni.

– Skurwysyn — powiedziała lekko, prawie mimochodem— Następna w lewo, jeżeli wolno prosić.

Wjechaliśmy na szczyt wzniesienia, gdzie droga skończyła się nagle rozległym, czarnym kręgiem obramowanym białymi kamieniami. Przed nami było siatkowe ogrodzenie z szeroką bramą i wywieszką: „Droga prywatna. Nie ma przejazdu”. Brama była otwarta i po jednej stronie wisiała kłódka na luźnym łańcuchu. Objechałem samochodem krzew białego oleandru i wjechałem na podjazd długiego, niskiego, białego domu krytego dachówką, z garażem na cztery samochody w rogu, pod obudowanym tarasem. Obie bramy garażu były zamknięte. W domu nie paliły się światła. Księżyc rzucał z wysoka błękitną poświatę na białe stiukowe ściany. Niektóre z niższych okien miały pozamykane okiennice. Cztery wielkie skrzynie śmieci stały rzędem u stóp schodów. Był też wielki pojemnik na śmieci, pionowy i pusty. Wreszcie dwa stalowe bębny pełne papierów. Z domu nie dochodził najmniejszy odgłos, żaden znak życia. Zatrzymałem Mercury'ego, wyłączyłem światła i silnik i po prostu siedziałem. Dolores wcisnęła się w kąt. Siedzenie zaczęło jak gdyby drzeć podę mną. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej. Dygotała.

– Co się dzieje?

– Wsiądź... wsiądź, proszę — powiedziała, jakby jej zęby szczękały.

– A pani?

Otworzyła drzwi po swojej stronie i wyskoczyła. Wsiadłem i zostawiłem drzwi otwarte, a klucze w stacyjce. Obeszła samochód z tyłu, a gdy podchodziła do mnie, poczułem, że drży, prawie zanim mnie jeszcze dotknęła. Przytuliła się do mnie bardzo mocno, pierś do piersi. Objęła mnie ramionami za szyję.

– Jestem chyba bardzo głupia — powiedziała cicho. — On mnie za to zabije, tak samo jak zabił Steina. Pocałuj mnie.

Pocałowałem. Jej usta były gorące i suche.

– Czy on tam jest?

– Tak.

– Kto jeszcze?

– Nikt, to znaczy tylko Mavis. Ją też zabije.

– Posłuchaj...

– Pocałuj mnie jeszcze raz. Nie pożyję już długo, *amigo*. Jak się jest naganiaczem dla takiego faceta jak on, to się umiera młodo.

Odsunąłem ją od siebie łagodnie.

Cofnęła się i podniosła szybko prawą rękę. Był w niej rewolwer.

Patrzyłem na niego. Lśnił na nim blady odbłask księżycowego światła. Trzymała go prosto i ręka już jej nie drżała.

– Gdybym teraz pociągnęła za spust, zyskałabym czyjaś dożgonną przyjaźń.

– Tam na dole usłyszeliby strzał.

Potrząsnęła głową.

– Nie, tam jest takie małe wzgórze po drodze. Nie sądzę, żeby coś usłyszeli, *amigo*.

Pomyślałem, że kiedy pociągnie za spust, rewolwer podskoczy. Gdybym upadł w odpowiednim momencie...

Nie byłem aż taki dobry. Nie powiedziałem ani słowa. Poczulem nagle, że język zrobił mi się ogromny.

Mówiła dalej cichym, zmęczonym głosem;

– Ze Steinem to nie miało znaczenia. Sama bym go chętnie zabiła. To ścierwo. Zabić to drobiazg, umrzeć to drobiazg. Ale wabić ludzi na spotkanie ze śmiercią... — Przerwała i wydała z siebie coś, co mogło być łkaniem. — *Amigo*, sama niewiem, dlaczego cię polubiłam. Takie głupstwa powinnam mieć już dawno z głowy. Mavis mi go odebrała, ale nie chciałam, żeby ją zabił. Świat jest pełen mężczyzn, którzy mają dosyć pieniędzy.

– Wygląda na miłego faceta – powiedziałem, cały czas obserwując dłoń, którą trzymała rewolwer. Nie drżała ani trochę.

Zaśmiała się wzgardliwie.

– Oczywiście, że tak. Dlatego właśnie jest tym, czym jest. Myślisz, że jesteś mocny, *amigo*. W porównaniu ze Steelgrave'em jesteś słabutki jak niemowle. — Opuściła rewolwer i teraz powinienem był skoczyć. Ale jeszcze ciągle nie byłem dostatecznie dobry.

– Zabił tuzin ludzi — powiedziała, — I dla każdego miał uśmiech. Znałam go bardzo długo. W Cleveland.

– Kolcami do lodu? — spytałem.

– Jeżeli dam ci rewolwer, czy zabijesz go dla mnie?

– Czy uwierzyłabyś, gdybym obiecał?

– Tak. — Gdzieś w dole odezwał się samochód. Ale wydawał się równie odległy jak Mars, równie nic nie znaczący jak małpi rwetes w brazylijskiej dżungli. Nie miał ze mną nic wspólnego.

– Zabiję go, jeżeli będę musiał — powiedziałem, oblizując wargi.

Pochyliłem się trochę i ugiąłem kolana, gotów znowu do skoku.

– Dobranoc, *amigo*. Ubieram się na czarno, ponieważ jestem piękna, zepsuta i zgubiona.

Podawała mi rewolwer. Wziąłem go i po prostu stałem, trzymając go w ręku. Jeszcze przez chwilę żadne z nas się nie poruszyło. Potem uśmiechnęła się, odrzuciła głowę do tyłu i wskoczyła do samochodu. Zapaliła silnik i zatrzasnęła drzwi. Zwolniła obroty i siedziała, patrząc na mnie. Teraz miała na twarzy uśmiech.

– Dobra byłam w tej scenie, co? — powiedziała cicho.

Potem samochód ruszył, cofnął się gwałtownie, a opony zapiszczały rozdzierająco po asfaltowej nawierzchni. Światła podskoczyły. Wóz zakreślił i zniknął za krzakiem oleandru. Światła skreśliły w lewo, w prywatną drogę. Migały pomiędzy drzewami, a odgłos samochodu słabł powoli, aż

przeszedł w przeciągły rechot rzekotek. Potem i to ucichło i przez chwilę panowała zupełna cisza. A stary, zmęczony księżyc był jedynym światłem.

Przełamałem magazynek rewolweru. Było w nim siedem naboji. Jeszcze jeden w komorze. Brakowało dwóch. Powąchałem lufę. Strzelano z niego od ostatniego czyszczenia. Prawdopodobnie dwa razy.

Wsunąłem magazynek z powrotem na miejsce i położyłem sobie rewolwer na dłoni. Miał kolbę wykładaną białą kością. Kaliber 32. Orrin Quest dostał dwie kule. Dwie łuski, jakie podniosłem z ziemi w tamtym pokoju, były kalibru 32.

A wczoraj po południu w pokoju 332 hotelu Van Nuysa, blondynka z ręcznikiem na twarzy celowała do mnie z rewolweru kaliber 32 z rękojeścią z białej kości.

Człowiek wyobraża sobie nie wiadomo co. Ale czasem wyobraża sobie za mało.

27

Bezgłośnie, jak as wywiadu, podszedłem do garażu i spróbowałem otworzyć drzwi. Nie było klamek, musiały się zatem otwierać obrotowo. Zapaliłem małą latarkę i skierowałem światło na futrynę, ale nie znalazłem zamka.

Zostawiłem garaż w spokoju i poszedłem w stronę pudeł ze śmieciami. Drewniane stopnie prowadziły do kuchennego wejścia. Nie łudziłem się, że drzwi będą otwarte tylko dla mojej wygody. Pod daszkiem ganku znalazłem jeszcze jedno drzwi. Te były olwarte i ukazywały ciemność, pachnącą drewnem eukaliptusa. Zamknąłem je za sobą i znowu zapaliłem latarkę. W kącie były jeszcze jedne schody z czymś w rodzaju ręcznej windy. Na wszelki wypadek wołałem jej nie dotykać. Poszedłem schodami na górę.

Gdzieś niedaleko coś zabrzączało. Zatrzymałem się. Brzęczenie umilkło. Ruszyłem dalej. Brzęczenie się nie odezwało. Dotarłem do drzwi bez klamki, równo ze ścianą. Kolejna zabaweczka. Udało mi się jednak znaleźć dźwignię. Była to podłużna, ruchoma płytką we framudze. Zbyt wiele zakurzonych rąk jej dotykało. Nacisnąłem ją, zamek szczyknął i ustąpił. Popchnąłem drzwi z czułością młodego lekarza, który odbiera swego pierwszego noworodka,

W środku był duży korytarz. Przez okienne żaluzje światło księżycy padało na biały narożnik pieca i leżącą na nim chromowaną blachę. Kuchnia była dostatecznie duża na lekcje tańca. Łukowate przejście prowadziło do spiżarni wykładanej kafelkami aż po sufit. Zlew, olbrzymia lodówka wbudowana w ścianę, mnóstwo różnych elektrycznych wichajstrów do robienia drinków bez kiwnięcia palcem. Wybierasz sobie truciznę, naciskasz guzik i już po czterech dniach budzisz się na stole do masażu w izbie wytrzeźwień,

Za spiżarnią wahadłowe drzwi. Za wahadłowymi drzwiami ciemny pokój jadalny otwarty na oszklony salonik, do którego księżycowe światło wlewało się strumieniami, jak woda przez śluzy w zaporze.

Korytarz wyłożony chodnikiem wiódł nie wiadomo dokąd. Spod kolejnego, płaskiego, łukowatego przejścia sunęły w górę schody, znowu ku ciemności, która połyskiwała jednak czymś, co mogło być szklistą cegłą lub nierdzewną stalą.

Wreszcie dotarłem do tego, co musiało być salonem. Zastłony w oknach zaciągnięto, było ciemno, ale czuło się, że pokój jest ogromny. Ciemność wisiała ciężko, a mój nos drżał, chwytając czyjaś niedawną obecność. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem. W ciemności mogą mnie śledzić tygrysy. Albo faceci z wielkimi rewolwerami, stojący na szeroko rozstawionych nogach i oddychający cicho przez rozchylone usta. Albo nic i nikt, tylko nadmiar wyobraźni zgoła nie na miejscu.

Przysunąłem się do ściany i po omacku zacząłem szukać wyłącznika. Zawsze jest przecież jakiś wyłącznik. Wszyscy mają wyłączniki. Najczęściej po prawej stronie drzwi. Wchodzisz do ciemnego pokoju i pożądasz światła. I świetnie — zawsze jest wyłącznik w zwykłym miejscu na zwykłej wysokości. A w tym pokoju nie. Bo to nie był pospolity dom. W dziedzinie drzwi i światel mieli tu dziwne zwyczaje. Tym razem numer mógł być całkiem pomysłowy, jak na przykład: trzeba

zaśpiewać czysto trzykresłne A albo nadebrać płaski przycisk pod dywanem, albo powiedzieć na głos „Niech się stanie światłość”, co złapie mikrofon, przekształci drgania akustyczne w impuls elektryczny, a transformator nada mu dostateczne napięcie, by podziałał na zapłon rtęciowy.

Tego wieczoru miałem skłonności telepatyczne. Byłem spragniony towarzystwa w ciemności i byłem gotów drogo za to zapłacić. Luger pod pachą i trzydziestka dwójka w ręku dawały mi siłę. Marlowe-Dwie-Lufy z Cyjankowego Wąwozu.

Rozprostowałem wargi i powiedziałem na głos:

– Cześć. Ktoś tu potrzebuje detektywa?

Nic mi nie odpowiedziało, nawet echo na zastępstwie. Dźwięk mojego głosu opadł na tę ciszę jak znużona głowa na poduszkę z łabędziego puchu.

A potem bursztynowe światło zaczęło narastać powoli, wzdłuż gzymsu, który opływał ten ogromny pokój. Jaśniało bardzo wolno, jak kontrolowane oporem światło w teatrze. Okna zasłonięte były ciężkimi morelowymi storami.

Ściany też były morelowe. W końcu pokoju był po jednej stronie ukośny barek sięgający aż do spiżarni. Była też alkowa z małymi stolikami i wyściełanymi siedzeniami, stojące lampy, miękkie fotele, kanapy i cały zestaw różności wypełniających zwykle salon, a na środku długie, przykryte pokrowcami stoły.

Ci faceci, tam na drodze, mieli jednak trochę racji. Ale lokal był nieczynny. Śladu życia. Był prawie pusty. Ale niezupełnie.

Blondynka w jasnokakaowym futrze stała oparta o wielki dziadkowy fotel. Ręce wcisnęła między poduszki fotela. Włosy fruwały jej w bezładzie, a twarz nie była biała jak kreda tylko dlatego, że światło nie było białe.

– Cześć! — powiedziała martwym głosem. — Nadal uważam, że przyszedłeś za późno.

– Za późno na co?

Ruszyłem ku niej, a ten ruch zawsze robił mi przyjemność. Nawet w takiej chwili, nawet w tym nazbyt cichym domu.

– Słodki z ciebie spryciarz — powiedziała. — Nie myślałam, że jesteś taki spryciarz. Trafiłeś tu jednak... — jej głos się wyłączył, zduszony w gardle.

– Muszę się napić — powiedziała po chwili gęstej ciszy. — Bo się przewrócę.

– Ładne futerko — zauważyłem. Byłem już przy niej.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem go. Nie poruszyła się. Jej usta drgały rytmicznie.

– Kuny — powiedziała. — Czterdzieści tysięcy dolarów. Wypożyczone do filmu.

– A to wszystko dekoracja? — spytałem, pokazując pokój.

– Tak, do ostatniego filmu w życiu. Naprawdę muszę się napić. Bo jeśli teraz spróbuję chodzić... — jasny głos znowu rozmazał się i umilkł. Trzepotała rękami.

– No proszę, niech pani mdleje — powiedziałem. — Zła pię panią od pierwszego razu.

Spróbowała coś zrobić z twarzą, żeby móc się uśmiechnąć. Zacisnęła usta, ze wszystkich sił starając się utrzymać na nogach.

– Dlaczego przyszedłem za późno? — spytałem. — I za późno na co?

– Za późno, żeby dostać kulę.

– Psiakrew. A tak się cieszyłem, cały wieczór. Panna Gonzales mnie przywiozła.

– Wiem.

Wyciągnąłem rękę i znowu dotknąłem futra. Czterdzieści tysięcy dolarów to rzecz miła w dotyku, nawet kiedy wypożyczona.

– Dolores będzie bardzo zawiedziona — powiedziała.

Usta miała obrysowane białą linią.

– Nie.

– Wystawiła pana do strzału, jak Steina.

– Może próbowała z początku. Ale chyba się rozmyśliła.

Zaśmiała się ghipio, sztucznie, zupełnie jak dziecko, które udaje dorosłego na kinderbalu.

– Co ty wyprawiasz z tymi dziewczynami? — powiedziała szepem. — Jak ty to do cholery robisz,

aniele? Masz narkotyzy wane papierosy czy co? Przecież nie może chodzić ani o pieniądze, ani o ubranie, ani o osobowość. Nie masz nic z tych rzeczy. Nie jesteś ani szczególnie młody, ani przystojny. Najlepsze lata masz już za sobą...

Jej głos nabierał coraz wyższych obrotów, jak silnik z nawalonym rozrzędem. Na koniec paplała już nieprzytomnie. Wreszcie wydała znużone westchnienie, ugięły się pod nią kolana i poleciała naprzód, prosto w moje ramiona.

Jeżeli to była sztuczka, to podziałała wspaniale. Choćbym miał po jednym rewolwerze w każdej kieszeni, byłoby z nich tyle samo pożytku co z różowych świeczek na urodzinowym torcie.

Ale nic się nie stało. Nie wyszli na mnie twardzi panowie z automatami w dłoniach. Żaden Steelgrave nie posłał mi swego beznamiętnego, chłodnego uśmiechu mordercy. Niczyje nogi nie przydreptały ukradkiem za moimi plecami.

Wisiała w moich ramionach jak mokry ręcznik: nie tak ciężko jak Orrin Quest, bo nie była tak martwa, ale dostatecznie ciężko, żeby mnie rozbolały ścięgna pod kolanami. Kiedy odsunąłem jej głowę od piersi, miała zamknięte oczy. Oddech był niesłyszalny, a rozchylone usta miały niebieskawy odcień.

Wsunąłem jej prawą rękę pod kolana i przenieśliśmy na złotą kanapę, na której ją ułożyłem.

Podszedłem do baru. Na rogu stał telefon, za to nie mogłem znaleźć drogi do butelek. Musiałem przeskoczyć górą. Złapałem niegłupio wyglądającą butelkę z błękitno-srebrną nalepką i pięcioma gwiazdkami. Była otwarta. Nalałem ciemnego, aromatycznego koniaku do zupełnie niewłaściwego kieliszka i przeskoczyłem z powrotem przez bar zabierając butelkę ze sobą.

Leżała tak, jak ją zostawiłem, ale oczy miała otwarte.

– Utrzyma pani kieliszek?

Utrzymała, z pewną pomocą. Piła koniak, a brzegi kieliszka przyciskała mocno do warg, jakby chciała zapanować nad drżeniem. Patrzyłem, jak jej oddech skrapla się wewnątrz kieliszka. Powoli jej usta ułożyły się w uśmiech.

– Zimno dzisiaj — powiedziała.

Spuściła nogi z kanapy i postawiła stopy na podłodze.

– Jeszcze — powiedziała, wyciągając kieliszek. Nalałem.

– A gdzie twój?

– Nie piję. I tak jestem dostatecznie wzruszony.

Następny kieliszek wywołał nagłe drżenie. Ale błękitny kolor znikł z jej ust, wargi przestały świecić jak światła stopu, a drobne skośne linie w kącikach oczu nieco się rozmazały.

– Kto pana przyprawia o takie wzruszenia?

– Ach, te wszystkie kobiety, które rzucają mi się na szyję, mdleją w moich ramionach, chcą, żeby je całować, i tak dalej. Miałem parę ciężkich dni jak na skopanego szpicla, co nie ma własnego jachtu.

– Nie masz jachtu — powiedziała. — To fatalne. Ja się wychowałem w dostatku.

– Tak — powiedziałem. — W Cadillaku urodzona. I nawet mógłbym zgadnąć, gdzie.

Przymrużyła oczy,

– Mógłbyś?

– Nie myślała pani chyba, że to taki straszny sekret?

– Ja... ja... — przerwała i zrobiła bezradny gest. — Nic mi dziś nie przychodzi do głowy.

– To ten filmowy dialog... — powiedziałem. — Nie może się go pani pozbyć.

– Czy my przypadkiem nie rozmawiamy jak para idiotów?

– Możemy rozmawiać mądrzej. Gdzie jest Steelgrave?

Po prostu patrzyła na mnie. Wyciągnęła do mnie pusty kieliszek, a ja go wziąłem i gdzieś postawiłem, nie spuszczając jej z oka. Ona mnie też. Minęła bardzo długa minuta.

– Był tutaj — powiedziała wreszcie, tak wolno, jakby musiała wymyślać każde słowo z osobna. — Dasz mi papierosa?

– Wiecznie ten numer z papierosem — powiedziałem. Wyjąłem dwa, wsadziłem do ust i zapaliłem. Pochyliłem się i wsadziłem jej jednego między purpurowe wargi.

– Nie ma nic banalniejszego — powiedziała. — Może tylko całowanie się z mruganiem rzęsami.

– Seks to wspinała rzecz — powiedziałem — kiedy człowiek nie chce odpowiadać na pytania. Zaciągnęła się powoli, zamrugła, po czym poprawiła sobie papierosa. Po tylu latach wciąż jeszcze nie potrafię włożyć dziewczynie papierosa do ust tak, żeby była zadowolona.

Gwałtownie potrząsnęła głową, jedwabiste włosy rozsypały się jej wokół twarzy, po czym przyjrzała mi się, żeby sprawdzić wrażenie. Cała bladeść minęła, policzki miała teraz zaróżowione, ale oczy — czujne i wyczekujące.

– Jesteś dosyć miły — powiedziała, kiedy nie zrobiłem niczego sensacyjnego. — Jak na takiego faceta.

To też wytrzymałem.

– Tylko że właściwie nie wiem nawet, co z ciebie za facet.

Zaśmiała się nagle i nie wiadomo skąd pojawiła się łza, spływając po jej policzku. — Może w końcu jesteś miły jak każdy facet. — Wyjąłem papierosa, podniosła rękę do ust i ugryzła.

– Co się ze mną dzieje? Pijana jestem?

– Chce pani zyskać na czasie — powiedziałem. — Ale nie mogę się zdecydować, czy chodzi o to, żeby ktoś zdążył tu dojechać, czy odjechać. A może to po prostu szok podlany koniakiem. Jest pani małą dziewczynką, która chce sobie po płakać w maminy fartuch.

– Tylko nie maminy — powiedziała. — Równie dobrze mogłabym płakać w rynnę.

– Załatwione. W takim razie gdzie jest Steelgrave?

– Gdziekolwiek jest, powinieneś być zadowolony. Miał cię zabić. Albo uważał, że ma.

– Chciała pani, żebym tu przyjechał, tak? Czy aż tak go pani kocha?

Zdmuchnęła popiół z grzbietu dłoni. Jeden pyłek wpadł mi do oka, zamrugalem.

– Chyba tak — powiedziała. — Kiedyś. — Położyła rękę na kolanie, rozstawiła palce i zaczęła studiować paznokcie. Nie poruszając głową, wolno podniosła oczy. — Wydaje mi się, że tysiąc lat temu poznałam miłego, spokojnego faceta, który umiał się zachować w towarzystwie i nie wycierał się po wszystkich lokalach w tym mieście. Tak, lubiłam go. Naprawdę bardzo go lubiłam.

Podniosła dłoń do ust i ugryzła się w kostkę. Potem tę samą rękę włożyła do kieszeni futra i wyjęła z niej rewolwer z białą rękojeścią, bliźniaka tego, który miałem sam.

– A na koniec polubiłam go tym — powiedziała.

Podszedłem do niej i wyjąłem jej broń z ręki. Powąchałem lufę. W takim razie strzelano z obydwóch.

– Nie zawiniesz tego w chusteczkę, jak w filmie?

Wrzuciłem rewolwer po prostu do drugiej kieszeni, gdzie mogły do niego przylgnąć paprochy tytoniu i ziarenka, które rosną tylko na południowo-wschodnim stoku ratusza Beverly Hills.

Policyjny chemik będzie miał zabawę.

Obserwowałem ją przez chwilę, zagryzając wargi, ona obserwowała mnie. Nie zauważyłem na jej twarzy zmiany wyrazu. Po chwili zacząłem się rozglądać po pokoju. Uniosłem pokrowiec na jednym ze stołów. Stół był przygotowany do gry w ruletkę, brakowało tylko kółka. Pod blatem nie było nic.

– Zajrzyj do tego fotela w magnolie — powiedziała.

Nie patrzyła nawet w tę stronę. Musiałem go więc znaleźć sam. Zaskakujące, ile czasu mi to zajęło. Był to fotel z wysokim oparciem i wysokimi poręczami, pokryty perkalem w kwiatki. Dawno temu takie fotele miały człowieka osłaniać od przeciągu, kiedy siedział skulony przed kominkiem, na którym palił się czarny, tłusty węgiel.

Fotel stał do mnie tyłem. Podszedłem w tamtą stronę, cicho, na pierwszym biegu. Był prawie odwrócony do ściany. Nawet w tej sytuacji śmieszne było, że nie zauważyłem go, wracając od strony baru. Leżał w rogu fotela z głową odchyłoną Mo tyłu. Czerwono-biały goździk w jego klapie wyglądał świeżo, jakby dopiero przypięty. Oczy miał półotwarte, jak to zwykle bywa. Wpatrywały się w jeden punkt na suficie. Kula przeszła przez zewnętrzną kieszeń jego dwurzędowej marynarki. Strzelał ktoś, kto dobrze wiedział, gdzie jest serce.

Dotknąłem policzka, był jeszcze ciepły. Podniosłem rękę i puściłem. Opadła bezwładnie. W dotyku była to po prostu zwykła ludzka dłoń. Dotknąłem arterii szyjnej. Krew nie płynęła, bardzo mało

wyciekło na marynarkę. Wytarłem ręce w chusteczkę i postąłem jeszcze chwilę patrząc na jego spokojną, szczupłą twarz. Wszystko, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, wszystko, co słuszne i co niesłuszne, wszystko na nic.

Siadłem przy niej ściskając rękami kolana.

– A co miałam zrobić? — spytała. — Przecież zabił mojego brata.

– Pani brat nie był aniołkiem.

– Nie musiał go zabijać.

– Ktoś musiał, i to szybko.

Jej oczy rozszerzyły się nagle.

– Czy nigdy się pani nie zastanawiała, dlaczego Steelgrave nie próbował dobrać mi się do skóry i dlaczego pozwolił pani jechać wczoraj do Van Nuysa, zamiast pojechać samemu? — spytałem. — Czy nigdy się pani nie zastanawiała, dlaczego facet o jego możliwościach i doświadczeniu nie próbował dostać tych fotografii, bez względu na to, co musiałby w tym celu zrobić?

Nie odpowiedziała.

– Od jak dawna wiedziała pani, że te zdjęcia istnieją? — zapytałem. '

– Od paru tygodni, prawie od dwóch miesięcy. Dostałam jedno z nich pocztą kilka dni później... to znaczy w kilka dni po tym, jak jedliśmy razem lunch.

– Po tym, jak zginął Stein.

– Tak, oczywiście.

– Czy pomyślała pani, że Steelgrave zabił Steina?

– Nie. Dlaczego? To znaczy do dzisiaj nie.

– Co się stało, kiedy pani dostała to zdjęcie?

– Mój brat Orrin zadzwonił do mnie, powiedział, że stracił pracę i że nie ma ani grosza. Chciał pieniędzy. Nie mówił nic o żadnym zdjęciu. Nie musiał. Mogło zostać zrobione tylko przy jednej okazji.

– W jaki sposób zdobył pani numer?

– Telefonu? A pan jak?

– Kupiłem.

– No więc... — zrobiła niejasny gest ręką. — Dlaczego nie zadzwoni pan na policję, żeby wreszcie skończyć z tym wszystkim?

– Chwileczkę. A później co? Następne odbitki?

– Raz na tydzień. Pokazałem je jemu — machnęła w stronę fotela. — Nie był zadowolony. O Orrinie nie powiedziałam mu nic.

– Musiał wiedzieć. Tacy jak on dowiadują się wszystkiego.

– Też tak myślę.

– Nie wiedział jednak, gdzie Orrin się ukrywa — powiedziałem. — Nie czekałby tak długo. Kiedy powiedziała pani Steelgrave'owi?

Odwróciła ode mnie wzrok. Gniotła rękę palcami.

– Dzisiaj — powiedziała odległym, nieobecny glosem.

– Dlaczego dzisiaj?

Oddech uwiązał jej w gardle.

– Proszę — powiedziała. — Nie zadawaj mi tych wszystkich niepotrzebnych pytań. Nie dręcz mnie. I tak nic nie możesz zrobić. Myślałam, że jeszcze coś można... to znaczy kiedy dzwoniłam do Dolores. Ale teraz już nie.

– W porządku — powiedziałem. — Jest coś, czego pani najwyraźniej nie rozumie. Steelgrave wiedział, że temu komuś, kto ma fotografie, chodzi o pieniądze, i to duże pieniądze. Wiedział, że prędzej czy później szantażysta będzie się musiał ujawnić. I na to właśnie czekał. Sam się tym zdjęciem nie przejmował, chodziło mu tylko o panią.

– Dowiedział tego — powiedziała ze znużeniem.

– Na swój sposób.

W jej głosie zabrzmiał teraz lodowaty spokój.

– Zabił mojego brata. Sam mi to powiedział. Jednak w końcu wylazł z niego gangster. Ciekawych

ludzi spotyka człowiek w Hollywood, co? Nie wyłączając mnie.

– Kiedyś go pani lubiła — powiedziałem brutalnie.

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Nie lubię nikogo — powiedziała. — Skończyłam już z lubieniem ludzi. — Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę fotela z wysokim oparciem. — Przestałam go lubić wczoraj wieczorem. Spytał mnie o ciebie, o to, kim właściwie jesteś, i tak dalej. Powiedziałam mu. Powiedziałam, że będę musiała się przyznać, że byłam w hotelu Van Nuysa, kiedy ten człowiek leżał tam martwy.

– Chciała pani powiedzieć to policji?

– Chciałam to powiedzieć Oppenheimerowi. On już by wiedział, co z tym zrobić.

– A jak nie on, to któryś z jego psów — powiedziałem.

Nie uśmiechnęła się. Ja też nie.

– Gdyby Oppenheimer nie mógł sobie z tym poradzić, w filmie byłabym skończona — dodała obojętnie. — Teraz jestem skończona wszędzie.

Wyjąłem papierosa i zapaliłem. Poczęstowałem i ją, ale nie chciała. Nie spieszyłem się. Czas stracił nade mną wszelką władzę. Zresztą wszystko inne też. Byłem wykończony.

– Za szybko pani leci jak dla mnie — powiedziałem po chwili. — Kiedy pani szła do Van Nuysa, nie wiedziała pani jeszcze, że Steelgrave to Płaksa Moyer.

– Nie.

– W takim razie dlaczego pani tam poszła?

– Żeby wykupić te fotografie.

– Nie zgadza się. Fotografie nie miały wówczas dla pani znaczenia. Po prostu wy dwoje podczas lunchu.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, następnie zacisnęła oczy i otworzyła je szeroko.

– Nie lubię płakać — oznajmiła. — Mówiłam, że nie wiedziałam. Ale przecież kiedy był wtedy w więzieniu, domyśliłam się, że jest coś, o czym wolałby milczeć. Wiedziałam, że maczał palce w jakichś nieczystych sprawach. Ale nie wiedziałam, że zabijał ludzi.

– Mhm — mruknąłem. Wstałem i jeszcze raz podszedłem do fotela z wysokim oparciem. Jej oczy powędrowały wolno za mną. Pochyliłem się nad martwym Steelgrave'em i pomacałem go po lewym ramieniu. W kaburze był pistolet. Nie dotknąłem go. Wróciłem i znowu siadłem naprzeciwko niej.

– Załatwienie tego będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy — powiedziałem.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Był to bardzo wąty uśmiech, ale jednak uśmiech.

– Nie mam mnóstwa pieniędzy — powiedziała. — Więc nie ma o czym mówić.

– Oppenheimer ma. Jest pani dla niego warta miliony.

– Nie zaryzykuje. Za duża konkurencja jest dzisiaj w filmie. Przeżyje jakoś tę stratę i po pół roku zapomni.

– Powiedziała pani, że pójdzie pani do niego.

– Powiedziałam, że poszłabym do niego, gdybym wpadła w kłopoty, ale gdybym niczego naprawdę nie zrobiła. Ale teraz już coś zrobiłam.

– A Ballou? Dla niego też jest pani mnóstwo warta.

– Nie jestem warta złamanego grosza dla nikogo. Daj sobie spokój, Marlowe. Wiem, że masz dobre intencje, ale ja znam tych ludzi.

– No to jestem jeszcze ja — powiedziałem. — I dlatego pani po mnie poszła.

– Wspaniale! — zawołała. — Ty to załatwisz, kochanie. — Za darmo. — Jej głos był znowu kruchy i bezdźwięczny.

Podszedłem i siadłem koło niej na kanpic. Wziąłem ją za rękę, wyjąłem jej dłoń z kieszeni futra i zamknąłem w swojej. Mimo futra była prawie lodowata.

Odwróciła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. Potrząsnęła lekko głową.

– Uwierz mi, kochanie, nie jestem tego warta, nawet tego, żeby się ze mną przespać.

Obróciłem jej dłoń i rozprostowałem palce. Były sztywne i stawiały opór. Otwierałem je jeden po drugim. Wygładziłem jej dłoń.

– Powiedz mi, dlaczego miałaś przy sobie ten rewolwer.

- Rewolwer?
- Nic myśl, nie zastanawiaj się. Po prostu powiedz. Czy chciałaś go zabić?
- Czemu nie, kochanie? Myślałam, że coś dla niego znaczę. Jestem trochę próżna. Oszukał mnie. Ale dla takich Steelgrave'ów nikt nic nie znaczy. I nikt już nic nie znaczy dla wszystkich Mavis Weld.

Wyrwała mi rękę, odsunęła się i uśmiechnęła blado.

- Nie powinnam była dawać ci tego rewolweru. Gdybym cię zabiła, mogłabym się jeszcze z tego wygrzebać.

Wyjąłem go i wyciągnąłem do niej. Wzięła broń i wstała szybko. Rewolwer wycelowany był we mnie. Mały, zmęczony uśmiezek znowu poruszył jej wargi. Palec na spuście był mocno zaciśnięty.

- Strzelaj wysoko — powiedziałem. — Mam na sobie kamizelkę kuloodporną.

Opuściła rewolwer i przez chwilę po prostu stała tak, gapiąc się we mnie. Potem rzuciła rewolwer na kanapę.

- Chyba po prostu nie podoba mi się scenariusz — powiedziała. — Nie czuję tych kwestii.

Rozumiesz, o co mi chodzi, to chyba po prostu nie ja.

Zaśmiała się i spojrzała na podłogę. Suwała czubkiem buta tam i z powrotem po dywanie.

- Tośmy sobie pogadali, kochanie. Telefon stoi tam, na barze.

- Dziękuję, czy pamiętasz numer Dolores?

- Czemu Dolores?

Kiedy się nie odezwałem, podała mi numer. Przeszedłem przez pokój do baru i wykręciłem numer.

Ta sama procedura co przedtem. Dobry wieczór, Chateau Bercy, kto dzwoni do panny Gonzales?

Chwileczkę, dryń, dryń, a potem namiętny głos:

- Halo?

- Marlowe. Czy naprawdę chciała mnie pani wystawić do strzału?

Prawie usłyszałem, jak wstrzymuje oddech. Ale niezupełnie. Tak naprawdę nie da się tego usłyszeć przez telefon. Ale czasami się człowiekowi wydaje.

- *Amigo*, jakże się cieszę, że słyszę twój głos! — powiedziała. — Naprawdę bardzo się cieszę!

- Niech pani powie: tak czy nie?

- Nie... nie wiem. Bardzo mi przykro, że mogło tak być. Bardzo cię lubię.

- Mam tu drobne kłopoty.

- Czy on... — długa pauza. Telefon wewnętrzny. Ostrożnie. — Czy on tam jest?

- W pewnym sensie. Jest, a nie jest.

Tym razem naprawdę usłyszałem jej oddech. Długie westchnienie, prawie świst.

- Kto jeszcze?

- Nikt. Ja i moje zadanie domowe. Chciałbym panią o coś zapytać. To cholernie ważne. Proszę mi powiedzieć prawdę. Skąd pani miała to coś, co mi pani dała dziś wieczór?

- Jak to? Od niego. On mi to dał.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem. A bo co?

- O której?

- Koło szóstej chyba.

- Dlaczego to pani dał?

- Poprosił, żebym mu przechowała. Zawsze nosił coś takiego przy sobie.

- Poprosił, żeby pani przechowała? Dlaczego?

- Nie powiedział, *amigo*. On zawsze robił takie rzeczy. I nigdy się z tego nie tłumaczył.

- Nie było w tym nic szczególnego? W tym, co pani dał?

- Dlaczego? Nie, chyba nie.

- Owszem, było. Zauważyła pani, że z tego strzelano, poczuła pani zapach prochu.

- Ale ja nie...

- Właśnie, że tak. Myślała pani nad tym. Nie chciała pani tego zatrzymać, więc oddała mu to pani.

Nie lubi pani mieć takich rzeczy przy sobie.

Zapadła dłuższa cisza. Wreszcie powiedziała:

– Oczywiście. Ale dlaczego miałbyś chcieć, żebym ja to miała? Jeśli oczywiście tak było.
– Nie powiedział pani dlaczego. Po prostu próbował pani wcisnąć rewolwer, pani nie chciała.
Zapamiętała pani?

– Czy tak mam mówić?

– *Si.*

– Czy to mi niczym nie grozi?

– A od kiedy zrobiła się pani taka ostrożna?

Zaśmiała się cicho.

– *Amigo*, bardzo dobrze mnie rozumiesz.

– Dobranoc — powiedziałem.

– Chwileczkę, nie powiedział mi pan, co się stało.

– W ogóle do pani nie dzwoniłem.

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się. Mavis Weld stała na środku pokoju i patrzyła na mnie.

– Masz tutaj swój samochód? — spytałem.

– Tak.

– Już cię tu nie ma.

– I co mam zrobić?

– Jedź do domu. To wszystko,

– Nie ujdzie ci to na sucho — powiedziała cicho.

– Jesteś moją klientką.

– Nie mogę się na to zgodzić. Zabiłam go. Dlaczego mam cię w to wrabiać?

– Nie kręć. I wyjedź stąd tą tylną drogą, nie tak, jak mnie tu przywiozła Dolores.

Gapiała mi się prosto w oczy i powtórzyła głosem pełnym napięcia,

– Zabiłam go,

– Zupełnie nic nie słyszę.

Złapała zębami dolną wargę i trzymała ją w okrutnym uścisku. Ledwo oddychała. Stała sztywno. Podszedłem do niej bliżej i dotknąłem jej policzka czubkiem palca. Nacisnąłem i patrzyłem, jak biała plamka barwi się na czerwono.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczego to wszystko robię — powiedziałem — to możesz być pewna, że nie chodzi mi o ciebie. Jestem coś winien glinom. Grałem z nimi znaczone kartami. Oni to wiedzą. I ja też. Po prostu chcę im dać szansę, żeby sobie mogli poużywać.

– Jakby trzeba im było dawać szansę. — Odeszła nagle.

Patrzyłem za nią i czekałem, aż się odwróci.

Przeszła pod łukowatym sklepieniem, nie patrząc za siebie. Po dłuższej chwili usłyszałem warkot. Potem głuchy łomot — to podnosiły się drzwi garażu. Gdzieś daleko ruszył silnik. Zwolnił po chwili, a potem drzwi opadły.

Kiedy samochód się oddalił, wszystko ucichło. Nie słyszałem nic. Cisza tego domu wisiała wokół mnie w grubych, ciężkich strzepach, jak futro na ramionach Mavis Weld.

Zaniósłem butelkę i kieliszek z powrotem do baru i przeskoczyłem przez blat. Wypłukałem kieliszek w małym zlewie i odstawiłem butelkę na półkę. Tym razem znalazłem trikowy zamek i otworzyłem drzwi po przeciwnej stronie baru. Wróciłem do Steelgrave'a.

Wyjąłem rewolwer, który dała mi Dolores, wytarłem go i przycisnąłem jego drobną, wiotką dłoń do rękojeści, przytrzymałem i puściłem. Rewolwer stuknął o podłogę. Położenie wyglądało naturalnie. Nie myślałem o odciskach palców. Bardzo dawno temu nauczył się pewnie nie zostawiać ich na żadnej broni.

Zostały mi jeszcze trzy spluwy. Wyjąłem mu rewolwer z kabury pod pachą i włożyłem na dolną półkę w barze, zawinięty w ręcznik. Lugera nie dotykałem. Został mi jeszcze trzeci automat — z białą rękojeścią. Spróbowałem obliczyć mniej więcej, z jakiej odległości z niego strzelano. Musiała być dostatecznie duża, by nie zostawić śladów prochu, ale i niewiele większa. Stałem trzy stopy od Steelgrave'a i wystrzeliłem dwa razy obok niego. Kule weszły w ścianę. Odwróciłem fotel przodem do pokoju. Położyłem mały automat na przykryciu jednego ze stołów do ruletki. Dotknąłem z boku szyi mięśnia, który zwykle pierwszy sztywnieje. Nie mogłem wyczuć, czy już

się ten proces zaczął, czy jeszcze nie. Ale skóra była chłodniejsza niż przed chwilą.

Nie zostało mi już zbyt wiele czasu na guzdranie się.

Podszedłem do telefonu i wykręciłem numer Komendanta Policji w Los Angeles. Telefonistę poprosiłem o Christy'ego Frencha. Odezwał się jakiś głos z wydziału zabójstw, powiedział, że French poszedł do domu i spytał, o co chodzi. Powiedziałem, że to osobista sprawa i że French czeka na ten telefon. Dał mi jego domowy numer, z pewnymi oporami, nic dlatego, żeby się tym przejmował, ale dlatego, że oni nienawidzą robić czegokolwiek dla kogokolwiek kiedykolwiek. Wykręciłem numer, odezwała się kobieta, która go zawołała. Wyglądało na to, że jest spokojny i wypoczęty.

– Tu Marlowe. Czy panu nie przeszkodziłem?

– Czytałem dzieciakowi. Powinien już być w łóżku. Co się dzieje?

– Wtedy u Van Nuysa powiedział pan, że gdyby ktoś podrzucił panu coś na Płaksę Moyera, to zyskałby przyjaciela. Pamięta pan?

– Tak.

– Potrzebuję przyjaciela.

Nie wydawał się szczególnie zainteresowany.

– Co na niego masz?

– Przypuszczam, że to ten sam facet, Steelgrave.

– Za dużo przypuszczasz, chłopie. Trzymaliśmy go w pudle, bo też tak myśleliśmy. Ale nie zniósł nam złotego jajka.

– Dostaliście donos. Sam go wysłał. Żebyście tej nocy, kiedy zginie Stein, mieli go na oku.

– Zmyślasz czy masz jakieś dowody? — tym razem głos był już nieco mniej na luzie.

– Gdyby ktoś wyszedł z więzienia na lekarską przepustkę, to dałoby się tego dowieść?

Zapadło milczenie. Usłyszałem płaczący głos dziecka i uspokajający głos kobiety.

– Zdarzało się — powiedział ciężko French. — Bo ja wiem. Nie tak łatwo zdobyć taką przepustkę. Wysłaliby go pod strażą. Dogadał się ze strażnikiem?

– To moja teoria.

– Lepiej się z nią prześpij. Coś jeszcze?

– Jestem w Stillwood Heights. Taki duży dom, gdzie sobie urządzili ruletkę, a sąsiedzi nie są zadowoleni.

– Czytałem o tym. Steelgrave też tam jest?

– Jest. Jestem tu z nim sam.

Znowu zapadła cisza. Dziecko zaczęło się drzeć i zdaje się, że usłyszałem klapsa. Dziecko rozdarło się głośniej. French wrzasnął na kogoś.

– Dawaj go do telefonu — powiedział wreszcie.

– Wolno dziś myślisz, Christy. Po co dzwoniłbym do ciebie?

– Taa — powiedział. — Idiota ze mnie. Co to za adres?

– Nie wiem. To na końcu Tower Road w Stillwood Heights, a numer telefonu Halldale 9-5033.

Czekam,

Powtórzył numer i powiedział wolno:

– Tym razem poczekasz, co?

– Kiedyś musiała nadejść ta chwila.

Telefon szczyknął i odłożyłem słuchawkę.

Przeszedłem przez cały dom, zapalając wszystkie światła, jakie udało mi się znaleźć, po czym wyszedłem tylnymi drzwiami na górce. Były tam reflektory oświetlające podjazd dla samochodów. Zapaliłem je. Zszedłem po schodach i ruszyłem w stronę kępy oleandrów. Prywatna brama była otwarta jak przedtem. Zamknąłem ją, założyłem łańcuch i zatrzasnąłem kłódkę. Wróciłem powoli, patrząc w księżyc, wdychając nocne powietrze, nasłuchując rzekotek i świerszczy. Wszedłem do domu, znalazłem drzwi frontowe i zapaliłem nad nimi światło. Przed wejściem był wielki parking i okrągły klomb z różami. Żeby się wydostać trzeba było jednak objechać dom dookoła.

Był to ślepy zaułek, jeżeli nie liczyć przejazdu przez sąsiednie posiadłości. Zastanawiałem się, kto tam mieszka. Bardzo daleko, przez gałęzie drzew, dostrzegłem światła wielkiego domu. Jakiś

hollywoodzki magnat, jakiś czarodziej mokrego pocałunku i pornograficznego wyciemnienia. Wróciłem i obmacałem rewolwer, z którego właśnie wystrzeliłem. Był już dostatecznie zimny. A pan Steelgrave wyglądał tak, jakby naprawdę postanowił zostać martwy. Nie było słycać syreny. Wreszcie dotarł do mnie odgłos samochodu, wjeżdżającego na wzniesienie. Wyszedłem mu na spotkanie, ja i mój cudowny sen.

29

Przyjechali tak, jak należało się spodziewać: wielcy, mocni, spokojni; w oczach mieli czujność, ostrożność i nieufność.

– Miły domek — powiedział French. — Gdzie właściciel?

– W środku — powiedział Beifus, nie czekając na moją odpowiedź.

Przeszli przez pokój bez pośpiechu i stali nad nim, patrząc uroczyście.

– Jakby nieżywy, co? — powiedział Beifus, zaczynając przedstawienie.

French pochylił się, podniósł z ziemi rewolwer, trzymając go dwoma palcami za osłonę cyngla.

Strzelił oczyma w bok i kiwnął brodą, Beifus podniósł drugi rewolwer z białą rękojeścią, wsuwając ołówek w lufę.

– Odciski wszędzie na właściwym miejscu, mam nadzieję — powiedział Beifus. Powąchał. — O tak, ten filut nie próżnował. Jak twój, Christy?

– Strzelał — powiedział French. Znowu powąchał. — Ale nie tak świeżo. — Wyjął małą latarkę z kieszeni i poświecił nią w lufę czarnego rewolweru. — Parę godzin temu.

– W Bay City, w domu na Wyoming Street — powiedziałem.

Ich głowy odwróciły się w moją stronę unisono.

– Zgadujesz? — spytał powoli French.

– Tak.

Podszedł do przykrytego stołu i położył rewolwer w pewnej odległości od drugiego.

– Lepiej oznacz je od razu, Fred. To bliźniaki. Podpiszemy obydwaj.

Beifus kiwnął głową i pogrzebał w kieszeniach. Wyciągnął dwie tasiemki z kartonikami. Czego ci policjanci nie noszą przy sobie.

French ruszył w moją stronę.

– Skończmy ze zgadywaniem i przejdźmy do tego, co wiesz.

Pewna moja znajoma zadzwoniła do mnie dziś wieczorem i powiedziała, że mojemu klientowi coś grozi, z jego strony — kiwnąłem brodą, w kierunku zwłok na fotelu. — Przywiozła mnie tutaj.

Przejechaliśmy przez blokadę na drodze. Kilka osób widziało nas oboje. Zostawiła mnie na tyłach domu i pojechała do siebie.

– Ma jakieś nazwisko? — spytał French.

– Dolores Gonzales, Chateau Bercy. Na Franklin Avenue. Gra w filmie.

– Ho, ho! — powiedział Beifus i wyrócił oczami.

– A kto to jest ten klient? Też ona? — spytał French.

– Nie, zupełnie kto inny.

– Ma nazwisko?

– Jeszcze nie.

Wbili we mnie bystre, twarde spojrzenia. Broda Frencha prawie podskoczyła. Po obu stronach szczęki pojawiły mu się węzły.

– Nowe zasady, co? — powiedział cicho.

– Musi przecież być jakiś układ w sprawie rozgłosu — powiedziałem. — Chyba prokurator okręgowy pójdzie na rękę.

– Nie znasz za dobrze prokuratora, Marlowe — odezwał się Beifus. — Jest pazerny na rozgłos jak ja na zielony groszek.

– Nie obiecujemy ci niczego, Marlowe — powiedział French.

– Nie ma nazwiska.

– Możemy je ustalić na tysiąc sposobów, bracie — powiedział Beifus. — Po co te formalności, które tylko utrudniają nam wszystkim życie

– Żadnego rozgłosu — powiedziałem — do czasu sformułowania zarzutu.

– Nie ujdzie ci to płazem, Marlowe.

– Mam to gdzieś — powiedziałem. — Ten facet tutaj zabił Orrina Questa. Weźcie tę broń do miasta i porównajcie z kulami znalezionymi w Quescie. Zróbcie dla mnie przynajmniej to, zanim mnie postawicie w sytuacji bez wyjścia.

– Nie zrobię dla ciebie ani tyle co brudu za paznokciem — powiedział French.

Nie odpowiedziałem. Gapił się na mnie z lodowatą nienawiścią w oczach. Jego usta poruszyły się powoli, a głos był pełen napięcia.

– Byłeś tu, kiedy dostał?

– Nie.

– A kto był?

– On — powiedziałem patrząc na martwego Steelgrave'a.

– Kto jeszcze?

– Nie będę was okłamywał — powiedziałem. — I nie powiem wam nic, chyba że na warunkach, które podałem. Nie wiem, kto tu był, kiedy on dostał.

– Kto tu był, kiedy przyjechałeś?

Nie odpowiedziałem. Odwrócił powoli głowę i powiedział do Beifusa:

– Załóż mu obrączki. Z tyłu.

Beifus zawahał się. Wziął po chwili parę metalowych kajdanek, które wyjął z lewej kieszeni swoich spodni i podszedł do mnie.

– Weź ręce do tyłu — powiedział zakłopotanym głosem.

Zrobiłem, co mi kazał. Zatrzasnął kajdanki. French podszedł wolno i stanął przede mną. Miał półprzymknięte oczy. Skóra wokół nich była szara ze zmęczenia.

– Wygłoszę teraz małą mowę — powiedział. — Nie będzie ci się podobać...

Nic nie powiedziałem.

– Z nami jest właśnie tak, kochanie — powiedział French. — Jesteśmy gliny i wszyscy nas nienawidzą. Zupełnie jakbyśmy nie mieli dosyć kłopotów, mamy jeszcze ciebie. Jakby nie dość nas rozstawiali po kątach faceci z urzędów, gang z ratusza, dzienny szef, nocny szef, izba handlowa, Jego Wysokość Burmistrz w swoim wykładanym boazerią gabinecie cztery razy większym niż te trzy nędzne pokoiki, w których musi pracować cały wydział zabójstw. Jakbyśmy nie musieli w zeszłym roku załatwić stu czternastu zabójstw w tych pokojach, w których nie ma nawet dość krzesel, żeby wszyscy na służbie mogli jednocześnie usiąść. Spędzamy życie, grzebiąc się w brudach i wachając zepsute zęby. Łazimy gdzieś po ciemnych schodach, żeby złapać uzbrojonego świrusa naćpanego opium, i czasem nie dochodzimy nawet na samą górę, i nasze żony czekają na nas z kolacją tego wieczora i wszystkich następnych. Bo nie wracamy już do domu. A jeżeli wracamy, to jesteśmy tak cholernie wykończeni, że nie mamy siły ani jeść, ani spać, ani nawet czytać tych łgarstw, które wypisują o nas w gazetach. Leżymy więc w łóżku i nie możemy zasnąć — w obskurnym mieszkaniu na obskurnej ulicy i słuchamy pijaków, co zabawiają się w sąsiedztwie. I właśnie w momencie kiedy zaczynamy zasypiać, dzwoni telefon, wstajemy i wszystko zaczyna się od początku. Nic, co zrobimy, nie jest dobre, nigdy. Ani razu. Kiedy ktoś przyznaje się do winy, to dlatego, żeśmy go sprali, a jakiś tam adwoka-cina wymyśla nam w sądzie od gestapo i nabija się z nas, kiedy gadamy niegramatycznie. A jak nam się noga powinie, każą nam z powrotem włożyć mundur i wysyłają nas do najgorszej dzielnicy, gdzie spędzamy miłe, chłodne, letnie wieczory zbierając po rynsztokach pijaków, wysłuchując kurewskich wrzasków i odbierając noże zalany elegancikom. Ale to wszystko mało. Musimy mieć jeszcze ciebie.

Przerwał i nabrał tchu. Jego twarz lśniła, jakby złana potem. Pochylił się nieco.

– Musimy mieć jeszcze ciebie — ciągnął. — Musimy mieć tych cwaniaków z prywatną licencją, co ukrywają przed nami informacje, chowają się po kątach i podnoszą kurz, którym potem my

musimy oddychać. Musimy jeszcze mieć ciebie, żebyś sprzątał nam sprzed nosa dowody rzeczowe i fałszował poszlaki, że dziecko by się nie nabrało. Nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, że nazwę cię skurwysyńskim łgarskim szpiclem, co, kochasiu?

– A chciałbyś, żebym miał? — spytałem.

Wyprostował się.

– Jeszcze jak! — powiedział. — Oszalałbym ze szczęścia.

– Jest w tym, co mówisz, trochę prawdy — powiedziałem. — Ale nie całkiem. Każdy prywaciarz chce współpracować z policją, tylko czasami trochę trudno się połapać, kto ustala reguły gry.

Czasami nie ufa policji i ma powody. Czasami po prostu wpada w kłopoty bez własnej winy i musi rozegrać partię z taką kartą, jaką dostał. Ale wolałby zawsze nowe rozdanie. Bo chce nadal zarabiać na życie.

– Licencję masz z głowy — powiedział French. — Jak na razie. Możesz się tym już nie przejmować.

– Będę ją miał z głowy, kiedy komisja, która mi ją wręczyła, orzeknie, że mam ją z głowy, nie wcześniej.

– Skończmy z jednym, Christy — powiedział Beifus spokojnie. — To może poczekać.

– Właśnie kończę — odparł French. — Ale na swój sposób. Ten ptaszek nie błysnął jeszcze dowcipem. Czekam na ten dowcip. Na tę błyskotliwą replikę. Tylko mi nie mów, Marlowe, że ci się koncept wyczerpał.

– Co właściwie chciałbyś, żebym powiedział? — spytałem.

– Zgadnij.

– Jesteś dzisiaj ludojad — powiedziałem. — Masz ochotę zrobić ze mnie marmoladę. Ale potrzebny ci pretekst. I chcesz, żebym ja ci go dał.

– Przydałoby się — wycedził przez zęby.

– A co zrobiłbyś na moim miejscu? — spytałem.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł upaść aż tak nisko.

Obliznął czubek górnej wargi. Prawa ręka zwisała mu u boku. Zaciskał i rozluźniał palce sam o tym nie wiedząc.

– Daj spokój, Christy — powiedział Beifus. — Nie szalej.

French nie poruszył się. Beifus podszedł bliżej i stanął między nami. French powiedział:

– Zabieraj się, Fred.

– Nie.

French zacisnął pięść i trzasnął go mocno w szczękę. Beifus zachwiał się i zrobił krok do tyłu, odpychając mnie przy tym. Kolana się pod nim ugięły. Pochylił się do przodu i kaszlnął. Powoli potrząsnął głową w tej pozycji. Po chwili wyprostował się z pomrukiem. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się.

– To nowy typ przesłuchania trzeciego stopnia — powiedział. — Gliny piorą się do nieprzytomności, a podejrzany pęka od samego patrzenia.

Podniósł rękę i dotknął szczęki. Już mu zaczęła puchnąć. Usta uśmiechały się, ale oczy były jeszcze otępiałe. French stał jak wrośnięty i milczał.

Beifus wyjął paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i wyciągnął w stronę Frencha. French spojrzał na papierosa, potem na Beifusa.

– Siedemnaście lat tego wszystkiego — powiedział. — Nawet żona mnie nienawidzi.

Otwartą ręką klepnął Beifusa lekko po policzku. Beifus nadal się uśmiechał.

– To ciebie wałnąłem, Fred? — spytał French.

– Nikt mnie nie wałnął, Christy — powiedział Beifus. — Nic sobie nie przypominam.

– Zdejmij mu obrączki i zaprowadź do samochodu — powiedział French. — Jest aresztowany.

Przykuj go do poręczy, jeżeli uważasz, że to konieczne.

– Dobra. — Beifus zaszedł mnie od tyłu. Kajdanki puściły. — Chodź, dziecino — powiedział.

Patrzyłem twardo na Frencha. Gapił się we mnie jak na tapetę. Robił wrażenie, jakby mnie w ogóle nie widział. Wyszedłem pod łukowatym sklepieniem na zewnątrz.

Nigdy się nie dowiedziałem, jak się nazywa, ale był raczej niewysoki i szczupły jak na glinę, bo musiał przecież być gliną, choćby dlatego, że tam był, a także dlatego, że kiedy pochylił się przez stół, żeby dobrać kartę, zobaczyłem skórzana kaburę pod pachą i kolbę policyjnego 38.

Niewiele mówił, ale kiedy się odzywał, głos miał miły, jak miękka woda. I miał uśmiech, co ogrzewał cały pokój.

– Wspaniały rozkład — powiedziałem, patrząc na niego ponad kartami.

Stawialiśmy pasjansa. To znaczy on stawiał, a ja po prostu siedziałem, przyglądałem mu się, przyglądałem się jego drobnym, schludnym, bardzo czystym dłoniom, które biegały nad stołem, dotykały jakiejś karty, podnosiły ją delikatnie i kładły gdzie indziej. Kiedy już to zrobił, składał usta i gwizdał sobie, bez żadnej melodii — po prostu cichy, łagodny świst — jak bardzo młoda lokomotywa, która nie jest jeszcze zupełnie pewna siebie.

Uśmiechnął się i położył czerwoną dziewiątkę na czarnej dziesiątce.

– A co pan robi, kiedy ma pan wolne? — spytałem.

– Dużo gram na fortepianie — powiedział. — Mam siedmiostopowego Steinwaya. Przede wszystkim Mozarta i Bacha. Taki już jestem staroświecki. Większość ludzi mówi, że to nuda. Ja nie.

– Doskonały rozkład — powiedziałem i położyłem kartę.

– Zdziwiłby się pan, jak trudny potrafi być ten Mozart — powiedział. — A kiedy ktoś go dobrze gra, brzmi tak prosto.

– A kto go dobrze gra? — spytałem.

– Schnabel.

– Rubinstein?

Potrząsnął głową.

– Za ciężko. Za emocjonalnie. Mozart to po prostu muzyka. Żadnych komentarzy od wykonawcy.

– Tu pewnie dużo pan widzi takich, co się chcą pozwierzać — powiedziałem. — Lubi pan tę pracę?

Wziął kolejną kartę i lekko poruszył palcami. Miał paznokcie błyszczące, lecz krótkie. Widać było, że to człowiek, który lubi ruszać rękami, robić gesty drobne, niepozorne, bez szczególnego znaczenia, ale gładkie i lekkie jak łabędzi puch. Pewnie czuje wtedy, że robi delikatnie różne delikatne rzeczy. Delikatne, co nie znaczy słabe, Mozart, oczywiście. To jasne.

Było mniej więcej wpół do szóstej i niebo za przesłoniętym oknem zaczynało się rozjaśniać. Biurko z żaluzją w kącie było zamknięte. Był to ten sam pokój, w którym siedziałem poprzedniego popołudnia. Na brzegu stołu leżał kwadratowy, gruby ciesielski ołówek, ktoś podniósł go z ziemi po tym, jak porucznik Maglashan z Bay City trzasnął nim o ścianę. Na płaskim biurku, przy którym siedział Christy French, było pełno popiołu. Stary niedopałek cygara przykleił się do samej krawędzi szklanej popielniczki. Pod lampą zawieszoną u sufitu na opuszczonym sznurze krążyła ćma. Lampa miała biało-zielony klosz, jaki się jeszcze widuje w małomiasteczkowych hotelikach.

– Zmęczony? — spytał.

– Skonany.

– Nie powinien się pan mieszać do tych wszystkich afer. Nie widzę w tym najmniejszego sensu.

– Nawet kiedy kogoś zabijają?

Uśmiechnął się tym samym ciepłym uśmiechem.

– Pan nigdy nikogo nie zabił.

– Skąd pan wie?

– Zdrowy rozsądek i duże doświadczenie; zebrałem je przesiadując tutaj z ludźmi.

– Z tego wynika, że lubi pan tę pracę — powiedziałem.

– To nocna robota. W dzień mogę ćwiczyć. Robię to już od dwunastu lat. Naoglądałem się tutaj różnych ciekawskich typków.

Wyciągnął jeszcze jednego asa, w samą porę. Już byliśmy prawie zablokowani.

- Dużo pan słyszał spowiedzi?
- Nie jestem od przesłuchiwania — powiedział. — Ja tylko stwarzam nastrój.
- Czemu się pan do tego przyznaje?

Odchylił się lekko do tyłu i postukał krawędzią karty o kant stołu. Uśmiech powrócił.

- Do niczego się nie przyznaję. I tak od dawna wszystko o panu wiemy.
- To po co mnie tu trzymają?

Nie odpowiedział. Popatrzył na zegar ścienny.

– Myślę, że możemy sobie teraz coś zjeść, — Wstał i podszedł do drzwi. Uchylił je i powiedział coś cicho do kogoś po drugiej stronie. Potem wrócił, usiadł i rozejrzał się po naszych kartach.

– Nie ma co — powiedział. — Jeszcze trzy i jesteśmy zablokowani. Nie ma pan nic przeciwko temu, że zaczniemy od początku?

– Jeżeli o mnie chodzi, moglibyśmy w ogóle nie zaczynać. Ja nie gram w karty. W szachy.

Spojrzał na mnie szybko.

– Czemu mi pan od razu nie powiedział? Ja też chętnie zagrałbym w szachy.

– A ja najchętniej napiłbym się gorącej czarnej kawy, gorzkiej jak grzech śmiertelny.

– Zaraz będzie. Ale nie obiecuję, że będzie taka, do ja kiej jest pan przyzwyczajony.

– Nieważne, i tak jadam gdzie popadnie. No więc, jeżeli to nie ja zastrzeliłem, to kto?

– Myślę, że to ich właśnie męczy.

– Powinni się cieszyć, że ktoś to w ogóle zrobił.

– Pewnie się cieszą — powiedział. — Ale nie podoba im się sposób.

– Osobiście uważam, że robótka była elegancka, pierwsza klasa.

Popatrzył na mnie w milczeniu. Miał teraz w ręku cały plik kart. Ułożył je w równą kupkę, odwrócił i podzielił na dwie kupki. Karty jakby płynęły strumieniem prosto z jego rąk, ich kontury zatarły się.

– Gdyby pan był jeszcze równie szybki z bronią... — zacząłem.

Strumień kart się zatrzymał. Na ich miejscu niemal niepostrzeżenie pojawił się rewolwer, trzymał go lekko w prawej dłoni, celując w odległy kąt pokoju. Potem rewolwer zniknął i karty znowu ruszyły strumieniem.

– Marnuje się pan tutaj — powiedziałem. — Powinien, pan siedzieć w Las Vegas.

Podniósł jedną z talii, potasował ją lekko i szybko, przełożył, po czym rozdał mi pikowego pokera z ręki.

– Bezpieczniej czuję się przy Steinwayu — powiedział.

Otworzyły się drzwi i wszedł umundurowany policjant z tacą.

Zjedliśmy trochę wołowiny z puszki i wypiliśmy gorącą, ale słabą kawę. Było już zupełnie jasno.

O ósmej piętnaście wszedł Christy French i stanął nade mną w zsuniętym na tył głowy kapeluszu i z sińcami pod oczami.

Przeniosłem spojrzenie z powrotem na małego człowieka po drugiej stronie stołu. Ale jego już nie było. Nie było też kart. Nie było nic, tylko fotel przystawiony równiutko do stołu i naczynia, z których jedliśmy, ułożone porządnie na tacy. Przeszedł mnie trochę niesamowity dreszcz.

Potem Christy French obszedł stół dookoła, wyrwał spod niego fotel, usiadł i oparł brodę na rękę.

Zdjął kapelusz i wzburzył sobie włosy. Gapił się we mnie twardymi, ponurymi oczami. Byłem znowu w Policlandii.

– Prokurator okręgowy chce cię widzieć o dziewiątej — powiedział. — Potem pewnie będziesz mógł iść do domu. Oczywiście, jeżeli ci czegoś nie przypnie. Przepraszam, że musiałeś siedzieć na tym krześle przez całą noc.

– W porządku — powiedziałem. — Przydało mi się trochę gimnastyki.

– Taa, znowu w szczytowej formie — powiedział. Gapił się smętnie na talerze na tacy.

– Dostaliście Lagardiego? — spytałem.

- Nie. Ale to naprawdę lekarz, zgadza się. — Przeniósł wzrok na mnie. — Miał praktykę w Cleveland.
 - Paskudnie się wszystko zgadza — powiedziałem.
 - To znaczy co?
 - Młody Quest chce dusić forszę ze Steelgrave'a. Więc przez czysty przypadek napotyka jedyne go faceta w Bay City, który może dowieść, kim jest Steelgraye. To trochę zanadto pasuje.
 - Nie zapominasz o czymś?
 - Jestem taki zmęczony, że mogę zapomnieć, jak się nazywam. A co?
 - Ja też — powiedział French. — Ktoś przecież musiał, mu powiedzieć, kim jest Steelgrave. Kiedy to zdjęcie zostało zrobione, Moe Stein nie został jeszcze załatwiony. No więc co za pożytek ze zdjęcia, jeżeli ten ktoś nie wiedział, kim jest Steelgrave?
 - Myślę, że panna Weld wiedziała — powiedziałem. — A Quest był jej bratem.
 - Bez sensu gadasz, bracie — uśmiechnął się trochę drwiąco, ale ze znużeniem. — Miałaby pomagać bratu w duszeniu forsy ze swojego chłopaka? I przy okazji z siebie samej?
 - Poddaję się. Może to zdjęcie to był fuks. Ta druga siostra, to znaczy ta moja klientka, powiedziała, że on lubił robić takie „uczciwe” zdjęcia. Im bardziej „uczciwe”, tym lepiej. Gdyby jeszcze trochę pożył, zgarnęlibyście go za różne szwindle.
 - Za morderstwo — powiedział French obojętnie.
 - O!?
 - Maglashan znalazł jednak ten kolec do lodu. Tylko nie chciał się do tego przyznać przed tobą.
 - Musi w tym być coś więcej.
 - Jest, ale to ślepy zaulek. Clausen i Mileaway Marston byli notowani. Chłopak nie żyje. Rodzinę ma uczciwą. Miał żyłkę awanturniczą i dostał się w złe towarzystwo. Nie ma co obsmarowywać jego rodziny tylko po to, żeby dowieść, że policja jest w stanie rozwiązać sprawę.
 - To ładnie z waszej strony. A co ze Steelgrave'em?
 - To już nie mój kłopot — zaczął wstawać. — Kiedy gangster dostaje za swoje, jak długo trwa śledztwo?
 - Dopóki rzecz trzyma się pierwszych stron gazet — powiedziałem. — Ale tutaj jest jeszcze kwestia tożsamości.
 - Nie ma.
- Wbiłem w niego wzrok.
- Jak to nie ma?
 - Po prostu nie. Wiemy na pewno. — Teraz już stał. Przy gładził włosy palcami i poprawił krawat i kapelusz. Kącikiem ust powiedział cicho; — Poza protokołem: zawsześmy wiedzieli. Tylko nic na niego nie mieliśmy.
 - Dzięki — powiedziałem. — Zachowam to dla siebie. A co z rewolwerami?
- Zatrzymał się i wbił wzrok w stół. Jego oczy podniosły się dość wolno.
- Oba należały do Steelgrave'a. Co więcej, miał pozwolenie na broń. Z urzędu szeryfa w innym okręgu. Nie pytaj dłużej. Jeden z nich... — przerwał i spojrzał na ścianę nad moją głową — jeden z nich zabił Questa. Od tego samego zginął Stein.
 - Od którego?
- Uśmiechnął się słabo.
- Ale byłaby rozróżba, gdyby facet z balistyki je pomylił i gdybyśmy się nigdy nie dowiedzieli. Czekaj, aż coś powiem. Nie miałem nic do powiedzenia. Machnął ręką.
 - No to tymczasem. Nie czuję urazy, ale mam nadzieję, że prokurator obedrze cię ze skóry, długimi wąziutkimi paseczkami.
- Odwrócił się i wyszedł.
- Mogłem zrobić to samo, a jednak siedziałem i gapiłem się w ścianę naprzeciwko, jakbym zapomniał, jak się wstaje z krzesła. Po chwili otworzyły się drzwi i weszła pomarańczowa gwiazda. Otworzyła swoje biurko z żaluzją, zdjęła kapelusz ze swoich nieprawdopodobnych włosów, powiesiła żakiet na nagim haku wbitym w nagą ścianę. Otworzyła sąsiednie okno, zdjęła pokrywę z maszyny i wkręciła papier. Potem spojrzała na mnie.

– Czekasz pan na kogoś?
– Mieszkam tutaj — powiedziałem. — Byłem tu całą noc.
Przez chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku.
– Był pan tu wczoraj po południu, pamiętam.
Odwróciła się do swojej maszyny i jej palce zaczęły fruwać. Z otwartego okna za nią doszedł nas warkot samochodów wypełniających powoli parking. Niebo lśniło białym blaskiem i nie było smogu. Zapowiadał się gorący dzień.
Na biurku pomarańczowej gwiazdy zadzwonił telefon. Powiedziała coś do niego niedosłyszalnie, po czym odłożyła słuchawkę. Spojrzała znowu na mnie.
– Pan Endicott czeka w swoim biurze — powiedziała. — Wie pan którądy?
– Pracowałem tam kiedyś. Ale nie dla niego. Wylali mnie.
Posłała mi to swoje „administracyjne” spojrzenie. Głos, który mógł się dobywać z każdego miejsca na świecie, tylko nie z jej ust, powiedział:
– W pysk go mokrą rękawiczką.
Podszedłem do niej i spojrzałem na pomarańczowe włosy. Odrosty były już porządnie siwe.
– Kto to powiedział?
– Ściana — odrzekła. — Ta ściana gada. To głosy umarłych, co przeszli przez nią po drodze do piekła.
Wyszedłem z pokoju na palcach i zamknąłem drzwi za sobą tak cicho, jak tylko umiałem.

32

Przechodzi się przez podwójne wahadłowe drzwi. Za nimi jest centralka telefoniczna i stanowisko informacyjne, przy którym siedzi jedna z tych kobiet bez wieku, co przesiadują we wszystkich urzędach miejskich świata. Nigdy nie były młode i nigdy nie będą stare. Nie mają urody, ani wdzięku, ani stylu. Nie są po to, żeby się komuś podobać. Są bezpieczne. Są poprawne, choć nigdy nie są grzeczne, w miarę inteligentne i w miarę kompetentne, choć nigdy, nawet w najmniejszym stopniu, niczym nie zainteresowane. Są tym, czym stają się wszystkie ludzkie istoty, gdy zamieniają życie na egzystencję, a ambicje na bezpieczeństwo.
Za jej biurkiem, wzdłuż bardzo dużego pokoju, ciągnął się rząd oszklonych boksów. Po drugiej stronie była wielka poczekalnia i rząd twardych krzeseł, ustawionych frontem do oszklonych pomieszczeń.
Mniej więcej połowa krzeseł była zajęta przez czekających interesantów; mieli na twarzach wyraz zrodzony z długiego czekania i z pewności, że jeszcze sobie poczekają. Większość z nich przedstawiała się dość żałośnie. Jeden przyszedł tu z więzienia, był w drelichu i ze strażnikiem. Błady chłopak, zbudowany jak rugbista, z chorymi, pustymi oczami.
U samego końca rzędu pokoiów były drzwi z tabliczką: „Sewell Endicott, prokurator okręgowy”. Zapukałem i wszedłem do wielkiego, przestronnego narożnego pokoju. Całkiem miły pokój, staroświecki, z miękkimi fotelami krytymi czarną skórą i portretami dawnych prokuratorów na ścianach. Wietrzyk unosił zasłony na wszystkich czterech oknach. Wentylator na wysokiej półce mruczał i kręcił się powoli, zataczając leniwy łuk.
Sewell Endicott siedział za płaskim, ciemnym biurkiem i przyglądał mi się, gdy do niego podszedłem. Wskazał mi fotel stojący naprzeciwko. Siadłem. Był wysoki, szczupły, miał swobodnie rozrzucone ciemne włosy i długie, delikatne palce.
– Pan jest Marlowe? — spytał głosem, w którym był miękki ton Południa.
Nie przypuszczałem, żeby odpowiedź na to pytanie była mu naprawdę potrzebna, więc milczałem.
– Jest pan w fatalnej sytuacji, Marlowe. Nie wygląda pan za dobrze. Został pan przyłapany na ukrywaniu dowodów w sprawie o morderstwo. Oznacza to utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Może pan za to siedzieć.
– Ukrywanie jakich dowodów? — spytałem.
Wziął z biurka fotografię i zmarszczył się na jej widok. Popatrzyłem przez pokój na dwie osoby,

które były tam poza mną. Siedziały w fotelach obok siebie. Jedną z nich była Mavis Weld. Miała swoje ciemne okulary z szeroką, białą oprawką. Nie widziałem jej oczu, ale mogłem sądzić, że patrzy na mnie. Nie uśmiechała się. Siedziała bardzo spokojnie.

Obok niej siedział mężczyzna w garniturze z jasnoszarej flaneli, z goździkiem wielkości dalii w klapie. Palił papierosa z monogramem i strząsał popiół na podłogę, ignorując popielniczkę, którą miał pod ręką. Znałem go ze zdjęć w gazetach. Lee Farrell, jeden z najrzęczniejszych adwokatów w kraju, specjalista od skandali. Miał siwe włosy, ale oczy jasne i młode. Był opalony na ciemny brązowy kolor. Wyglądał tak, jakby podanie mu ręki kosztowało tysiąc dolarów.

Endicott odchylił się do tyłu i postukał długimi palcami w poręcz krzesła. Grzecznie i z szacunkiem odwrócił się do Mavis Weld.

– Jak bliska znajomość łączyła panią ze Steelgrave'em, panno Weld?

– Bardzo bliska. Na swój sposób był uroczy. Naprawdę wierzyć mi się nie chce... — przerwała i wzruszyła ramionami.

– I jest pani gotowa stanąć przed sądem i zeznać pod przysięgą, gdzie i kiedy zostało zrobione to zdjęcie? — Odwrócił fotografię i pokazał jej.

Farrell powiedział obojętnie:

– Chwileczkę. Czy jest właśnie ów dowód, który pan Marlowe rzekomo ukrywał?

– Ja zadaję pytania — powiedział ostro Endicott.

Farrell uśmiechnął się.

– Jeżeli tak właśnie jest, to fotografia ta niczego nie dowodzi.

Endicott powiedział cicho:

– Czy odpowie pani na moje pytanie, panno Weld?

Odrzekła spokojnie i lekko:

– Nie, panie Endicott, nie mogłabym przysiąc, kiedy i gdzie zrobiono to zdjęcie. Nie wiedziałam, że je zrobiono.

– Wystarczy przecież na nie spojrzeć — zasugerował Endicott.

– I będę wówczas wiedziała tylko to, co zobaczę — odrzekła.

Uśmiechnąłem się. Farrell spojrzał na mnie z lekkim mrugnięciem. Endicott złapał nasze miny kącikiem oka.

– Czy coś tu pana śmieszy? — warknął.

– Przepraszam, nie spałem całą noc, nie panuję nad twarzą.

Posłał mi surowe spojrzenie i znowu zwrócił się do Mavis Weld.

– Czy może pani rozwinąć nieco swoją odpowiedź, panno Weld?

– Fotografowano mnie niezliczoną ilość razy, panie Endicott. W wielu różnych miejscach i z wieloma różnymi ludźmi. Jadłam obiady i kolacje w „Tancerzach” zarówno z panem Steelgrave'em, jak z wieloma innymi mężczyznami. Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Farrell dorzucił gładko:

– O ile dobrze pana rozumiem, chciałby pan, by panna Weld wystąpiła jako pański świadek w celu powiązania tego zdjęcia ze sprawą. W jakim postępowaniu?

– To moja sprawa — uciał krótko Endicott. — Ktoś za strzelił Steelgrave'a wczoraj wieczór.

Mogła, to być kobieta. Mogła to być nawet panna Weld. Przykro mi, ale muszę tak powiedzieć, bo wszystko na to wskazuje.

Mavis Weld spojrzała na swoje ręce. Skręciła między palcami białą rękawiczkę.

– W takim razie przyjmijmy postępowanie — powiedział Farrell — w którym to zdjęcie byłoby częścią pańskiego materiału dowodowego. O ile uda się je panu wprowadzić. Ale przecież nie może się to panu udać. Panna Weld nie może w tym panu pomóc. Nie wie o tym zdjęciu absolutnie nic ponadto co na nim widzi. I co każdy może zobaczyć. Musiałby pan przedstawić świadka, zdolnego przysiąc gdzie, kiedy i jak zostało ono zrobione. W przeciwnym razie założyłbym protest, oczywiście gdybym występował przeciwko panu. Mógłbym nawet przedstawić eksperta, który przysiągłby, że zdjęcie jest fotomontażem.

– Tego jestem pewien — powiedział sucho Endicott.

– Jedynym człowiekiem, który mógłby powiązać pańskie zdjęcie ze sprawą, jest autor zdjęcia. —

Farrell ciągnął bez pośpiechu czy podniecenia. — O ile wiem, człowiek ten nie żyje. Podejrzewam zresztą, że właśnie dlatego zginął.

Endicott powiedział:

– Zdjęcie to dowodzi niezbicie, że w pewnym momencie Steelgrave nie był w więzieniu i z tej przyczyny nie ma alibi w sprawie zabójstwa Steina.

– Dowiedzie tego wówczas, gdy uda się panu przedstawić je jako dowód — powiedział Farrell. — Na miły Bóg, przecież nie będę pana uczyć prawa. Sam pan je dobrze zna. Niech pan sobie da spokój z rym zdjęciem. Ono niczego nie dowodzi. Żadna gazeta nie odważyłaby się go zamieścić. Żaden sędzia nie przyjmie go jako materiału dowodowego, ponieważ żaden kompetentny świadek nie może go powiązać ze sprawą. I jeżeli to właśnie jest ów dowód, który Marlowe ukrył, to w prawnym sensie nie ukrył żadnego dowodu.

– Nie zamierzam wytaczać Steelgrave'owi procesu o zabójstwo — powiedział sucho Endicott. — Interesuje mnie jednak, kto go zabił. Policja, o dziwo, interesuje się tym również. Mam nadzieję, że nie czuje się pan tym dotknięty.

– Bynajmniej — powiedział Farrell — Dlatego właśnie tu siedzę. Czy jest pan pewien, że Steelgrave'a zamordowano?

Endicott po prostu wpartyczał się w niego, Farrell powiedział lekko:

– O ile mi wiadomo, znaleziono dwa rewolwery i oba były własnością Steelgrave'a.

– Kto to panu powiedział? — spytał ostro Endicott. Pochylił się, marszcząc brwi.

Farrell wrzucił papierosa do popielniczki i wzruszył ramionami.

– Przecież takich rzeczy nie sposób ukryć. Z jednego z tych rewolwerów zabito Questa, a także Steina. Z drugiego Steelgrave'a. Strzał padł z bliska. Przyznaję, że ci chłopcy z zasady nie stosują takiego rozwiązania. Ale to się przecież mogło wydarzyć.

Endicott powiedział z powagą:

– Niewątpliwie. Dziękuję za sugestię. Przypadkiem jest ona błędna.

Farrell uśmiechnął się lekko i zamilkł. Endicott odwrócił się powoli w stronę Mavis Weld.

– Panno Weld, ten urząd, czy też jego obecny szef, nie pragnie reklamy kosztem ludzi, dla których pewien typ rozgłosu mógłby być zgubny. Jest jednak moim obowiązkiem ustalić, czy nie można by postawić kogoś przed sądem i oskarżyć o te morderstwa, jeżeli umożliwią to dowody. Do moich obowiązków nie należy rujnowanie pani kariery na podstawie faktu, że miała pani pecha, lub nie dość rozsądku, by zaprzyjaźnić się z człowiekiem, który — choć nigdy go nie skazano, ani nawet nie oskarżono o żadną zbrodnię — był swego czasu ponad wszelką wątpliwość członkiem zbrodniczego gangu. Nie sądzę, by była pani całkowicie szczerą wobec mnie w sprawie tej fotografii, nie będę jednak dalej tego drążył. Nie ma oczywiście sensu, bym pytał panią teraz, czy to pani zabiła Steelgrave'a. Pytam panią jednak, czy wiadomo pani cokolwiek o tym, kto ewentualnie mógł to zrobić?

Farrell powiedział szybko:

– Czy pani wiadomo, panno Weld, nie: czy pani coś podejrzewa!

Spojrzała Endicottowi prosto w oczy:

– Nie.

Wstał i uklonił się.

– Tym razem to już wszystko. Dziękuję za rozmowę.

Farrell i Mavis Weld również wstali. Ja się nie poruszyłem. Farrell powiedział:

– Czy zwoła pan konferencję prasową?

– To już raczej pozostawię panu. Zawsze bardzo zrećcznie obchodził się pan z prasą.

Farrell kiwnął głową i ruszył do drzwi. Wyszli. Chyba nie patrzyła na mnie wychodząc, ale coś musnęło mnie lekko w kark. Pewnie przypadkiem. Jej rękaw.

Endicott patrzył na zamykające się drzwi. Później spojrzał na mnie przez biurko.

– Czy Farrell reprezentuje również i pana? Zapomniałem go zapytać.

– Nie stać mnie na niego. Jestem bezbronny.

Uśmiechnął się blade.

– Pozwalam im na wszystkie sztuczki, a potem ratuję swoją godność, dobierając się do pana, co?

- Nie mogę panu w tym przeszkodzić.
- Nie jest pan szczególnie dumny z tego, jak pan załatwił tę sprawę, co Marlowe?
- Wystartowałem ze złej nogi. A potem musiałem już po prostu brać w skórę.
- Nie sądzi pan, że jednak coś pan jest winien prawu?
- Oczywiście, gdyby prawo było takie jak pan.

Przebiegł szczupłymi palcami po zmierzwionych czarnych włosach.

– Mógłbym dać na to wiele różnych odpowiedzi — odparł. — I wszystkie brzmiałyby podobnie. Obywatel jest prawem. W tym kraju nic doszliśmy jeszcze do tego, żeby to zrozumieć. Traktujemy prawo jak wroga. Jesteśmy narodem glinożerców.

- Trzeba by wiele, żeby to zmienić — powiedziałem. — I to po obu stronach.

Pochylił się i nacisnął guzik.

- Tak — powiedział spokojnie. — Wiele. Ale ktoś musi zacząć. Dziękuję za rozmowę.

Kiedy wychodziłem, drugimi drzwiami weszła sekretarka z grubym plikiem akt pod pachą.

33

Ogoliłem się, zjadłem drugie śniadanie i poczułem się wreszcie trochę mniej jak pudło z trocinami, w których kotka powiła sześcioro kociąt. Poszedłem do biura, otworzyłem drzwi i odetchnąłem używanym powietrzem oraz zapachem kurzu. Otworzyłem okno i odetchnąłem zapachem smażenia z sąsiedniej kawiarni. Siadłem przy biurku i poczułem pod palcami jego ziarnistą powierzchnię. Napelniłem fajkę, zapaliłem ją, oparłem się i rozejrzałem dookoła.

- Cześć — powiedziałem.

Mówiłem do sprzętów, do trzech zielonych pudeł z kartoteką, do wytarganego kawałka dywanu, do fotela klienta naprzeciwko i do lampy na suficie z trzema zdechłymi ćmami, które spędziły tam co najmniej pół roku. Mówiłem do matowego szkła w drzwiach, do brudnej boazerii, do stojaka z piórami na biurku i do bardzo zmęczonego telefonu. Mówiłem do łusek na pewnym aligatorze. Nazwisko aligatora brzmi Marlowe: jest prywatnym detektywem w naszej prosperującej społeczności. Nie jest to najinteligentniejszy facet na świecie, ale za to tani. Zaczął tanio, a skończył jeszcze taniej.

Pochyliłem się i postawiłem na biurku butelkę Old Forestera. Była mniej więcej w jednej trzeciej pełna. Old Forester. Kto ci to dał, bracie? Przecież to luksus, zielona nalepka! Znacznie powyżej twojej klasy. Pewnie jakiś klient. Miało się kiedyś klientów.

I wtedy pomyślałem o niej i myślałem intensywniej, niż mi się wydawało. Telefon zadzwonił i ten zabawny, precyzyjny głosik zabrzmiał dokładnie tak samo, jak za pierwszym razem kiedy do mnie zadzwoniła.

- Jestem w tej samej budce telefonicznej — powiedziała. — Jeżeli jest pan sam, to przyjdę na górę.
- Mhm.
- Pewnie jest pan na mnie zły — powiedziała.
- Nie jestem zły na nikogo. Po prostu zmęczony.
- Jest pan, jest — powiedział twardy głosik. — Ale i tak przyjdę. Nie obchodzi mnie, czy jest pan na mnie zły.

Odłożyła słuchawkę. Wyciągnąłem korek z butelki Old Forestera i powąchałem. Zatrzęsło mną. Wszystko było jasne. Jeśli nie mogę powąchać whisky bez dreszczu, jestem gotów.

Odstawiłem butelkę, wstałem i otworzyłem wewnętrzne drzwi. Potem usłyszałem jej kroki w korytarzu. Poznałbym te drobne, zdecydowane kroczyki na końcu świata. Otworzyłem drzwi, weszła do środka, podeszła do mnie i spojrzała na mnie nieśmiało.

Wszystko zniknęło. Skośne okulary, nowa fryzura, szykowny kapelusik, perfumy i makijaż.

Bizuteria, szminka, wszystko. Wszystko zniknęło. Wróciła do tego, z czym zaczynała pierwszego ranka. Ten sam brązowy kostium, ta sama kwadratowa torebka, te same okulary bez oprawek, ten sam skromny, powściągliwy uśmiezek,

– To ja — powiedziała. — Jadę do domu.

Weszła za mną do mojej świątyni dumania i siadła skromniutko, a ja siedziałem sobie zwyczajnie i wbiłem w nią spojrzenie.

– Do Manhattan — powiedziałem. — Dziwne, że pani pozwolili.

– Może będę musiała wrócić.

– Stać panią na to?

Zaśmiała się z lekkim zakłopotaniem.

– Nic mnie to nie będzie kosztować — powiedziała. Podniosła rękę i dotknęła okularów. — Źle się w nich teraz czuję. Wolałam tamte. Ale doktor Zugsmith byłby z pewnością niezadowolony. — Odłożyła torebkę i narysowała na biurku linię czubkiem palca. Też zupełnie jak za pierwszym razem.

– Nie przypominam sobie, czy oddałem pani te dwadzieścia dolarów, czy nie — powiedziałem. — Tak je sobie podawaliśmy tam i z powrotem, że się w tym pogubiłem.

– O, oddał mi je pan — powiedziała. — Dziękuję.

– Jest pani pewna?

– Nigdy się nie mylę w sprawach pieniężnych. Dobrze się pan czuje? Nie zrobili panu krzywdy?

– Policja? Nie. Ale okropnie się namęczyli, żeby tego nie zrobić.

Wydawała się naiwnie zaskoczona. Oczy jej płonęły.

– Musi pan być strasznie dzielny — powiedziała.

– To tylko szczęście — odrzekłem. Podniosłem ołówek i dotknąłem czubka. Był dobrze zaostrzony, w sam raz gdyby ktoś chciał pisać. Ja nie chciałem. Wsadziłem go za pasek jej torby i przysunąłem ją do siebie.

– Niech pan nie dotyka mojej torby — powiedziała szybko i wyciągnęła po nią rękę.

Uśmiechnąłem się i odsunąłem torbę poza jej zasięg.

– W porządku. Co za słodka torebka. Zupełnie jak pani.

Odchyliła się do tyłu. W jej oczach było niejasne zakłopotanie, ale uśmiechnęła się.

– Uważasz, że jestem słodka, Philip? Jestem taka pospolita.

– Nie powiedziałbym.

– Nie?

– Jasne, że nie. Uważam, że jest pani jedną z najbardziej niepospolitych dziewczyn, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Podniosłem torbę za pasek i położyłem ją na rogu biurka. Jej oczy zatrasnęły się na niej szybko, ale oblizła wargi i znowu uśmiechnęła się do mnie.

– Złożę się, że znałeś strasznie dużo dziewczyn — powiedziała. — Dlaczego... — spuściła wzrok i znowu zrobiła ten numer z palcem na biurku — dlaczego się nie ożeniłeś?

Pomyślałem o wszystkich możliwych odpowiedziach na to pytanie. Pomyślałem o wszystkich kobietach, które podobały mi się dostatecznie. Nie, nie o wszystkich. Ale o niektórych.

– Chyba znam odpowiedź — powiedziałem. — Ale to by po prostu głupio zabrzmiało. Nie mam tego, czego potrzebują kobiety, z którymi chciałbym się ożenić. A tych innych nie trzeba wcale prowadzić do ołtarza. Wystarczy je uwieść, o ile one nie zrobią tego szybciej.

Zarumieniła się aż po korzonki mysich włosów.

– Okropny pan jest, kiedy pan tak mówi.

– To zresztą dotyczy bardzo wielu całkiem miłych kobiet—powiedziałem. — To znaczy nie to, co pani powiedziała. To, co ja powiedziałem. Z panią też nie byłoby za trudno.

– Niech pan tak nie mówi, proszę.

– A co, może nie?

Spojrzała na biurko.

– Chciałabym, żeby mi pan powiedział — rzekła wolno —co się stało z Orrinem. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Powiedziałem pani, że musiał się wykoleić. Wtedy za pierwszym razem, pamięta pani?

Kiwnęła wolno głową, wciąż zaczerwieniona.

– Nienormalne życie domowe — powiedziałem. — Facet pełen kompleksów ze szczególnie

rozwinętym poczuciem własnej ważności. To było widać gołym okiem na zdjęciu, które mi pani dała. Nie chcę się tu z panią bawić w psychologię, ale przypuszczam, że był to faki typ, co jak mu już odbije, to idzie na całość. No i do tego jeszcze ta straszliwa żądza forsy w pani rodzinie. U wszystkich, z wyjątkiem jednej osoby.

Teraz uśmiechnęła się do mnie. Jeżeli wyobrażała sobie, że mam na myśli ją, to mi to zwisało.

– Jest jedno pytanie, które chciałbym pani zadać — powiedziałem. — Czy pani ojciec był już przedtem żonaty?

Kiwnęła głową, że tak.

– To lepiej. Leila miała inną matkę. Bardzo mi to dogadza. Niech pani powie coś jeszcze. W końcu narobiłem się dla pani, i to za bardzo niskie honorarium w wysokości zero dolarów netto.

– Zapłacono panu — powiedziała ostro. — Dobrze zapłacono. Leila panu zapłaciła. I niech się pan nic spodziewa, że będę na nią mówiła Mavis Weld.

– Nie wiedziała pani, że dostanę te pieniądze.

– No... — zapadła dłuższa cisza, w czasie której jej oczy znowu powędrowały w stronę torby — ale zapłacili.

– Dobra, nieważne. Dlaczego nie chciała mi pani powiedzieć, kim ona jest?

– Wstydziałam się. I mama, i ja bardzośmy się wstydzily.

– Orrm nie. On był zachwycony.

– Orrin? — Znów zapadła cisza, a ona znowu patrzyła na swoją torbę. Torba zaczęła budzić moją ciekawość. — To pewnie dlatego, że tu mieszkał i przyzwyczał się do tego.

– To naprawdę nic złego pracować w filmie,

– Nie chodziło tylko o to — powiedziała szybko; przytrzymała zębami dolną wargę: coś błysnęło w jej oczach i bardzo szybko zgasło. Przyłożyłem jeszcze jedną zapalną do fajki. Byłem zbyt zmęczony, by okazywać jakieś uczucia, nawet jeżeli coś tam czułem.

– Wiem. Czy jakoś tam się domyślam. W jaki sposób Orrin dowiedział się o Steelgrave'ie czegoś, czego gliny nie wiedziały?

– Nie... nie wiem — powiedziała wolno, szukając bezpiecznej drogi wśród słów, jak kot na płocie.

– Może to ten doktor?

– Och, oczywiście — powiedziałem z szerokim, ciepłym uśmiechem. — Zaprzyjaźnili się jakoś z Orrinem. Pewnie wspólne upodobanie do ostrych narzędzi.

Odchyliła się na krzesło. Jej drobna twarz była teraz chuda i kanciasta. W oczach pojawiło się badawcze spojrzenie.

– Teraz po prostu jest pan złośliwy — powiedziała. — Dlaczego musi pan zawsze mówić takie rzeczy?

– Szkoda — powiedziałem. — Byłbym uroczym człowiekiem, gdybym zostawił sam siebie w spokoju. Ładna torebka. — Przyciągnąłem ją do siebie i otworzyłem.

Wstała z krzesła i rzuciła się do torebki.

– Niech pan zostawi moją torebkę!

Popatrzyłem prosto w jej okularki bez oprawki.

– Chce pani jechać do domu, do Manhattan, Kansas, co? Dzisiaj? To ma pani bilet i wszystko, co trzeba?

Poruszała przez chwilę wargami, wreszcie usiadła.

– W porządku — powiedziałem. — Nie zatrzymuję pani. Po prostu zastanawiałem się, ile szmalu wydusiła pani z tego interesu.

Zaczęła płakać. Przeszukałem torebkę. Nie znalazłem nic, póki nie dotarłem do kieszonki z zamkiem błyskawicznym, zupełnie z tyłu. Otworzyłem zamek i sięgnąłem do środka. Była tam płaska paczuszka nowiutkich banknotów. Wyciągnąłem je na wierzch i przeliczyłem. Dziesięć stów. Nowiutkie. Eleganckie. Dokładnie tysiąc dolarów. Nieźle jak na podróż.

Oparłem się i uderzyłem plikiem banknotów o brzeg biurka. Siedziała teraz cicho, gapiąc się we mnie mokrymi oczami. Wyjąłem z torebki chusteczkę i rzuciłem jej przez biurko. Wytarła oczy.

Przyglądała mi się zza chusteczki. Od czasu do czasu wydawała wzruszające szlochy, gdzieś z głębi gardła.

– Leila dała mi te pieniądze — powiedziała cicho.

– A jakiego rozmiaru obcęgów pani użyła?

Otworzyła usta, a łza spłynęła jej po policzku i wpadła do środka.

– Nieważne — powiedziałem. Wrzuciłem paczkę banknotów z powrotem do torby, zatrzasnąłem ją i popchnąłem przez biurko w jej stronę. — Myślę, że Orrin i pani należycie do tego gatunku ludzi, którzy zawsze siebie przekonują, że mają rację we wszystkim, co robią. On potrafi szantażować własną siostrę, a kiedy kilku drobnych oszustów się w tym połapie i wyroluje go z interesu, potrafi zająć ich od tyłu i wbić im w kark kolec do lodu. Pewnie nawet nie spędziło mu to snu z powiek. Pani jest zdolna do tego samego. To nie Leila dała pani te pieniądze, tylko Steelgrave. Za co?

– Jest pan wstrętny — powiedziała. — Jest pan podły, Jak pan śmie tak się do mnie odzywać!

– Kto nadał glinom, że doktor Lagardie znał Clausena? Lagardie myślał, że to ja. Ale to nie ja. Więc pani. Dlaczego? Żeby wykurzyć brata, który pani nie dopuszczał do spółki, bo akurat stracił wszystkie atuty i ukrywał się. Chciałbym zobaczyć choć parę jego listów do domu. Założę się, że jest co poczytać.

Widzę, jak nad tym pracuje, jak podgląda siostrę, jak próbuje ją sobie ustawić pod tę swoją Leicę, a dobry doktor Lagardie czeka spokojnie za kulisami na swoją dolę. Po co mnie pani wynajęła?

– Ja nie wiedziałam — powiedziała bezbarwnie. Znowu wytarła oczy i odłożyła chusteczkę do torebki, po czym pozbiierała wszystko, gotowa do wyjścia. — Orrin nigdy nie podawał żadnych nazwisk. Nie wiedziałam nawet, że stracił te zdjęcia. Wiedziałam tylko, że je zrobił i że miały wielką wartość. Przyjechałam tutaj, żeby się upewnić.

– Upewnić? W czym?

– Czy Orrin jest wobec mnie uczciwy. Czasami bywał okropnie podły. Mógł zatrzymać całe pieniądze dla siebie.

– Dlaczego zadzwonił do pani tamtego wieczoru?

– Był przerażony. Doktor Lagardie miał go już dosyć. Zdjęcia mu przypadły. Zabrał je ktoś inny. Orrin nie wiedział, kto. Ale był przerażony.

– Ja je miałem. I mam nadal — powiedziałem. — Są w tym sejfie.

Odwróciła powoli głowę i spojrzała na sejf. Przesunęła palcem po ustach z powątpiewaniem. Odwróciła się do mnie.

– Nie wierzę panu — powiedziała, a jej oczy obserwowały mnie jak kot mysia dziurę.

– A może podzielimy się tym kawałkiem, co? Dałbym pani te zdjęcia.

Zastanowiła się.

– Nie mogłabym przecież dać panu tyle pieniędzy za coś, co nawet do pana nie należy — powiedziała i uśmiechnęła się. — Proszę mi je oddać. Proszę cię, Philip. Leila powinna je odzyskać.

– Za ile?

Zmarszczyła się i zrobiła minę osoby dotkniętej do żywego.

– Ona jest teraz moją klientką — powiedziałem, — Ale mógłbym wystawić ją do wiatru, pod warunkiem, że zrobiłbym na tym dobry interes.

– Nie wierzę, że pan je ma.

– Dobra. — Wstałem i podszedłem do sejfu. Po chwili wróciłem z kopertą. Wysypałem odbitki i negatyw na biurko, na moją stronę. Spojrzała na nie i już zaczęła wyciągać rękę.

Zgarnąłem je, złożyłem i przytrzymałem jedno tak, żeby mu się mogła przyjrzeć. Kiedy znowu wyciągnęła rękę, odsunąłem zdjęcie.

– Ale z tak daleka nic nie widzę — poskarżyła się.

– Z bliska kosztuje.

– Nie sądziłam, że jest pan oszustem — powiedziała z godnością.

Nie odpowiedziałem. Zapaliłem fajkę.

– Mogłabym pana zmusić, żeby je pan oddał policji — powiedziała.

– Niech pani próbuje.

Nagle zaczęła mówić bardzo szybko:

– Nie mogę dać panu tych pieniędzy, naprawdę nie mogę. My... to znaczy mama i ja wciąż jesteśmy winne pieniądze z powodu ojca i dom też jeszcze nie jest całkiem...

– Co pani sprzedała Steelgrave'owi za ten kawałek?

Szczęka jej opadła — wyglądała brzydko. Zaciśnęła wargi bardzo mocno. Miałem teraz przed sobą małą, twardą, bezwzględną twarzyczkę.

– Miała pani na sprzedaż tylko jedno — powiedziałem. — Wiedziała pani, gdzie jest Orrin. Dla Steelgrave'a informacja ta była warta kawałka. Bez problemu. Chodzi o powiązanie materiału dowodowego. I tak by pani nie zrozumiała. Steelgrave pojechał tam i zabił go. Zapłacił pani za adres.

– Leila mu powiedziała — jej głos dochodził jakby gdzieś z daleka.

– Owszem, powiedziała mi, że mu powiedziała — rzekłem. — Gdyby było trzeba, powiedziałyby to całemu światu. Tak samo powiedziałyby, że zabiła Steelgrave'a, gdyby to było jedyne wyjście. Leila jest z gatunku tych beztroskich hollywoodzkich ptasząt, bez specjalnych zasad moralnych. Kiedy jednak chodzi o wewnętrzną siłę, ma, co trzeba. Ona nie bawiłaby się kolcem do lodu. I nie brałaby skrwawionych pieniędzy.

Wszelki kolor odpłynął z jej twarzy, była teraz blada jak lód. Usta jej drżały, a potem zbiły się w twarde węzeł. Odepchnęła krzesło i pochyliła się, by wstać.

– Krwawe pieniądze — powiedziałem spokojnie. — Rodzony brat. Wystawiła go pani do strzału. Tysiąc dolarów we krwi. Mam nadzieję, że przyniosą pani szczęście.

Odsunęła krzesło i zrobiła parę kroków do tyłu. Potem nagle zachichotała.

– Kto mi to udowodni — kwiknęła prawie. — Kto może mi jeszcze coś udowodnić? Ty? A kto ty jesteś? Groszowy szpicel, nikt! — Wybuchnęła przeraźliwym śmiechem. — Można cię kupić za marne dwadzieścia dolarów!

Wciąż jeszcze trzymałem kopertę ze zdjęciami. Zapaliłem zapalną, wrzuciłem negatyw do popielniczki i patrzyłem, jak płonie.

Stała jak wryta, zdjęta przerażeniem. Zacząłem drzeć fotografie w wąskie paski. Uśmiechnąłem się do niej.

– Groszowy szpicel — powiedziałem. — Czego się można po mnie spodziewać. Nie mam ani braci, ani siostr nasprzedaj. Więc wyprzedaję swoich klientów.

Stała sztywna, patrząc spode łba. Skończyłem darcie i podpaliłem strzępy papieru w popielnicze.

– Jednego tylko żałuję — powiedziałem. — Że nie zobaczą pani spotkania z kochaną mamusią, tam w Manhattan, Kansas. Że nie zobaczą, jak się będziecie szarpać o ten szmal. Założę się, że będzie na co popatrzeć.

Poprawiłem ołówkiem papier, żeby się lepiej palił. Podeszła wolno, krok za krokiem, do biurka, wbiła wzrok w dymiącą kupkę podartych fotografii.

– Mogłabym powiedzieć policji... — wyszeptała -- Mogłabym powiedzieć im mnóstwo różnych rzeczy. Uwierzyliby mi.

– A ja mógłbym im powiedzieć, kto zastrzelił Steelgrave'a — powiedziałem. — Bo wiem, kto tego nie zrobił. I mogliby uwierzyć mnie.

Jej mała główka podskoczyła. Ogień błysnął w okularach. Przez chwilę nie było za nimi oczu.

– Niech się pani nie przejmuje — powiedziałem. — Nie zrobię tego. Nie kosztowałoby mnie to dostatecznie wiele. A kogoś mogłoby kosztować zbyt wiele.

Drgnęła, kiedy zadzwonił telefon. Odwróciłem się, podniosłem słuchawkę, przyłożyłem do niej policzek i powiedziałem;

– Halo?

– *Amigo*. Dobrze się czujesz?

Usłyszałem za sobą hałas. Odwróciłem się szybko i zobaczyłem zatrzasnięte drzwi. Byłem sam w pokoju.

– Dobrze się czujesz, *amigo*?

– Zmęczony jestem. Byłem całą noc na nogach. Jeżeli nie liczyć...

– Czy ta mała zadzwoniła do ciebie?

– Siostrzyczka? Właśnie wyszła. Wraca do siebie, do Manhattan, z łupem.

– Z łupem?

– Z tym, co dostała od Steelgrave'a za swojego brata.

Zapadła cisza, potem powiedziała z powagą:

– Nie wiesz tego na pewno, *amigo*.

– Wiem to tak samo jak to, że siedzę przy biurku i trzymam słuchawkę. Jak to, że to pani głos. I prawie tak jak to, kto zastrzelił Steelgrave'a.

– To chyba trochę głupie z twojej strony, że mi to mówisz, *amigo*. Nie jestem całkiem czysta. Nie powinieneś mi aż tak ufać.

– Popelniam czasem pomyłki, ale nie tym razem. Spaliłem wszystkie fotografie. Próbowalem je sprzedać Orfamay. Ale dawała za mało.

– Z całą pewnością żartujesz, *amigo*.

– Tak? Z kogo?

Jej śmiech zadźwięczał w słuchawce jak dzwonek.

– Czy masz ochotę zaprosić mnie na lunch?

– Może. Jest pani w domu?

– *Si*.

– Zaraz tam będę.

– Będę zachwycona.

Odłożyłem słuchawkę.

Sztuka się skończyła. Siedziałem w pustym teatrze. Kurtyna opadła, a ja na jej tle, jak na ekranie, ciągle jeszcze widziałem akcję. Kilku aktorów wyglądało jednak coraz mgliściej, coraz bardziej nierealnie. Przede wszystkim siostrzyczka. Za parę dni nie będę już pamiętał, jak wyglądała. Bo w pewnym sensie od początku była nierealna. Pomyślałem sobie o jej podróży do domu, do Manhattan, Kansas, do kochanej mamusi, z ciepłym tysiąckiem w torebce. Kilku ludzi musiało zginąć po to, żeby mogła go dostać, ale nie sądziłem, żeby długo zawracała sobie tym głowę. Pomyślałem o tym i o tym, jak rano zjawi się w gabinecie... jak mu tam... aha, doktora Zugsmitha — i o tym, jak będzie wycierać kurz z jego biurka i układać pisma ilustrowane w poczekalni. Znowu będzie miała okulary bez oprawki i zwykłą sukienkę, jej twarz będzie bez makijażu, a zachowanie wobec pacjentów w najwyższym stopniu poprawne.

– Doktor Zugsmith przyjmie panią teraz, pani Jak-ci-tam.

Przytrzyma dla niej drzwi z lekkim uśmiechem, pani Jak-ci-tam przejdzie koło niej, a doktor Zugsmith będzie siedział za biurkiem, specjalista w każdym calu, w białym fartuchu ze stetoskopem u szyi. Będzie miał przed sobą kartę pacjenta, notatnik i bloczek recept, wszystko równiutko i porządnie. Doktor Zugsmith wie wszystko. Na nic go nie nabierzesz. Całą wiedzę ma w małym palcu. Wystarczy, że spojrzy na pacjenta i już zna z góry odpowiedzi na swoje pytania, które zada tylko dla formalności.

Kiedy patrzy na swoją pomocnicę, pannę Orfamay Quest, widzi grzeczną i miłą panienkę, ubraną w sam raz na gabinet lekarski, bez czerwonych paznokci, bez krzykliwego makijażu, nic z tych rzeczy, które mogłyby urazić konserwatywnie nastawionego pacjenta. Idealna recepcjonistka, ta panna Ouest.

Kiedy doktor Zugsmith o niej myśli, przepelnia go samozadowolenie. To jego zasługa, że panna Ouest jest właśnie taka. Całkowicie zgodna z receptą.

Prawdopodobnie nie próbował się jeszcze do niej dobrać. Może w tych małych miastach się tego nie robi. Akurat! Sam się w takim wychowałem!

Zmieniłem pozycję, spojrzałem na zegarek i wyciągnąłem jednak moją butelkę Old Forestera z szuflady. Powąchałem.

Pachniał dobrze. Nalałem sobie solidnego sztosu i trzymałem go tak, pod światło.

– No cóż... panie doktorze Zugsmith — powiedziałem głośno, zupełnie jakby siedział naprzeciwko mnie za biurkiem z drugą szklaneczką w dłoni. — Nie znam pana za dobrze, a pan nie zna mnie zupełnie. Zazwyczaj nie udzielam rad nieznanym, skoro jednak ukończyłem krótki, przyspieszony kurs panny Orfamay Ouest, łamię swoją zasadę. Jeżeli kiedykolwiek ta dziewczyna będzie czegoś od pana chciała, niech pan jej to szybko da. Niech się pan nie wykręca, nie jęczy o podatkach i wydatkach. Niech się pan lepiej szybko spowije w uroczy uśmiech i buli. Lepiej nie

wdawać się w dyskusje o tym, co się komu należy. Najważniejsze, żeby panienka była zadowolona. Powodzenia, doktorze, i niech pan lepiej nie trzyma na wierzchu harpunów na rekiny. Wypiłem połowę whisky i czekałem, aż mnie rozgrzeje. Kiedy poczułem, że już, wypilem resztę i odstawiłem butelkę. Wystukałem zimny popiół z fajki, po czym napełniłem ją znowu ze skórzanego kapciucha, który dostałem na Boże Narodzenie od pewnego wielbiciela, przy czym przez zdumiewający zbieg okoliczności wielbiciel nosił to samo nazwisko co ja. Kiedy fajka była już pełna, zapaliłem ją starannie, bez pośpiechu, wyszedłem, minąłem korytarz i maszerowałem dalej, rześki niczym Brytyjczyk powracający z polowania na tygrysy.

34

Chateau Bercy było stare, ale odnowione. Miało hall, który aż się prosi o pluszowe meble i indyjskie gumowce, a zamiast tego dostał szklistą cegłę, gzymsowe oświetlenie, trójkatne szklane stoły oraz ogólny wygląd pozwalający się domyślać, że odnawiał go świr na przepustce. Koloryt całości wahał się między żółcią, brązem w stylu „okład z siemienia lnianego”, chodnikową szarością i błękitem w odcieniu małpiego tyłka. Odprężające to było jak pęknięta warga. Mała recepcja była pusta, ale lustro, które się tam znajdowało, mogło być z tamtej strony przezroczyście, zatem nie próbowałem wśliznąć się chyłkiem. Zadzwoiłem i zza ściany wysunął się obszerny, obwisły facet, uśmiechając się do mnie wilgotnymi, miękkimi wargami, sinawym uzębieniem i nienaturalnie błyszczącymi oczami.

– Panna Gonzales — powiedziałem. — Nazywam się Marlowe. Czekaj na mnie.

– Ależ tak, oczywiście — odparł, trzepocząc rękami. — Naturalnie. Natychmiast dzwonię. — Głos mu też trzepotał.

Podniósł słuchawkę, zabalgotał w nią coś i odłożył na widelki.

– Tak, panie Marlowe. Panna Gonzales prosi pana na górę. Mieszkanie 412. — zachichotał. — Ale pan pewnie i tak wie.

– Teraz już wiem — powiedziałem. — A propos, czy był pan tutaj w lutym?

– W lutym? W lutym? Ach, tak, byłem tu w lutym — powiedział to, wymawiając jakby każdą literę osobno.

– Pamięta pan tę noc, kiedy przed tym domem wykończyli Steina?

Uśmiech błyskawicznie zniknął z tłustej twarzy.

– Czy jest pan policjantem? — jego głos zrobił się teraz cienki i piskliwy.

– Nie, ale ma pan rozpięty rozparek, jeżeli to pana interesuje.

Spojrzał w dół z przerażeniem i zapiął spodnie rękami, klóre niemal dygotały.

– Bardzo panu dziękuję — powiedział. — Dziękuję. — Wychylił się przez ladę recepcji. — To nie stało się dokładnie przed tym domem. Raczej na tamtym rogu.

– Mieszkał tutaj, co?

– Wolałbym o tym nie mówić. Naprawdę, wolałbym raczej o tym nie mówić — zamilkł i przesunął małym palcem po dolnej wardze. — A dlaczego pan pyta?

– Po prostu, żeby skłonić pana do mówienia. Coś zanadto jesteś powściągliwy, bracie. Czuć to po twoim oddechu.

Zarumienił się aż po szyję.

– Jeżeli chce pan powiedzieć, że piłem...

– Tylko herbatkę — odparłem. — Ale nie z filiżanki.

Odwróciłem się. Milczał. Kiedy doszedłem do windy, spojrzałem w jego stronę. Stał z rękami opartymi o kontuar i obserwował mnie w napięciu. Nawet z tej odległości było widać, że się trzęsie. Winda była samoobsługowa. Czwarte piętro miało kolor zimnoszary, dywan był gruby. Obok numeru 412 znajdował się mały przycisk dzwonnka. Wewnątrz rozległ się cichy gong. Drzwi otworzyły się natychmiast. Spojrzały na mnie piękne, głębokie, czarne oczy, a bardzo, bardzo czerwone usta uśmiechnęły się do mnie. Czarne spodnie i ognista bluzka, zupełnie jak wczoraj

wieczorem.

– *Amigo* — powiedziała cicho. Wyciągnęła do mnie ramiona. Złapałem ją za przeguby rąk, zbliżyłem je do siebie i zetknąłem dłońmi. Przez chwilę grałem z nią w koci-koci-lapci. Wyraz jej oczu był jednocześnie omdlewający i płomienny.

Puściłem jej ręce, zamknąłem łokciem drzwi i prześliznąłem się obok niej. Zupełnie jak za pierwszym razem.

– Powinna je pani ubezpieczyć — powiedziałem, dotykając jednej z jej piersi. Były autentyczne. Sutka była twarda jak rubin.

Wybuchnęła radosnym śmiechem. Poszedłem dalej i obejrzałem sobie apartament. Był popielaty i szaroniebieski. Nie jej kolory, ale bardzo ładne. Fałszywy kominek z gazowym ogrzewaniem i tyle foteli, stołów i lamp, ile trzeba, ale nie w nadmiarze. W kącie zgrabny, mary kredensik.

– Podoba ci się moje mieszkanko, *amigo*?

– Niech pani nie mówi „mieszkanko”. To też brzmi po kurewsku.

Nie spojrzałem na nią. Nie chciałem na nią patrzeć. Siadłem na kanapie i potarłem czoło dłonią.

– Cztery godziny snu i parę drinków — powiedziałem — i znowu będę zdolny do gadania bzdur.

Na razie ledwo mogę gadać z sensem. Ale muszę.

Siadła przy mnie blisko. Potrząsnąłem głową.

– O, tam. Naprawdę muszę mówić z sensem.

Siadła naprzeciwko i spojrzała na mnie poważnym, ciemnym okiem.

– Oczywiście, *amigo*, jak sobie życzysz, jestem twoja,,. To znaczy bardzo bym chciała.

– Gdzie pani mieszkała w Cleveland?

– W Cleveland? — mówiła cicho, prawie gruchała. — Czy powiedziałam kiedyś, że mieszkałam w Cleveland?

– Powiedziała pani, że tam go pani poznała.

Przemyślała to i kiwnęła głową.

– Byłam wówczas zamężna, *amigo*. A o co chodzi?

– To znaczy, że mieszkała pani w Cleveland?

– Tak — powiedziała cicho.

– Jak pani poznała Steelgrave'a?

– O, w tamtych czasach trzeba było znać jakiegoś gangstera! Coś jakby snobizm *a rebours*.

Chodziło się do tych lokali, gdzie oni jakoby chodzili, a jeżeli miało się szczęście, to któregoś wieczora...

– Ktoś mógł poderwać.

Kiwnęła dziarsko głową.

– Powiedzmy, że to raczej ja jego poderwałam. Był bardzo miłym facecikiem. Naprawdę!

– A co z mężem? Z pani mężem? Czy może już pani zapomniała?

Uśmiechnęła się.

– Ulice świata wybrukowane są porzuconymi mężami — powiedziała.

– Oczywiście. Wszędzie ich można znaleźć. Nawet w Bay City.

Nic tym nie osiągnąłem. Grzecznie wzruszyła ramionami.

– Nie wątpię.

– Mógłby nawet być absolwentem Sorbony. Mógłby się nawet marnować na parszywej praktyce w małym miasteczku. Czekać i mieć nadzieję. Chętnie bym sobie zafundował taki zbieg okoliczności. Jest w nim nuta poezji.

Grzeczny uśmiech pozostał na swoim miejscu na jej ślicznej twarzy.

– Bardzośmy się rozeszli — powiedziałem. — Bardzo daleko. A musimy się zbliżyć.

Spojrzałem na swoje palce. Bolała mnie głowa. Nie zostało mi nawet czterdzieści procent. Podala mi kryształową papierośnicę i wziąłem sobie papierosa. Drugiego wsunęła w swoje szczypczyki.

Wyjęła go z innego pudełka.

Chętnie spróbują jednego z pani papierosów -powiedziałem.

– Ale meksykański tytoń jest za ostry dla większości ludzi.

– Dopóki to tytoń... — zacząłem, przyglądając się jej.

Podjąłem decyzję. — Nie, ma pani rację. Nie smakowałby mi.

— Co ma oznaczać — spytała ostrożnie — ta zabawa?

— Portier pali trawkę.

Kiwnęła głową powoli.

— Ostrzegałam go. Wiele razy.

— *Amigo* — powiedziałem.

— Co?

— Nie używa pani zbyt wiele hiszpańskiego, co? Może nawet nie zna go pani za dobrze. „*Amigo*” zdziera się na strzępy.

— Mam nadzieję, że nie powtórzymy tego, co działo się wczoraj po południu? — powiedziała wolno.

— Nie, nie. Jedyne, co w pani jest meksykańskiego, to parę słów i ten ostrożny sposób wyrażania się, który ma wywoływać wrażenie, że obcujemy z kimś, kto musiał się uczyć języka. Na przykład mówienie „ja*jestem”, zamiast „jestem”.

Nie odpowiedziała. Paliła spokojnie papierosa i uśmiechała się.

— Miałem straszne kłopoty w komendzie — ciągiłam. — Najwyraźniej panna Weld była na tyle rozsądna, że powiedziała o wszystkim swojemu szefowi, Oppenheimerowi, i on jej pomógł.

Wynajął dla niej Lee Farrella. Nie sądzę, żeby oni podejrzewali, że to ona zastrzeliła Steelgrave'a. Ale uważają, że ja wiem, kto to zrobił, i przestali mnie kochać.

— A wiesz, *amigo*?

— Powiedziałem pani przez telefon, że wiem.

Przyglądała mi się uporczywie przez dłuższą chwilę.

— Byłam tam — raz przynajmniej jej głos brzmiał sucho i poważnie. — To było naprawdę bardzo dziwne. Ta mała chciała zobaczyć dom gry. Nigdy nie widziała czegoś takiego, a w gazetach pełno jest...

— Mieszkała tu z panią?

— Nie w moim mieszkaniu, *amigo*. Wynajęłam jej pokój.

— Nic dziwnego, że nie chciała się przyznać — powiedziałem. — Ale pewnie nie zdążyła jej pani nauczyć swojego fachu.

Zmarszczyła się lekko i machnęła brązowym papierosem. Przyglądałem się, jak dym wypisuje w powietrzu coś nie do odczytania.

— Niech pan da spokój. Jak mówiłam, chciała koniecznie tam pojechać, więc zadzwoniłam do niego, a on powiedział, żeby wpaść. Kiedy tam przyjechałyśmy, był pijany. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Śmiał się, objął Orfamay ramieniem i powiedział, że uczciwie zarobiła swoje pieniądze. Powiedział, że ma coś dla niej. Wyjął z kieszeni portfel zawinięty w kawałek materiału i dał jej. Kiedy go odwinęła, zauważyła, że w środku jest dziura, i to zakrwawiona.

— To nie było zbyt miłe — odparłem. — Nie powiedziałbym nawet, żeby to było dla niego typowe.

— Nie znałeś go zbyt dobrze.

— Prawda. Dalej.

— Mała Orfamay wzięła portfel, popatrzyła na niego, potem popatrzyła na Steelgrave'a, a jej twarzyczka była bardzo spokojna. Potem podziękowała mu, otworzyła torebkę, żeby tam włożyć portfel, przynajmniej tak myślałam, i to wszystko było bardzo dziwne...

— Teraz ktoś powinien wrzasnąć — powiedziałem. — Ja bym leżał na czterech łopatkach i bez tchu.

— ...ale zamiast tego wyjęła z torebki rewolwer. To ten, który on dał Mavis, tak myślę. Był zupełnie taki sam...

— Wiem dokładnie, jaki był — powiedziałem. — Trochę się nim pobawiłem.

— Odwróciła się i strzeliła do niego. Zabiła go jednym strzałem. Bardzo to było dramatyczne.

Włożyła swojego brązowego papierosa z powrotem do ust i uśmiechnęła się do mnie. Był to dziwny, raczej odległy uśmiech, jakby rozmyślała nad czymś dawno minionym.

— Kazała jej pani wyznać to Mavis Weld — powiedziałem.

Kiwnęła głową.

- Mavis chyba by pani nie uwierzyła, jak sądzę.
- Nie chciałam ryzykować.
- Ale to nie pani dała Orfamay ten tysiąc, co, kochanie? Żeby ją zmusić do gadania? Ta mała wiele by zrobiła dla jednego kawałka.
- Nie zamierzam na to odpowiadać — rzekła z godnością.
- Nie. Zatem ostatniego wieczora, kiedy mnie pani tam zawiozła, wiedziała już pani, że Steelgrave nie żyje i że zupełnie nie ma się czego bać, i cały ten numer z rewolwerem to był tylko bluff.
- Nie lubię się bawić w Pana Boga — odparła. — Sytuacja była trudna i wiedziałam, że tak czy inaczej uda się panu wydostać z tego Mavis. Nikt inny na świecie nie zdołałby tego zrobić. Mavis była zdecydowana wziąć wszystko na siebie.
- Lepiej się czegoś napiję — powiedziałem. — Zupełnie padam.

Podskoczyła i podeszła do małego barku. Wróciła z dwoma olbrzymimi szklankami, ze szkoeką i z wodą. Podała mi jedną z nich i przyglądała mi się przez szkło, gdy próbowałem. Trunek był wspaniały. Napiłem się jeszcze trochę. Znowu zatopiła się w swoim fotelu i sięgnęła po złote szczypczyki.

- Przepędziłem ją stamtąd — powiedziałem wreszcie. — To znaczy Mavis. Powiedziała mi, że go zastrzeliła. Miała rewolwer. Bliźniaka tego, którego pani mi dała. Prawdopodobnie nie zauważyła pani, że z niego również strzelano.
- Niewiele wiem o rewolwerach — powiedziała cicho.
- Pewnie. Policzyłem naboje i jeżeli przyjąć, że na początku magazynek był pełny, to strzelano dwa razy. Quest został zabity dwoma nabojami kalibru 32. Czyli tego samego. W tam tym domu znalazłem dwie łuski.
- W jakim domu, *amigo*?

Zaczynało mi tu coś zgrzytać. Za dużo tego amigo, stanowczo za dużo.

- Oczywiście nie mogłem mieć pewności, że był to ten sam rewolwer, ale warto było sprawdzić. Chodziło tylko o to, żeby trochę zamieszać i dać Mavis bodaj taką szansę. Więc zamieniłem te rewolwery, a jego własny wsadziłem pod bar. To był czarny 38. Bardziej w jego stylu, powiedziałbym, o ile w ogóle coś miałyby nosić. Nawet na kratkowanej rękojeści można zostawić odciski, ale na takiej wykładzinie z kości można zostawić po każdej stronie idealny komplet. Steelgrave nie nosiłby takiej broni.

Jej oczy były okrągłe, puste, zaskoczone.

- Obawiam się, że nie nadążam za tobą.
- I gdyby zabił człowieka, zabiłby go raz a dobrze, i jeszcze sprawdził. A ten facet wstał i przeszedł się trochę.

Coś błysnęło w jej oczach i zgasło.

- Chętnie bym tu dodał, że jeszcze coś mówił — ciągnąłem — ale nie mówił. Miał płuca pełne krwi. Umarł u moich stóp. Właśnie tam.
- Właśnie gdzie? Nie powiedziałeś mi, gdzie to się...
- A muszę?

Pociągnęła ze swojej szklanki. Uśmiechnęła się. Odstawiła szklankę. Odezwałem się:

- Była pani przy tym, jak Orfamay powiedziała mi, gdzie iść?
- Och tak, oczywiście — Świetnie się pozbierała. Szybko i zgrabnie. Ale jej uśmiech był już teraz odrobinę zmęczony.
- Tylko że on tam nie pojechał — powiedziałem.

Jej papieros zatrzymał się w pół drogi. To było wszystko. Nic więcej. Potem ruszył powoli w stronę ust. Zaciągnęła się elegancko.

- To właśnie mi się nie podobało przez cały czas — powiedziałem — po prostu nie mogłem kupić tego, co miałem przed oczami. Steelgrave to Płaksa Moyer. Tak? To jasne i niewątpliwe?
- Oczywiście. I można tego dowieść.
- Steelgrave jest nawróconym bandytą i świetnie sobie radzi. A potem pojawia się ten Stein i zaczyna go nękać, przeszkadzać mu. Zgaduję, ale tak to musiało, wyglądać. W porządku, Stein

musi zginąć. Steelgrave nie chce nikogo zabijać, nigdy nie był oskarżony o zabójstwo. Gliny z Cleveland nie chcą mu się dobrać do skóry. Nie ma przeciwko niemu żadnych zarzutów. Żadnych tajemnic — tylko jedna, że był kiedyś powiązany z jakimś gangiem. Ale musi się pozbyć Steina. Wobec tego prowokuje swoje własne aresztowanie. Potem wychodzi z więzienia, przekupując lekarza więziennego, zabija Steina i wraca do pudła. Kiedy zabójstwo wyjdzie na jaw, ktoś, kto go wypuścił z więzienia, stanie na głowie, żeby zniszczyć wszelkie ślady tego wyjścia. Ponieważ przyjdą gliny i będą zadawać pytania.

– Naturalnie, *amigo*.

Obejrzałem ją dokładnie w poszukiwaniu rys i pęknięć, ale nic jeszcze nie było widać.

– Na razie w porządku. Ale musimy chyba przyznać temu facetowi trochę pomysłu. Dlaczego pozwolił im się trzymać w pudle przez dziesięć dni? Odpowiedź nr 1: żeby mieć alibi. Odpowiedź nr 2: ponieważ wiedział, że prędzej czy później sprawa jego tożsamości z Płaksą Moyerem będzie musiała wyjść na jaw, dlatego więc nie dać im dość czasu, żeby się z nią ostatecznie załatwili? Przynajmniej potem kiedy ktoś sprzątnie tutaj jakiegoś gangstera, nie będą ciągać Steelgrave'a i próbować jemu tego przypisać.

– Podoba ci się ten pomysł, *amigo*?

– Tak. Ale spójrzmy na to pod takim kątem. Dlaczego poszedł na obiad do lokalu akurat w dniu, kiedy wyszedł z pudła, żeby zabić Steina? A jeżeli już to zrobił, to skąd się tam wziął akurat młody Quest, żeby trzasnąć zdjęcie? Stein nie został jeszcze zabity, więc zdjęcie niczego nie dowodziło. Lubię, kiedy ludzie mają szczęście, ale to już chyba przesada. Dalej, nawet jeżeli Steelgrave nie wiedział, że zrobiono to zdjęcie, to wiedział przecież, kim jest Orrin. Musiał wiedzieć. Quest, odkąd stracił pracę, a może jeszcze wcześniej, nachodził siostrę i wyciągał od niej pieniądze na życie. Steelgrave miał klucz do jej mieszkania. Musiał coś wiedzieć o jej bracie. A to z kolei oznacza, że Steelgrave nigdy nie zabiłby Steina akurat tej nocy, nawet gdyby to uprzednio planował.

– Powinam teraz wobec tego zapytać, kto to zrobił — powiedziała grzecznie.

– Ktoś, kto znał Steina i mógł podejść go z bliska. Ktoś, kto wiedział już, że zdjęcie zostało zrobione, wiedział, kim jest Stein, wiedział, że Mavis Weld jest u progu wielkiej kariery, wiedział, że jej związek ze Steelgrave'em jest niebezpieczny, a będzie tysiąc razy bardziej niebezpieczny, jeżeli Steelgrave da się wrobić w zabójstwo Steina. Ktoś, kto znał Questa, ponieważ bywał u Mavis Weld, ktoś, kto go tam poznał i pokazał mu w łóżku takie rzeczy, że mu świece w oczach stanęły, on zaś był chłopakiem, którego podobna kuracja mogła doprowadzić do szaleństwa. Ktoś, kto wiedział, że te wykładane kością trzydziestki dwójki są zarejestrowane na nazwisko Steelgrave'a, mimo że kupił je tylko dla dwóch dziewczyn, gdyby zaś sam nosił broń, miałby rewolwer nie zarejestrowany, którego nie można by z nim powiązać. Ktoś, kto wiedział...

– Dość! — jej głos był ostry jak nóż, ale ani przestraszony, ani gniewny. — Proszę natychmiast przestać! Nie zamierzam tego słuchać ani chwili dłużej. Zechce pan wyjść.

Wstałem. Odchyliła się do tyłu i widziałem, jak krew jej pulsuje w żyłach na szyi. Była cudowna, była mroczna, zaborcza. Nic nie mogło jej dosięgnąć, nawet prawo...

– Dlaczego zabiła pani Ouesta? — spytałem.

Wstała i podeszła do mnie, uśmiechając się nadal.

– Z dwóch powodów, *amigo*. Był kompletnie, ale to kompletnie sfiksowany i ostatecznie zabiłby mnie. A drugi powód to ten, że nic z tego wszystkiego, absolutnie nic, nie zostało zrobione dla pieniędzy. Tylko z miłości.

Już się miałem roześmiać jej w nos. Nie zrobiłem tego. Była śmiertelnie poważna. Rzecz niezwykła.

– Kobieta może mieć niezliczoną ilość kochanków — powiedziała cicho — ale zawsze będzie jeden taki, którego utraty dla innej kobiety nie będzie w stanie znieść. On był właśnie takim mężczyzną.

Patrzyłem tylko w jej piękne, czarne oczy.

– Wierzę pani — powiedziałem w końcu.

– Pocałuj mnie, *amigo*.

– Wielki Boże!

- Muszę mieć mężczyzn, amigo. Ale mężczyzna, którego kochałam, nie żyje. I tym mężczyzną nie mogłam się z nikim dzielić.
- Długo pani czekała.
- Potrafię być cierpliwa, póki jest nadzieja.
- Ach, bzdury.

Uśmiechnęła się swobodnie, pięknie, absolutnie naturalnie.

- A ty nie możesz z tym zrobić zupełnie nic, kochanie, bo zniszczyłbyś Mavis Weld całkowicie i nieodwołalnie.
- Wczoraj wieczorem dowiodła, że gotowa jest zrobić to sama.
- Chyba że udawała. — Spojrzała na mnie ostro i zaśmiała się. — Zabolalo, co? Kochasz się w niej.

Odpowiedziałem powoli:

- Głupie by to było. Moglibyśmy siedzieć w ciemności i trzymać się za ręce, ale jak długo? Wkrótce uciekłyby w światło, blask, przepych, w świat drogich ciuchów, nieprawdy i cichego seksu. Przestałaby być prawdziwym człowiekiem. Zostałby głos na ścieżce dźwiękowej i twarz na ekranie. A ja potrzebuję czegoś więcej.

Ruszyłem do drzwi, nie odwracając się do niej tyłem. Właściwie nie oczekiwałem ciosu. Myślę, że to jej odpowiadało najbardziej — byłem kompletnie unieszkodliwiony.

Spojrzałem na nią, gdy już otworzyłem drzwi. Szczupła, ciemna, piękna, uśmiechnięta. Ociekająca seksem. Całkowicie poza wszelkimi moralnymi normami tego czy jakiegokolwiek innego świata. To ją należało postawić przed sądem. Wyszedłem bezgłośnie. Kiedy zamykałem drzwi, usłyszałem jej głos, bardzo cichy.

- *Querido*, bardzo mi się podobałeś. Wielka szkoda.

Zamknąłem drzwi.

Kiedy winda otworzyła się na dole, zobaczyłem czekającego w hallu mężczyznę. By! wysoki, chudy, w kapeluszu naciśniętym na oczy. Mimo ciepłego dnia kołnierz cienkiego płaszcza miał podniesiony, brodę opuszczoną.

- Doktorze Lagardie — powiedziałem cicho.

Spojrzał, nie poznając mnie. Wszedł do windy. Pojechała.

Podszedłem do recepcji i zadzwoniłem. Obszerny, obwisły facet wyszedł do mnie i stanął ze zbolalym uśmiechem na ustach. Jego oczy nie błyszczały już jak przedtem.

- Daj mi pan telefon.

Wyciągnął rękę i wydobyl go spod lady. Wykręciłem Ma-dison 7911. Głos powiedział:

- Halo. — To był wydział nagłych wypadków.

– Chateau Bercy, róg Franklin Avenue i Girard w Hollywood. Mężczyzna nawiskiem Vincent Lagardie, poszukiwany w sprawie o morderstwo przez poruczników Frencha i Beifusa z wydziału zabójstw, poszedł właśnie do mieszkania nr 412. Dzwoni Philip Marlowe, detektyw prywatny.

- Franklin i Girard. Proszę tam poczekać. Jest panu zbrojony?

- Tak.

- Proszę go zatrzymać, gdyby próbował wyjść.

Odłożyłem słuchawkę i wytarłem sobie usta. Tłusty mięczak opierał się o kontuar, twarz mu zbieiała.

Przyjechali szybko, ale nie dość szybko. Może powinienem był mu przeszkodzić. Może przewidywałem, co robi, i świadomie pozwoliłem mu na to. Czasem, kiedy mam chandrę, próbuję to sobie wytłumaczyć. Ale to zbyt skomplikowane. Cała ta cholerna sprawa była taka. Ani razu nie było tak, żebym mógł zrobić coś zwykłego, oczywistego, nie łamiąc sobie głowy, czy to zaszkodzi komuś, komu jestem coś winien.

Kiedy już rozwalili drzwi, siedział na tapczanie, tuląc ją do serca. Oczy miał martwe, a na wargach krwawą pianę. Odgryzł sobie język.

Pod jej prawą piersią, mocno przyciśniętą do ognistej bluzki, tkwiła srebrna rączka noża do papieru, który już kiedyś widziałem. Rączka miała kształt nagiej kobiety. Oczy panny Dolores Gonzales

były półotwarte, a na wargach został jeszcze blady upiór wyzywającego uśmiechu.

– Uśmiech Hipokratesa — powiedział lekarz z ambulansu i westchnął. — Na niej to nawet dobrze wygląda.

Spojrzał na doktora Lagardie, który, sądząc po wyrazie jego twarzy, nic nie widział i nic nie słyszał.

– Zdaje się, że ktoś skończył z marzeniami — powiedział lekarz. Pochylił się i zamknął jej oczy.

